

Niebezpieczny kochanek

Connie Brockway



calibre 0.9.27

Connie Brockway

Niebezpieczny

kochanek

Tytuł oryginału *The Passionete One*

PROLOG

W 1523 roku wódz klanu McClairenów, Dougal z Donne, stanąwszy na jednym z północnych cypli Szkocji, spojrział na skalistą wyspę wyłaniającą się ze spienionego morza i rozkazał wznieść na niej twierdzę. Wybrał starannie to właśnie miejsce, wyspę zarośniętą sosnowym lasem i połączoną z lądem jedynie skalną groblą, przez większość roku zalaną wodą. Wbrew woli Dougala żaden człowiek nie mógłby postawić stopy na wyspie, żadna armia nie przedostałaby się wąską groblą.

Dougal wzniósł zamek w kształcie litery U, z wąską fasadą od północy, od strony morza i z dwoma cofniętymi skrzydłami, które od południa tworzyły otwarty dziedziniec. Poniżej dziedzińca wykuto w skale tarasy, gdzie osłonięte przed północnym wichrem przez bryłę zamku, kwitły sady i warzywniaki, zapewniające twierdzy zaopatrzenie na wypadek oblężenia.

Przez cztery lata zamek przybierał pod uważnym, jakkolwiek niecierpliwym okiem Dougala ostateczny kształt. Dougal nie zaniedbał wszelkich wygód, zawieszając wewnątrz chłodne ściany grubymi kilimami i wykładając kamienne podłogi wschodnimi kobiercami.

Dokonawszy dzieła, Dougal wyruszył, aby sprowadzić tę, która stała się źródłem jego natchnienia, czarnowłosą córkę Gordona McIntere'a.

Widział Lizabet tylko raz, w jej trzynaste urodziny. Wiedział, że McIntere chciał poprzez małżeństwo córki skolidować się z klanem

bogatszym niż McClairenowie. Nie zrażał się tym; poprzysiął zdobyć Lizabet bez względu na cenę. Przekonał starego wodza klanu McIntere'ów o żarliwości swoich starań darami i brzęczącą monetą - jak również switą złożoną z siedemdziesięciu uzbrojonych po zęby górali. Na szczęście dziewczyna nie wyszła jeszcze za mąż, choć Dougal przysiął na własną śmierć, że nawet to by go nie powstrzymało. Tak więc pobrali się i wrócili na wyspę.

Legenda mówi, że Dougal zatrzymał się w pewnej odległości od wynurzającej się z morza mgły wyspy i wskazując wielki zamek, złożył ślub, że kiedy Lizabet znajdzie się w jego murach, nie tknie jej żaden mężczyzna poza nim samym. Gorąca przysięga nowo poślubionego męża wywołała rumieniec na policzkach dziewczyny, i to właśnie dlatego wielka szara twierdza zyskała niezwykłą nazwę Rumieńca Dziewicy.

Taką nazwę nosiła za długiego życia Dougala i życia jego synów. W ciągu krwawego XVI stulecia ani razu nie wpadła w ręce wroga - nawet wtedy, gdy ścięto królową Szkocji, Marię.

Zamek pozostał wiernym bastionem Stuartów za panowania dynastii hanowerskiej i wojny domowej oraz później, w wieku XVII.

Kiedy Jakuba II wypędzono do Francji, a tron przypadł niemieckiemu Jerzemu, grube mury stały się świadkami zgromadzenia wodzów górskich klanów, na którym przysięgano wierność „królowi za morzem”.

Niedostępność Rumieńca Dziewicy zniechęcała Jerzego do

szukania zemsty na McClairenach. Zamek był nie do zdobycia.

Każda próba zajęcia go siłą musiała skończyć się porażką. Gdyby forteca stanęła wobec całej potęgi armii Jerzego i nie padła, byłaby to dla korony kompromitacja. Tak więc królowie nigdy nie podjęli takiej próby, a Rumieniec Dziewicy nigdy się nie poddał ani też nie zawisła nad nim poważna groźba.

Aż do pewnego lata w trzeciej dekadzie XVIII stulecia, kiedy to wrzos urósł tak bujnie, że przykrył kamienisty szkielet wyspy pod płaszczem lawendowych kwiatów, a łagodny wiatr wiejący ku równikowi wyczarował na kolczastych krzewach zatrząsienie róż. Tego roku Rumieniec Dziewicy gościł gromadkę McClairenów z różnych odgałęzień klanu. Pieczę nad nimi sprawował Ian McClairen, markiz Donne.

Ian zupełnie niespodziewanie został wyniesiony do rangi wodza. Jego trzech starsi bracia zginęli w powstaniu 1719 roku. Colin, młodszy brat, wyjechał szukać szczęścia w Indiach Wschodnich, zostawiając w rękach Iana cały majątek.

Ian nigdy się nie ożenił. Zamiast tego w ciągu wielu lat gromadził swój klan w zamku. McClairenowie, czarnowłosi i porywczy, słynęli z lojalności oraz uporczywości, który stanowił główną przywarę rodu. Najmłodsza i najładniejsza spośród nich była daleka kuzynka Iana, Janet. Ian rozpieszczał ją jak własną córkę, której

3

nigdy nie miał. Dałby jej wszystko, co tylko mógłby jej dać,

wszystko, czego by tylko zapragnęła.

Zapragnęła Anglika nazwiskiem Ronald Merrick, który był najstarszym synem hrabiego z Carr, zdziwaczałego potomka starodawnego rodu Sussex. Zaprzyjaźniwszy się z jednym z ludzi McClairena w Edynburgu, przybył na jego zaproszenie na wyspę. Ian słyszał rozmaite plotki o nowym angielskim przyjacielu swojego kuzyna: że jest rozrzutny, że wydaje pieniądze garściami, a w Edynburgu ukrywał się przed bandą londyńskich wierzycieli, Ian jednak, mając więcej serca niż rozumu, nie przywiązywał większej wagi do tych opowieści. Wszyscy młodzieńcy, mniemał, mają skłonność do takich szaleństw, jeśli brakuje im celu, a słowa Merricka wskazywały, by wierzyć, że Anglik znalazł cel - ten sam, który przyświecał Ianowi, a mianowicie przywrócenie Jakuba III na tron Anglii.

Ian nie podejrzewał, że Merrickiem od dawna powodowała całkiem inna namiętność, pochłaniająca go o wiele bardziej niż jakiegokolwiek zobowiązania polityczne.

Przystojny, pełen wdzięku, ujmujący w obejściu i wykształcony Ronald Merrick stanowił niemal doskonały przykład braku moralnych skrupułów. Jednakże w swojej rodzinie nie uchodził za czarną owcę. Był typowym- przedstawicielem swego rodu, ani

lepszym

ani

gorszym

od

innych,

obdarzonym

natomiast

błogosławieństwem - albo przekleństwem - niecodziennego

połączenia urody i bystrości umysłu, które pozwalały mu skuteczniej

służyć swemu panu: własnym pragnieniom.

Pragnienia Merricka były proste. Chciał, aby społeczeństwo

zgięło przed nim kark.

Jego zadufanie w sobie było bezprzykładne, a poczucie

obowiązku - żadne. Oddawał się sprawom, które najbardziej

sprzyjały jego celom, czyli wszystkiemu, co najlepiej służyło jemu

samemu.

Jego towarzysze, rzecz jasna, nie mieli o tym pojęcia. Widzieli w

nim jedynie czarującego młodzieńca, który miał niewiarygodne

szczęście w kartach i także powodzenie u kobiet.

4

Los płata jednak ludziom przedziwne figle. Oto Merrick, który

starał się przypodobać McClairenom, chcąc uczynić możliwie

największy uszczerbek w ich góralskim majątku, naprawdę zdobył

Janet. Zanim na dobre zrozumiał, co się dzieje, poślubił zamożną

dziedziczkę. W dodatku nader urodziwą i w pełni mu oddaną. Merrick

uważał świat za kolonię karną, a siebie za więźnia odciętego od centrum

prawdziwego świata, czyli Londynu, ale przynajmniej znalazł sobie

wygodną celę z przyjemną towarzyszką niedoli.

Minęły dwa lata i śliczna panna młoda z gór obdarzyła go dwoma synami. Uszczęśliwiony, niemal zapomniał o swoich celach.

Jednak pewnego dnia, gdy wjeżdżał na dziedziniec zamku, pomyślał, jak dobrze byłoby zastąpić stojącą pośrodku kamienną studnię marmurową fontanną. . gdyby Rumieniec Dziewicy należał do niego.

Pozornie niewinna, obojętna myśl, ale szatańskie ziarno, które pada na żyzną glebę, szybko rodzi trujące owoce.

Od tego czasu, ilekroć Merrick wkraczał na dziedziniec, inny szczegół zwracał jego uwagę - jakaś rzecz, którą chciałby zastąpić, upiększyć lub poprawić, gdyby to było w jego mocy. Znajdował coraz to nowe powody do irytacji, które zakłócały jego i tak niepewny spokój ducha. Wkrótce nie mógł jeść, nie myśląc o tym, że dania przygotowano, aby dogodzić innemu podniebieniu, albo o tym, że psom pozwalano przebywać w holu, bo ktoś inny sobie tego życzył, czy wreszcie, że kwiaty w srebrnych wazach umieszczono tam, bo tak się komuś innemu podobało.

Zawiść rosła w nim niczym rak, podstępnie i głęboko. Tak silnie wplotła się w jego myśli, wpływając na wszystkie decyzje, że w krótkim czasie żądza zdobycia zamku stała się jedynym motorem jego postępowania. Nawet śliczna młoda żona nie była w stanie złagodzić jego głodu.

Znienawidził McClairenów i wszystko, co szkockie, uważając, że stanowią przeszkodę w spełnieniu jego pragnień. Raz po raz kierował

wzrok ku Londynowi, niczym opuszczony kochanek, nękany tęsknotą za dawną kochanką. Rozbudzona żądza paliła jego wyobraźnię, przeradzając się w pożar nie do opanowania. Musiał wrócić do towarzystwa. Do Londynu.

5

Ukrywał starannie tę chorobę. Jedynie Janet zdawała sobie z niej sprawę - tylko dlatego, że widziała chłód w jego oczach, kiedy patrzył na synów.

Wtedy to Colin McClairen, brat Iana, od wielu lat pozostający za granicą przysłał do kraju swoją żonę i dzieci, Ian zaoferował im pokoje w zamku, ale żona Colina wolała zamieszkać na łódzie.

Dwa lata później, w 1745 roku, Karol Edward Stuart, znany jako Bonny Prince Charlie, wylądował w północnej Szkocji. McClairenowie poparli go natychmiast, umożliwiając triumfalny przemarsz do Edynburga. Pomogliby księciu odnieść jeszcze większy triumf i wkroczyć do Londynu - gdyby ktoś nie zdradził ich planów.

Oddziały wierne księciu zostały rozbite na wrzosowiskach Culloden, a on sam uciekł do Francji. Iana i jego towarzyszy schwytano, przewieziono do Newcastle, postawiono przed sądem, a następnie stracono. Uwięziono nawet synów Colina, gdy książę Cumberland, który stał na czele królewskich oddziałów, niczym krwawy żeńca kosił szkockie wyżyny w bezlitosnych represjach.

Janet początkowo nie podejrzewała Merricka o zdradę. Ogarnęły ją jednak wątpliwości, kiedy mąż przyjął Rumieniec Dziewicy z rąk króla

Jerzego. Chciała wierzyć jego zapewnieniom, że uczynił to, ponieważ jako Anglik mógł go bezpiecznie utrzymać do powrotu prawowitego dziedzica - Colina.

Zdrada dokonała tego, czego nie zdołała osiągnąć siła; po raz pierwszy od dwóch stuleci na wyspie McClairenów nie mieszkał żaden męski przedstawiciel klanu. Nowy dziedzic nie wrócił, a jego synowie gnili w Tower i żaden głos nie podniósł się w ich obronie.

Merrick rozpoczął renowację zamku.

Janet wiedziała już wtedy o wszystkim, chociaż o nic nie pytała. Dla lana i jego ludzi oraz dla synów Colina było za późno, ale nie dla jej dzieci. Tak w każdym razie sobie wmawiała.

Z czasem podejrzania ciążyły jej coraz bardziej. Pewnego dnia, kiedy mrok spowił Morze Północne, zastając ją na dalekim krańcu wykutych w skale ogrodów, spojrzała na starą fortecę.

Nazwę zamku zmieniono na Rumieniec Ladaczniczy, a to z powodu nadmiaru ozdób, którymi go ostatnio upiększono. Nowa nazwa wydawała się trafna. Przez wieki twierdza nosiła sfatygowaną, zbroję

6

strażnika; teraz przypominała podstarzałą, ratującą swoje wdzięki pannę. Ciemny szkielet osłonięto ozdobną cegłą i świeżym tynkiem, omszały dach zastąpiono lśniąca płytą- zamek zyskał nowe oblicze.

Nawet jego otoczenie uległo przeobrażeniu. Krzaki janowca i skarłale od wiatru sosny, tłoczące się u jego stóp jak gromada swarliwej czeladzi, zastąpiono wymuskanymi dworskimi ogrodami. Nie tknięto

jedynie starych warzywniaków, gdzie odpoczywała Janet z dziećmi.

Nadal rosły tam stare grusze i jabłonie o konarach przymocowanych do kamiennych murów, cienkie łodygi cebuli lśniły w półmroku fluoryzującym blaskiem, a w powietrzu unosiła się woń majeranku i mięty.

- Czy to nasze? - zapytał najstarszy syn, Ash.

Janet czułym gestem odsunęła delikatnie jedwabiste czarne loki z jego czoła. Był to piękny chłopiec, który właśnie wchodził w wiek męski, szczupły, o zgrabnej sylwetce.

- Nie - odparła. - Opiekujemy się zamkiem, dopóki nie zjawi się Colin McClairen, żeby objąć go w posiadanie.

- Ojciec mówi, że Rumieniec Ladacznicy należy do niego – nalegał Ash.

Musiała zachować ostrożność. Z jej trojga dzieci Ash był obdarzony największą wrażliwością. Czuł zbyt mocno; postrzegał świat zbyt wyraźnie. Nic dziwnego, że ojciec go unikał. Ash zawsze potrafił dostrzec pustkę pod zewnętrznym polem.

- Należy do McClairena, wodza klanu - wyjaśniła.

- A gdzie on jest? - Obok niej pojawił się nagle Raine.

Choć dwa lata młodszy od brata, niemal dorównywał mu wzrostem.

Brakowało mu subtelnej urody Asha, ale odznaczał się męskim, drapieżnym wdziękiem. Zapalczywy i gwałtowny, potrafił się zdobyć zarówno na wspaniałomyślność, jak i działać bezwzględnie.

- Gdzie jest kto?

Na dźwięk gładkiej angielszczyzny Ash wstał.

Po marmurowych schodach szedł ku nim mężczyzna mieniący się kolorami, niczym jedno z fantastycznych ciast, które piekł nowy francuski szef kuchni. Kubrak miał uszyty z tkaniny przeplatanej metaliczną nicią i inkrustowany klejnotami, Pod kwadratową szczęką pyszniła się kaskada złotej koronki, a biała peruka lśniła od diamentowego pyłu.

7

Lord Ronald Merrick, obecnie hrabia Carr. Do czasu niedawnej śmierci jego ojca Janet nie wiedziała nawet, że starszy pan jeszcze żyje, a co dopiero, że jest hrabią.

Mąż podszedł do niej, marszcząc brwi na widok Fii śpiącej w jej ramionach.

- Gdzie niańka?

- Sama chciałam ją ukołysać do snu. To moje dziecko. Nie potrzebuję obcych do opieki nad nią.

- Jeśli chcesz naśladować swoich prostackich przodków, niech tak będzie - odparł hrabia wyjątkowo jak na niego łagodnym tonem. -Ale innym razem. Nasi goście wkrótce przybędą i powinnaś się ubrać.

- Jestem ubrana.

Carr nie zwrócił uwagi na jej słowa, wpatrzony w małą, czarnowłosą dziewczynkę, którą trzymała na kolanach.

- Udała ci się ta mała.

Janet spojrzała na kremowe policzki Fii i jej różowe jak pączek róży usta. Już teraz, u dziecka, można się było domyślać przyszłej

urody, jaką zapowiadały delikatne, regularne rysy twarzy i kontrastujące barwy włosów i cery. Fia wyrosła na zachwycającą dziewczynę.

- Bardzo dobrze - mruknął Carr. Rzucił okiem na Asha i Raine'a;

w jego wzroku była raczej niechęć niż ojcowska życzliwość. - Będzie miała tysiąc serc u swoich stóp i tysiąc tytułów do wyboru - stwierdził.

- Ale to dopiero za parę lat, hę?

Czubkiem palca dotknął kraciastego szala żony.

- Pomimo twojego zuchwałego zapewnienia wymruczanego pod nosem nie jesteś jeszcze ubrana, moja droga. Czy naprawdę sądziłaś, że pozwolę ci uczestniczyć w moim balu wystrojona w tę szmatę McClairenów?

- Myślałam, że to nasz bal - odparła cicho.

- Dlaczegoż to? - Carr zmarszczył czoło. - To ja jestem tym, który został stracony dla towarzystwa. Ja jestem synem marnotrawnym, którego powrotu oczekiwali, nie będziesz więc manifestować swoich sympatii politycznych, nosząc barwy McClairenów na moim balu.

Wiatr zwichrzył złotą koronkę na jego szyi.

8

- Taki postępek byłby nie tylko głupi, ale też niebezpieczny.

Niewiele czasu upłynęło, odkąd McClairenów obwołano zdrajcami.

Czyżbyś zapomniała o ich losie?

Topór kata. Nie, nie zapomniała.

- Matka mówi, że Rumieniec Ladacznicy nie należy do nas -

wtrącił niespodziewanie Raine, spragniony uwagi ojca. - Że należy do

wodza klanu.

- Doprawdy? - Carr uśmiechnął się ironicznie do syna. - A ty

byłeś tak głupi, żeby jej uwierzyć?

Nawet w gasnącym świetle dnia zauważyła, jak twarz Raine'a pociemniała.

- A ty, chłopcze? - Badawczy wzrok hrabiego skierował się na Asha.

-

Czy przestraszyła cię paplanina matki? Czy poruszyła cię myśl, że jakiś obcy prostak o owłosionych nogach może pewnego dnia przyjść tu i oświadczyć, że twoje dziedzictwo należy do niego?

- Nie, panie - odparł Ash.

- Nie? - Carr uniósł brwi. - Jesteś więc głupcem albo słabeuszem.

-

Uśmiech nie zniknął z jego ust; błysk rozbawienia nie zgasł w jego błyszczących oczach. - Gardzę jednym i drugim.

Janet nie wiedziała, dlaczego Merrick tak nienawidzi synów.

Wiedziała tylko, że z każdym rokiem nienawidzi ich coraz bardziej.

Może powodem była ich szkocka krew, a może to, że mieli do Rumieńca

Ladacznicy większe prawo od niego. A może po prostu nie mógł im

wybaczyć młodości i tego, co obiecywała im przyszłość, własną przekreśliwszy lata temu.

- Panie ja tylko...-zaczął Ash.

- Nie będzie dziedzictwa - przerwała mu Janet, nie mogąc znieść, jak Carr bawi się z chłopcem w kotka i myszkę. - Wydałeś całe moje wiano, żeby przystroić Rumieniec Dziewicy niczym tanią dziwkę z Vauxhall. A on nawet nie należy do ciebie. - Słowa płynęły falą, długo wstrzymywane i nareszcie wypowiedziane głośno. - Należy do McClairenów. Przysiągłeś, że poprzesz sprawę Colina, wyjaśnisz, że nie było go w kraju, kiedy Ian spiskował przeciwko koronie.

Tymczasem Colin mieszka jak biedak w zrujnowanej wieży, a ty nie

9

uczyniłeś nic, żeby mu pomóc.

- Zrobiłem dla Colina McClairena to, co mogłem.

Doskonale obojętna twarz męża przeraziła ją. Uczynił coś w

związku z nowym dziedzicem. Widziała to w jego oczach. Zadrżała.

Zrobiłaby wszystko dla swoich dzieci, wszystko. Dotychczas dla ich

dobra trzymała język za zębami, ale teraz po raz pierwszy przyszło jej do

głowy, że może oddała im złą przysługę. Prawda dałaby im większą siłę

w życiu, jakie im przeznaczono, niż milczenie.

- Skoro korona darowała mi Rumieniec Ladacznicy, jakże podoba

mi się ta nazwa... jego przyszłość została przesądzona - ciągnął Carr. -

Sprawię, że będzie znośna. Pozwolę sobie dodać, że nie pozostanę tu

długo. Dzisiejszy wieczór ma duże znaczenie, to pierwszy krok, jeśli

chodzi o mój powrót do Londynu. Wiedz, droga żono, że użyję

wszelkich środków, by odzyskać należne mi miejsce w towarzystwie.

Kiedyś go kochała i teraz wyciągnęła rękę bardziej do wspomnienia

niż do żywego człowieka, który stał przed nią.

- Zależało ci kiedyś na mnie - szepnęła. - Miałeś przed sobą przyszłość, bystry rozum i znakomite obejście, i straciłeś to wszystko!

Złapał ją za rękę i szarpnąwszy gwałtownie, pociągnął do góry.

- Nie będziesz nosiła tego szala - warknął.

Szal rozdarł się z trzaskiem. Gwałtowny ruch obudził małą Fię, która zanosła się płaczem.

- Jestem hrabią Carr! - wykrzyknął Merrich, nie zwracając uwagi na płacz córki. - Czekałem na tę noc dziesięć lat. Dziesięć lat, żeby rozpocząć powrót do sfer, w których się urodziłem i do których z prawa należę. Nie zrobisz niczego, co mogłoby mi w tym przeszkodzić.

Aż poczerwieniał z wściekłości, ale ona też była zła. Ukrywała prawdę sama przed sobą przez prawie dwa lata i nie mogła znieść tego ani chwili dłużej. Szal McClairenów zwisał w strzępach z jego zaciśniętej pięści - symbol losu, jaki przypadł w udziale jej klanowi, rozbitemu na skutek niepohamowanej chciwości i ambicji Carra.

- Powiedz prawdę - zażądała głosem drżącym z emocji. -

Sprzedalesz moją rodzinę Anglikom? Czy tak?

- Co mam ci powiedzieć? - syknął. - Że lepsi osiągają swoje cele, wspinając się po trupach wrogów?

- Lepsi? Czyli tacy jak ty? - spytała, chociaż znała odpowiedź.

10

- Udaj się do swoich pokojów i się przebierz - rozkazał.

- Nie zrobię tego - odparła stanowczo. - Kochałam cię kiedyś,

ale to minęło. Nie sprzeniewierzę się swojemu klanowi, żyjąc z człowiekiem, który go zdradził. Jeśli duma ma być jedynym dziedzictwem, jakie zostawię moim dzieciom, niech tak będzie.

- Możesz pożałować tych słów. - Carr rzucił szal na ziemię i odebrawszy Fię żonie, podał zanoszącą się płaczem dziewczynkę

Ashowi. - Zabierz ją! Brata też zabierz!

- Ale...

- Na Boga, rób, co ci każę! - Na twarzy Carra pod różowym pudrem wykwitły czerwone plamy.

Janet aż drżała ze strachu, lecz jej umysł pozostał spokojny. Zbyt długo dusiła w sobie prawdę, przedkładając lojalność wobec męża nad lojalność wobec klanu. Dość tego. Odejdzie, zabierze dzieci i uda się do swojego wodza...

Raine płakał. Łzy na policzkach lśniły w świetle pochodni na tarasie.

- Proszę! - zawołał Ash. - Matko.,.

Schyliła się, podniosła szal i owinęła nim ramiona Fii.

- Już dobrze, synu. Zabierz Fię na górę. - Spojrzała na Raine'a.

Zaciskał pięści, próbując powstrzymać łzy. -I brata. Obiecuj mi, że dopilnujesz, aby Raine był bezpieczny.

- Dopilnuję-wykrztusił Ash.

Ojciec pchnął go, aż chłopiec zatoczył się na ścieżkę. Złapał

Raine'a za rękę i pociągnął go ze sobą.

Śmietanka londyńskiego towarzystwa przemierzyła nowo

wytyczone drogi Szkocji, żeby zobaczyć, co hrabia Carr zrobił ze swoim niezwykłym nabytkiem. Teraz, kiedy przyjęcie się rozpoczęło, wyszli ze swoich pokojów, sypiąc pudrem i dowcipnymi uwagami o wspaniałościach, których przeznaczeniem było wywarcie na nich odpowiedniego wrażenia.

Wystarczyła godzina, aby uznać przyjęcie za niebywały sukces.

Goście byli oszołomieni, czuli się pochlebieni i - co najlepsze - rozbawieni. Carr, jeszcze wspanialszy niż przed dekadą, z powodzeniem odgrywał rolę pana domu.

11

Wielu obecnych znało go z dawnych lat i pamiętało jego namiętność do strojów. Kiedy jego majątek został sprzedany, obserwowali tłumy wierzycieli pełniących straż pod drzwiami jego rezydencji. Nie zdziwili się, gdy w końcu uciekł z miasta w obawie przed więzieniem za długi. Myśleli, że już nigdy się do nich nie odezwie.

Ale oto był tutaj, nie posiadając się z dumy. Dowcipkował z gośćmi i zasypywał ich komplementami, równocześnie nadzorując legion służby, tak aby wszelkie ich życzenia zostały zaspokojone, każda wygoda zapewniona. Okazał się tak znakomitym gospodarzem, że dopiero po pewnym czasie zauważono nieobecność jego żony. Gdy w końcu pewien starszy wiekiem jegomość wspomniał o tym, Carr wysłał po żonę służącego. Ten wrócił wkrótce z wiadomością, że pani Carr nie sposób nigdzie znaleźć.

Hrabia sam udał się na poszukiwania; jego przystojna twarz zdradzała tylko lekką irytację. Nie znalazł żony w bawialni ani na sali balowej. Nie było jej też w wielkim holu czy którymś z mniejszych pomieszczeń gościnnych.

W domu jest ciepło, wyjaśnił niedbale gościom. Tłum ludzi, podniecenie, hałas - nie była wszak przyzwyczajona do towarzystwa, mogła więc udać się do ogrodu nad morzem zaczerpnąć świeżego powietrza. Kilku gości zapragnęło towarzyszyć Carrowi w poszukiwaniach.

Ogrody były cudowne. Na obrzeżach zawieszono papierowe lampiony, a wzdłuż drózek w kolorowych szklanych baniach mrugały świece. Na samym końcu głównej alejki, przy otwartej furtce, znaleźli zwiewny szal.

Carr podniósł go, jak na troskliwego małżonka przystało. Jego żona najwyraźniej lubiła spacerować nad morzem. Z bezradnym wzruszeniem ramion zwrócił się ponownie ku zamkowi, mówiąc, że bez względu na osobiste życzenia etykieta nakazuje, by co najmniej jeden gospodarz był obecny na przyjęciu.

Lekko podchmieleni i niemający nic przeciwko temu, by odegrać jakąś rolę w małym rodzinnym dramacie kompani uprosili go, aby pozwolił im poszukać zagubionej damy. Przeszli przez furtkę, śmiejąc się i wołając Janet, Carr zaś został z tyłu.

przekrzywionych perukach i z ubraniami w nieładzie stanęli na

skraju tanecznego parkietu ogorzali od wiatru, trzeźwi i przerażeni.

Gwar rozmów ucichł. Wszystkie głowy zwróciły się w ich

stronę, a potem, instynktownie, w stronę gospodarza. Goście stojący

najbliżej Carra odstąpili na bok, zostawiając go samego w pustym kole.

Spojrzał na przybyłych wzrokiem pełnym napięcia i zażądał wyjaśnień.

- Zdarzył się wypadek - usłyszał w odpowiedzi. - Pani Carr

spadła z klifu.

- Gdzie ona jest? - Carr zadrżał na całym ciele. - Czy... żyje? Na

Boga, człowieku, mów!

Mężczyzna ponuro pokręcił głową.

- Widzieliśmy jej ciało na skałach w dole. Próbowaliśmy się tam do-

stać, ale na próżno. Morze ją zabrało.

Wfiitecfiapet, Londyn Marzec 1760 roku

Lord Tunbridge oszukiwał.

W wilgotnym, zadymionym pomieszczeniu na tyłach tawerny Pod Różą radosny nastrój młodych paniczów dawno ulotnił się bez śladu. Najpierw zawartość sakiewek, potem biżuteria i w końcu ich rodowe majątki dostały się w ręce Tunbridge'a. Z ponurymi minami, otumanieni po paru dniach szaleństw, drżeli na myśl o ojcowskim gniewie albo, co gorsza, więzieniu za długi. Nie pozostało im nic, jak tylko czekać na koniec czyścicowej męki.

Choć zdawali sobie sprawę, że Tunbridge oszukuje - nikt nie miał tak diabelskiego szczęścia - nie potrafili stwierdzić, w jaki sposób. Nikt nie śmiałyby podawać w wątpliwość uczciwości Tunbridge'a, wytrawnego pojedykowicza, mającego na koncie pięciu zabitych.

Tylko dwóch ludzi wciąż trwało przy grze, lord Tunbridge i Ash Merrick. Dziewczyna z otwartymi ustami wślizgnęła się Tunbridge'owi na kolana; jej jędrne różowe ciało lśniło od potu w nieznośnym zaduchu, podczas gdy na zewnątrz pochmurny, zimny dzień przypominał przechodniom, że zima skończyła się całkiem niedawno.

Tunbridge nie zwracał uwagi na dziewczkę, przebierając palcami w stosach gwinei i stertach srebra. Nie była to największa wygrana, jaką udało mu się zgarnąć przy tym stole, ale i tak całkiem niezła

sumka, pozwalająca wynagrodzić sporą część nawet największych strat.

Lord utkwiał lodowate spojrzenie w przeciwniku. Jak dotąd Merrickowi wiodło się lepiej niż jego kompanom. Plotka głosiła, że przybył do Londynu przed dwoma miesiącami, po dwuletniej gościnie w więzieniach Ludwika XV i najwyraźniej postawił sobie za cel nadrobić stracony czas.

Londyńska hulaszczą młodzież przyjęła go natychmiast, traktując jak nową zabawkę. Nie zawiódł oczekiwań, dostarczając pierwszorzędnej rozrywki. Nikt nie przewyższał go dowcipem, nie zapewniał miłszej kompanii, nie potrafił umiejętniej zatracić się w zabawie. Nikt też nie czuł się mniej związany zasadami rządzącymi społeczeństwem i nikt nie przejmował się opinią społeczną mniej niż Ash Merrick. Lecz to akurat nikogo nie dziwiło.

Był wszak synem hrabiego Carr, który uciekł przed wierzycielami w szkockie góry i musiał pozostać na wygnaniu, tracąc w krótkim czasie jedną po drugiej trzy bogate szkockie żony. Merrick miał złą sławę, ale jego ojciec zostawił po sobie pamięć jeszcze bardziej haniebną i znudzona socjeta nie mogła się oprzeć pokusie pójścia za tak zdeprawowanym przywódcą.

O ile jednak okazywali Merrickowi podziw, był to podziw umiarkowany, naznaczony pogardą. Był nikim. Czekало go najwyżej więzienie. Ojciec nie wspomógłby go pieniędzmi, a matka dała się poznać jako jakobińska suka. Dzięki własnej przemyślności żył na

obręczach społeczeństwa, więc choć przebywał wśród nich, w żaden sposób do nich nie należał.

Zresztą wcale mu na tym nie zależało. I nie silił się, by to ukryć.

Pozwalał, żeby szli za nim; w gruncie rzeczy zachęcał do tego, trzymając drzwi otwarte do świata dwuznacznych przyjemności.

Sam stawał z boku. Noce spędzone na hazardzie często przynosiły mu wygraną, ale nigdy na tyle dużą, żeby budzić podejrzenia. Poza tym te pieniądze należały mu się jeszcze za coś innego - odkrywał przed nimi Londyn, którego istnienia nawet nie podejrzewali.

Nawet teraz, nawet grając z Tunbridge'em, stracił zaledwie kilkaset funtów. Merrick rzadko przegrywał, więc ci, którzy zachowali jeszcze jakąś trzeźwość umysłu, obserwowali jego zbliżający się upadek z pewną satysfakcją. Z wyjątkiem Thomasa Donne'a, nieprzyzwoicie bogatego, tajemniczego, gładkiego w obejściu Szkota i - zdaniem niektórych - przyjaciela Merricka.

Zachowanie Donne'a zdradzało tylko lekkie rozbawienie.

Merrick, z koszulą rozpiętą pod szyją ciemnymi włosami spiętymi luźno w koński ogon, bez peruki, bez kubraka, bez reputacji, uśmiechał się krzywo, bawiąc się sztyletem o perłowej rękojeści, który służył mu do otwierania orzechów. Jego ciemne oczy, które podniósł, żeby spotkać uważne spojrzenie Tunbridge'a, wydawały się nieobecne. Pijane. Lord zaczął tasować karty.

nie dasz mi rady. Kolejna noc i stracę chęć do tej zabawy, a nabiorę chęci do czegoś innego. - Dziewczyna na jego kolanach zachichotała.

- Co ty na to, żebyśmy skończyli?

- Jeszcze nie teraz - rzucił Merrick urażonym tonem. - Chyba nie odmówisz mi szansy odzyskania tego, co wygrałeś? - Ledwie zauważalną przerwę przed ostatnim słowem można by uznać za potrzebną na zaczerpnięcie oddechu, jednak twarz Tunbridge'a poczerwieniała pod warstwą pudru.

- Skoro więc zostało nas tylko dwóch, może zagramy partyjkę pikiety? - zaproponował.

- Z największą przyjemnością - mruknął Merrick, patrząc na kufel piwa, który podnosił do ust.

Tunbridge rzucił kartę, za nim Merrick; westchnął z rezygnacją, bo król lorda przebił jego waleta.

- A to pech - zauważył Tunbridge. - Z pewnością zechcesz...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody chłopak w stroju posłańca. Stał, mrugając oczami w zadymionym pomieszczeniu, z jego mokrej peleryny unosiła się para. Wypatrzywszy Merricka, przeszedł ostrożnie między wyciągniętymi nogami gości rozwalonych leniwie na ławach i schyliwszy się nisko, wyszeptał mu wiadomość do ucha.

Na chwilę nieobecne spojrzenie Merricka nabrało ostrości, a twarz lekko stężała. Wyciągnął rękę. Kurier podał mu kopertę.

- Czy pozwolisz mi przerwać grę? - zapytał Merrick. Tunbridge

wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

- Wielkie dzięki. - Merrick wsunął czubek sztyletu pod pieczęć i oderwał wosk. Otworzył list, przebiegł oczami treść i zmiąwszy papier, cisnął go w ogień płonący na kominku. - Obawiam się, że moje usługi są potrzebne gdzie indziej. Muszę odejść.

- No cóż. - Tunbridge uśmiechnął się krzywo.

- Nic jednak nie jest na tyle pilne, bym odszedł przed dokończeniem gry - dodał Merrick kurtuazyjnie.

16

Dłonie Tunbridge'a przesuwające się nad stosem monet zamarły i na chwilę w powietrzu zawisło coś, co przstraszyło nawet tych najmniej czujnych. Wtedy jednak lord odsłonił śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu i wybrał karty.

- Ależ oczywiście - rzekł, po czym spokojnie rozłożył karty na stole.

Merrick krzyknął na oberżystę, żeby przyniósł więcej piwa, a następnie zerknąwszy tylko raz na karty, wyrzucił osiem.

I tak toczyła się gra.

Obaj niespiesznie wykładali kolejne karty. Merrick sączył piwo, nie przerywając gry. Pomiędzy jednym a drugim rozdaniem obierał nożem pieczone kasztany, pomrukując z dezaprobatą, bo liczba punktów zebranych przez Tunbridge'a zbliżała się nieuchronnie do setki, potrzebnej, aby zakończyć grę i zgarnąć pieniądze.

Z każdym kuflem, który wychylał Merrick, Tunbridge stawał się

coraz pewniejszy siebie i coraz bardziej wyniosły. Drapieżny uśmiech igrał na jego bladej twarzy.

Brakowało mu już tylko jedenastu punktów do zwycięstwa. Rozdał karty. Merrick nie zwracał na to uwagi, zajęty dopijaniem resztek piwa z kufła. Lord sięgnął po karty.

Wtedy Merrick, z prędkością, która kłóciła się z jego mętnym spojrzeniem, zadał cios, przybijając dłoń Tunbridge'a do blatu stołu sztyletem o perłowej rękojeści.

Lord zawył z bólu, wrywając z pijackiej drzemki ogłupiałe towarzystwo. Złapał rękojeść sztyletu i zaczął rozpaczliwie kłać.

Merrick wstał od stołu. W jego zgrabnych ruchach nie znać było śladu pijaństwa. Zgarnął monety do własnej sakiewki i dopiero wtedy ujął sztylet. Spojrzał Tunbridge'owi w oczy.

- Jeśli nie chowasz karty pod dłonią, lordzie, winien ci jestem najszersze przeprosiny. - Gwałtownym szarpnięciem wyciągnął nóż.

Tunbridge odruchowo przycisnął zranioną dłoń do piersi.

Merrick odwrócił się na pięcie, przycisnął między mężczyznami gramolącymi się na nogi i wyszedł z pokoju. Na stole za jego plecami leżał zaplamiony krwią as kier.

17

18

Granica północno-zachodnia Kwiecień 1760 roku

Dzień był piękny, powietrze przesycone zapachem odległego morza, niebo jasnoniebieskie, a las pełen świeżej zieleni. Spod baldachimu drzew wyjechała grupka myśliwych, pięknych w swoich aksamitnych strojach, z twarzami zaróżowionymi od wysiłku.

Wiodła ich młoda kobieta o ciemnych, brązoworudych włosach spływających wilgotną grzywką na czoło. Pióro z kapelusza łaskotało ją w uśmiechnięte usta. Pozostali byli bardziej doświadczonymi jeźdźcami, lecz z trudem dotrzymywali tempa, jakie narzucała Rhiannon Russell.

Dosiedli koni wczesnym rankiem i nie zawracali sobie głowy jedzeniem, nie mieli jednak szczęścia, a to za sprawą suchego powietrza i starego marcowego zająca, który najpierw porwał psy za sobą, a potem je zgubił, umykając z kolczastego zagajnika, podczas gdy zdenerwowane ogary kręciły się, obwąchując przepojone nadmiarem woni podszycie.

Przy stajniach towarzystwo zsiadło z koni. Opiekun psiarni zebrał gromadę drżących ze zmęczenia gończaków. Z lasu wybiegła, kulejąc i skomlać żałośnie, żółta suka Rhiannon, Stella. Rhiannon zawróciła konia, by towarzyszyć zranionemu zwierzęciu. Stella była ostatnim prezentem od jej ojczyma, więc ceniła ją w dwójnasób.

- Bezwartościowa suka - stwierdził opiekun psiarni, wychodząc dziewczynie na spotkanie. - Moja babcia ma lepszy wzrok.

Reszta towarzystwa zdążyła już zostawić konie i kierowała się teraz do dworku, gdzie, jak obiecała Edith Fraiser, miał czekać na nich posiłek.

- Być może - zgodziła się Rhiannon, ponieważ miała niezwykle łagodne usposobienie. - Ale to szczeniak i z czasem może okazać się zręczniejsza. Zechcesz się nią zająć?

Opiekun psiarni westchnął ciężko, lecz skinął głową, no bo któż mógłby się oprzeć orzechowym oczom i słodkiej prośbie jednej z najładniejszych dziewcząt w Fair Badden? Rhiannon uśmiechnęła się z wdzięcznością i zeskoczywszy z konia, ruszyła po schodach za przyjaciółmi.

Przy drzwiach czekała na nią młoda służąca.

- Angielski dżentelmen, londyński angielski dżentelmen - powiedziała - przyjechał, żeby się zobaczyć z panienką. - Jej twarz pokraśniała z emocji; mówiła przyciszonym, pełnym napięcia głosem.

Rzadko się zdarzało, żeby do ich małej wioski zawitał angielski dżentelmen. Jeszcze rzadziej przybywali tu panowie z Londynu, bo okolica, choć niewątpliwie urokliwa, nie kryła żadnych atrakcji poza perspektywą nabycia na własność ziemi, co też było mało realne, jako że każdy skrawek ziemi pozostawał w innych rękach.

- Wątpię, żeby przyjechał zobaczyć się ze mną, Marto. Na pewno chodzi mu o panią Fraiser - odparła Rhiannon, na której nowina nie wywarła spodziewanego wrażenia i która rozglądała się z

nadzieją za Phillipem, najmłodszym synem właściciela ziemskiego

Watta.

- Nie, panienko - upierała się Marta. - Chce widzieć właśnie
panienkę. Nie panią... Czy nie tak, pani Fraiser?

Zażywna kobieta o policzkach jak rumiane jabłuszka i siwych
włosach szła spieszonym krokiem w ich stronę korytarzem,
poprawiając po drodze koronkową chusteczkę w kwadratowym
dekolcie sukni.

- To prawda. - Okrągła twarz Edith została stworzona, żeby
nosić wyraz pogodnego zadowolenia. Tylko zmarszczka na czole
zdradzała głębokie zdumienie.

- Ale dlaczego? - zapytała Rhiannon.

- Nie wiem - odparła Edith, wyciągając ręce.

Rhiannon ściągnęła żółte skórzane rękawiczki, zatknęła je za pas
i położyła dłonie na dłoniach starszej kobiety. Pani Fraiser przyjrzała
się dziewczynie z wyraźną dezaprobatą.

- Brudne paznokcie. Rozczochrane włosy. Zakurzone ubranie. -

Westchnęła z rezygnacją. - Cóż, nie można nic na to poradzić. Czeka
na ciebie już od trzech godzin i byłoby niegrzecznie pozwolić mu
czekać dłużej.

Rhiannon miała ochotę się upierać, że jej niedbały strój nie
pozwala na spotkanie obcego dżentelmena, ale nie zrobiła tego. Zbyt
wiele zawdzięczała Edith Fraiser, by jej się sprzeciwić, a co dopiero

postąpić wbrew jej życzeniu. Przybyła do Fair Badden przed
dziesięcioma laty, szukając schronienia przed represjami po
Culloden u jakichś krewnych.

Chociaż Edith była tylko daleką kuzynką matki Rhiannon,
Fraiserowie przyjęli dziewczynę. Właściciel ziemski Richard Fraiser,
któremu w owym czasie świetnie się powodziło i cieszył się
ogromnym szacunkiem w wiejskiej społeczności Fair Badden, od
początku traktował ją jak córkę, pozwalając jej korzystać ze
wszelkich dobrodziejstw, jakie dawały mu bogactwo i prestiż.

Wkrótce Rhiannon przestały nawiedzać straszne wspomnienia.

Tylko nocami, a i to coraz rzadziej, widziała w snach duchy swoich
zmarłych wujów i kuzynów uciekających przed zemstą Rzeźnika

Cumberlanda na tych, którzy udzielili poparcia Karolowi Edwardowi
Stuartowi. Za dnia ledwie pamiętała swoje życie przed Fair Badden.

Czuła się, jakby jej dom zawsze znajdował się w Fair Badden,
jakby zawsze otaczały ją miłość i spokój. Z czasem zniknął nawet jej
szkocki akcent. A gdy przed dziesięcioma miesiącami zmarł Richard,

Rhiannon i Edith jeszcze bardziej się zbliżyły, znajdując jedna u
drugiej pociechę, jaką daje tylko wspólnie przeżywana rozpacz.

Edith poprawiła włosy Rhiannon, rozczesując poskręcane
kosmyki, po czym pocałowała dziewczynę w policzek i obróciwszy
ją za ramiona, pchnęła delikatnie.

- Idź, dziecko - powiedziała. - Twoi przyjaciele poczekają,

dopóki nie zabraknie piwa i ciasta. - Uśmiechnęła się figlarnie. - A

twój miły poczeka nawet bez słodyczy, bo założę się, że pocałunki są

dostatecznie słodką przynętą. - Zachichotała na widok zmieszanej

miny Rhiannon, zatrzymując się przed drzwiami biblioteki. - Idź już.

- Nie wejdiesz ze mną? - zdziwiła się dziewczyna.

- Nie. - Łagodna twarz Edith spochmurniała. - Ten dżentelmen

nalegał, by pozwolono mu porozmawiać z tobą na osobności,

przynosi bowiem wieści dotyczące twojej przyszłości. Mam nadzieję,

że to prawnik przysłany z Londynu z wiadomością o jakimś spadku.

Może chodzi o jakąś niewielką sumkę, którą pozostawiła twoja droga

matka. Przydałaby się jako wiano. Żałuję, że ja nie mogę nic ci dać,

ale moim majątkiem dawno już rozporządzono.

Rhiannon ujęła Edith za rękę.

21

- Dałaś mi tyle, że nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć.

Wzruszona Edith poprawiła kubrak dziewczyny, żeby równo leżał na

ramionach.

- Idź już! Będę tu na ciebie czekać, aż wyjdiesz. - Otworzyła

drzwi i lekko pchnęła Rhiannon do środka.

Mężczyzna siedział w ulubionym fotelu pana Faisera; jedną nogę

wyciągnął przed siebie, drugą ugiął w kolanie, a dłonie splótł na

płaskim brzuchu. Wyglądał przez okno, więc nie widziała twarzy, tylko

niedbale zaczesane, ściągnięte miękką wstążką czarne jak węgiel włosy.

Miał na sobie kubrak z aksamitu w kolorze ciemnego burgunda, a

pod spodem białą płócienną koszulę z mankietami z brukselskiej koronki,

które opadały wdzięcznie na kostki jego długich, szczupłych palców; jeszcze więcej koronek spływało spod jego brody. Nosił obcisłe spodnie z brązowej irchy i ciemne skórzane buty sięgające powyżej kolan i wywinięte na umięśnionych udach. Czubek szabli w skórzanej pochwie zwisającej u boku dotykał podłogi.

Wywierałby znakomite wrażenie, gdyby nie był tak niechlujny.

Aksamitny kubrak pokrywał kurz, a wyblakła płócienna koszula dawno straciła pierwotną biel. Koronka przy jednym z rękawów, delikatna jak pajęcza nić, była porwana i brudna. Buty miał poplamione, a pochwę szabli sfatygowaną.

Zupełnie nie pasował do wyobrażeń Rhiannon o prawnikach. Choć zaciekawiona, poczuła również lekką urazę: dżentelmen-zwłaszcza dżentelmen z Londynu - odwiedzający dom Fraiserów powinien był zatrzymać się w gospodzie Pod Oraczem, żeby doprowadzić się do porządku po podróży. Zaraz jednak pomyślała z uśmiechem, że dama podejmująca dżentelmena powinna była zadbać o swój wygląd po polowaniu.

Powoli odwrócił głowę, jakby bojąc się ją przestraszyć; zrozumiała, że daje jej czas, aby mu się przyjrzała. Wydawał się wychudzony i wyczerpany ponad miarę. Brwi nad czarnymi jak gagat oczami zakrzywiały się niczym ciemne skrzydła, ale skóra wokół oczu była podsiniąta. Jego szczupłą, nieogoloną twarz zdobiła staromodna, krótko przycięta bródka, a blada cera robiła wrażenie niezmiernie delikatnej i nadawała mu wyraz nieokreślonej kruchości.

Jego twarz o ostrych rysach ożywiła na chwilę jakaś przelotna myśl.

- Rhiannon Russell, jak sądzę? - Mówił głębokim, ciepłym głosem. Nie zdobył się na to, żeby wstać, trwał w niepokojącym bezruchu, jak kot przy mysiej dziurze, skupiony, ale jeszcze nie głodny - jeszcze nie.

- Tak. - Uświadomiła sobie nagle, że jej nieuczesane włosy spływają po plecach, pod paznokciami ma pot i brud ze skórzanych rękawiczek, a zieloną spódnicę upstrzoną plamami błota. Podniósł się. Był wysoki, szczupły, o prostych, szerokich ramionach. Usta wydawały się łagodne, ale oczy nie. Miał mocną szyję. Porwana koronka przy rękawie wplatała się w złoty sygnet z dużym niebieskim kamieniem na jego małym palcu. Strząsnął ją.

Rhiannon pomyślała, że nawet gdyby nie przyjechał z Londynu, dla dam z Fair Badden i tak stanowiłby dużą atrakcję. A że pochodził z owego wielkiego, sławnego miasta, nie byłyby w stanie oprzeć się jego urokowi. Ona sama mogłaby się zachwycić tym przystojnym młodzieńcem. . gdyby wcześniej nie uległa urokowi chłopca o złotych włosach.

- Nie jesteś Angielką.

- Jestem. W jednej czwartej - powiedziała. - Ze strony ojca.

- Nigdy bym nie zgadł. - Znowu zamilkł, przyglądając jej się ciekawie.

Usiłowała sobie przypomnieć zasady grzecznego zachowania, jakie wpoila jej Edith, ale żadna z nich nie pasowała do spotkania sam na sam z niezwykłym, ubranym niedbale, ale elegancko młodym człowiekiem w bibliotece przybranego ojca.

- Obawiam się, że masz nade mną przewagę, panie - odezwała się w końcu.

- Gdybym miał to szczęście, aby zyskać aż tyle poprzez wszystkie swoje koneksje... - rzekł. - Czy pani Fraiser nie wyjawiała ci, jak się nazywam? - spytał.

- Nie - odparła Rhiannon. - Pani Fraiser nie ma głowy do nazwisk, chyba że chodzi o nieuczciwych handlarzy. Powiedziała tylko, że przyjechałeś z Londynu, by się ze mną zobaczyć i że masz jakieś wieści dotyczące mojej przyszłości.

23

- Jestem Ash Merrick. - Skłonił się dwornie, patrząc na nią ze wzmożoną uwagą, jakby jego nazwisko powinno coś dla niej znaczyć.

Kiedy stwierdził, że tak nie jest, odezwał się znowu. - Nazwisko Merrick nic ci nie mówi?

Zastanowiła się chwilę, ale nie znalazła w pamięci niczego, co mogłoby się wiązać z tym nazwiskiem.

- Nie - powiedziała. - A powinno?

Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Był to piękny uśmiech, niewymuszony i czarujący, który jednak nie odbił się w jego oczach.

- Zapewne - stwierdził. - Jako że nosi je twój opiekun.

- Nie mam opiekuna - powiedziała Rhiannon, a potem, z właściwą sobie łagodnością, dodała: - To jest, nie mam oficjalnego opiekuna. W każdym razie nic o tym nie wiem...

Urwała pod wpływem niejasnego wspomnienia. Miała może osiem lat i stała na ulicy jakiegoś dziwnego miasta, patrząc w otwarte drzwi, za którymi płonęło ciepłe żółte światło. Stara kobieta, która ją przyprowadziła, miała zimne, guzowate palce. Owinęły się wokół nadgarstka Rhiannon jak gałęzie winorośli. Głos mówiący z obcym akcentem odezwał się z oświetlonego wnętrza:

- Szukasz innego Merricka, wiedzmo. Nie lorda Carra. Miała mieszkać z Anglikiem. Miał być jej opiekunem. Mówiła o tym stara kobieta. Wyleciało jej to z pamięci. Ale tak wiele zapomniała z tamtych dni i jeszcze wcześniejszych. Ucieczka, zimno, strach i niepewność. Dni - czy może tygodnie? - zlały się w jeden długi, niekończący się koszmar, z którego ocknęła się dopiero w Fair Badden. Nawet kiedy próbowała wrócić do wspomnień, były to niekonkretne, niejasne obrazy i bardziej emocje niż pamięć rzeczywistych wydarzeń.

Rhiannon ponownie skierowała wzrok na tajemniczego dżentelmena.

Był niewątpliwie za młody...

- Czy jesteś lordem Carr?

Kolejny piękny uśmiech rozjaśnił jego przystojną twarz,

- Nie. Lord Carr jest moim ojcem. I masz rację, uważając go za nieodpowiedzialnego opiekuna. Jest taki w istocie.

Nie potrafiła odczytać intencji kryjącej się za rozbawionym tonem.

Jego maniery, sposób bycia zupełnie nie przypominały młodych

ludzi z Fair Badden.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie, a sądziłem, że rozumiem - mruknął, unosząc jedną brew.

- Podejrzewam, że lord Carr chciałby, byś myślała, że po prostu nie mógł cię odnaleźć przez te wszystkie lata.

- Czy tak było?

Ash Merrick uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wątpię, by mój ojciec zgubił kiedyś choćby wykałaczkę.

Każda jego odpowiedź tylko prowokowała do dalszych pytań, każde zdanie wypowiedziane przez Asha Merricka tylko pogłębiało jej niepewność. Znowu miała wrażenie, że stoi przed drzwiami zakazanego, ale kuszącego domu. Bała się przestąpić próg. Musiałaby za to zapłacić w jakiś sposób; nie wiedziała, w jaki i nie była pewna, czy byłaby w stanie to zrobić. A jednak ten dom ją przyzywał.

- Czego właściwie życzysz sobie, panie?

- Ja? Niczego. Jestem tu tylko po to, żeby zapewnić ci eskortę do Rumieńca Ladacznicy, ponieważ on chce cię widzieć.

- Dlaczego? - Gładki kotek zmęczył się czuwaniem, teraz bawił się z myszką.

- Twoja ciotka była kuzynką jego żony - powiedział.

- Jesteśmy kuzynami? - zapytała, nie mogąc uwierzyć, że jest spokrewniona z tym niezwykłym człowiekiem.

- Och, nie. Moja matka miała zaszczyt być pierwszą lady Carr.

Twoja matka była spokrewniona z jego drugą żoną... a może z trzecią?

Carr ma nieszczęsny zwyczaj wczesnego chowania swoich żon.

- Rozumiem - rzekła, choć wcale nie rozumiała. Na jego twarz wrócił wyraz wyczerpania, budząc współczucie wrażliwej Rhiannon. -

Przebyłeś długą drogę, panie. Czy chciałbyś się czegoś napić? Zjeść coś?

Podniósł głowę, marszcząc brwi.

- Nie - odparł. - Dziękuję. Teraz mamy sprawy do omówienia.

Może później.

- Nie rozumiem - powiedziała Rhiannon. - Dlaczego po tylu latach ojciec przysłał cię po mnie?

- Nierozważna dziewczyno - zbeształ ją lekkim tonem. - Nie powinnaś zadawać żadnych pytań, lecz okazać szaloną radość z tego, że Carr raczył zaoferować ci opiekę... jakakolwiek by była.

Przyglądała mu się zmieszana, powstrzymała się jednak od komentarza.

- No i co? - rzekł po chwili. - Żadnego wybuchu radości? Carr będzie rozczarowany. Aby jednak zaspokoić twoją ciekawość, panno Russell, powiem, że Carr, skoro wreszcie cię odnalazł, jest gotów. . nie posunął się do stwierdzenia, że tego pragnie, tylko że jest gotów... wziąć na siebie odpowiedzialność za twój los.

siebie samego niż z niej.

- A co ty o tym sądzisz, panie? - zapytała ostrożnie.

- Panno Russell, dama nigdy nie stawia dżentelmena w przykrej sytuacji, w której musi on dokonać osądu - odparł. Pod sarkazmem skrywała się życzliwość, a może litość. - Zwłaszcza co do motywów jego ojca. Nigdy nie osądzam, panno Russell, zatem nigdy się nie mylę. Gdybym miał zadośćuczynić własnym pragnieniom, nigdy bym tu nie przyjechał. Jestem tylko agentem ojca. Nie kwestionuję jego nakazów. Wypełniam je.

Jego głos nabrał szorstkości. Tak jakby postanowił jej nie lubić, zanim się jeszcze spotkali. Nie przychodził jej do głowy żaden powód, dlaczego miałyby tak być. Czyżby miał ojcu za złe, że się nią interesował? Może był utracjuszem z lekką sakiewką, myślała, zerkając na jego podniszczony strój, i obawiał się, że ojciec okaże się nadto hojny dla nowo odkrytej podopiecznej.

Tak, to by wyjaśniało subtelną niechęć Asha Merricka. Może więc przywrócić mu spokój. Nie chciała opieki hrabiego Carra ani jego hojności. Nie potrzebowała ich.

- Co masz na twarzy?

Zaskoczyło ją to pytanie. Podszedł, kiedy się zamyśliła, i ująwszy ją za brodę, przechylił głowę w stronę smugi popołudniowego słonecznego światła.

- Na twarzy? - Czyżby zamierzał zetrzeć brud z jej policzków?

Znieruchomiała, zmieszana i niepewna, czy chciałaby, aby ten

egzotyczny, pełen męskiego uroku młodzieniec oddał jej tego rodzaju

intymną przysługę-

-

Wybacz, panie - wyjaśniła, oblewając się rumieńcem. –

Właśnie wróciliśmy z polowania i nie miałam oka...

- Zraniłaś się na polowaniu? - spytał z niedowierzaniem, delikatnie przesuwając dłonią po jej policzku.

Jego dotyk wywołał niepokojące mrowienie. Palce miał szorstkie, kłykcie szerokie, nadgarstki naznaczone starymi bliznami. Żaden dżentelmen nie miał takich rąk. Zwłaszcza nie londyński dżentelmen.

Kim jest Ash Merrick?

27

Błądziła spojrzeniem po jego twarzy, gdy ze zmarszczonym czołem przyglądał się śladowi na jej policzku. Rzęsy miał równie czarne jak włosy i drugie jak u kobiety; był to jedyny kobiecy rys jego postaci.

- Czy tak?- Puścił jej brodę.

Pytał o bliznę, uświadomiła sobie.

- Nie - odparła, nie przejmując się już słowami, które padały między nimi, ale raczej jakąś grą, porozumieniem, umykającym racjonalnemu wyjaśnieniu.

- Więc jak to się stało? - nalegał. - Można by sądzić, że ktoś obdarzony takim atutem będzie starał się go zachować.

Atutem? Jej cera nie była zeszpecona ospą ani nie pociemniała zbyt od słońca, lecz nikt nigdy nie nazwał jej atutem. Ash Merrick

spojrzał jej w oczy i po chwili spuścił wzrok.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do biblioteki, przestał się wydawać

panem sytuacji. Odsunął się od niej, zdumiony jak chłopiec, który

otworzył sekretną szufladę i znalazł coś, czego się nie spodziewał i nie

był pewien, czy chciał znaleźć.

- Co chciałaś powiedzieć? - spytał łagodnie.

- Bandyta - odparła niepewnie. - Wracaliśmy do domu od sąsiada,

kiedy zaczepił nas rozbójnik. Wystrzelił z pistoletów do powozu, podczas

gdy woźnica zaciął konie. Jedna z kul mnie drasnęła. Jak widzisz,

uciekliśmy.

- Rozbójnicy? Tutaj? - Jego głos zdradzał powątpiewanie.

- Rzadko - przyznała - ale się zdarzają.

Odwrócił się od niej, pocierając kciukiem brodę pokrytą ciemnym

zarostem.

- Wygląda marnie, ale nie boli - powiedziała, ujęta jego troską.

Znów spojrzał na nią z błyskiem zdumienia w ciemnych oczach.

- To... dobrze.

- Boję się, że blizna jednak zostanie - dodała. Jego zdumienie się

pogłębiło.

- Blizna?

- Tak.

- Nonsens. Nikt tego nawet nie zauważy - stwierdził z szorstką sta-

nowczością.

Miło z jego strony, że starał się ją pocieszyć-jeśli to miała na celu ta uwaga - ale Rhiannon naprawdę nie przejmowała się swoim wyglądem.

Dobrze знаła swoje zalety i pięciocentymetrowa blizna na policzku nie umniejszała ich. Phillip z pewnością nie uważał, aby straciła przez to na atrakcyjności... Phillip.

Uświadomiła sobie nagle, że jeszcze nie skończyli omawiać powodów, dla których Ash Merrick pojawił się w Fair Badden.

- Doceniam twoją uprzejmość, panie - powiedziała, wrywając się spod jego magnetycznego uroku - nie musisz się jednak o mnie martwić. Mam się świetnie. Wiodło mi się dobrze przez ponad dziesięć lat i chociaż jestem... - szukała odpowiednich słów, by mu oznajmić, że odbył tę długą podróż na próżno - ...szczerze wzruszona ofertą twego ojca, muszę ją odrzucić. Jak również twoją eskortę do jego domu.

- Ofertę?

- Tak. - Skinęła głową. - Ofertę jego opieki. Widzisz, ja już mam wspaniałą rodzinę, która zadbała o to, aby wszystkie moje potrzeby zostały nie tylko zaspokojone, ale żebym dostała więcej, niż potrzebuję.

- Nie sądzę, abyś mogła uważać to za ofertę, panno Russell.

- Nie?

- Mój ojciec życzy sobie stanowczo, abyś z nim zamieszkała.

On po prostu nie rozumiał. Wyraz jego twarzy, chłodny i wyniosły, odzwierciedlał twardą, nieustępliwą wolę, która nim kierowała. Zadrżała lekko, starając się uśmiechnąć. Nie mógł jej przecież porwać z własnego domu.

- Przykro mi, że muszę rozczarować pana hrabiego –

powiedziała - ale, jak próbowałam wyjaśnić, nie ma potrzeby, aby
roztaczał nade mną opiekę. Szczerze mówiąc, jestem temu przeciwna.

Pani Fraiser, z którą spędziłam tyle lat, ostatnio owdowiała i nie
mogłabym

odpłacić

jej

za

to,

że zajmowała się mną z takim oddaniem, porzucając ją teraz.

- Mój ojciec zapewni ci wszelkie wygody i korzyści wynikające
z bogactwa i uprzywilejowanej pozycji - rzekł Ash Merrick,
przyglądając się pierścieniowi na jej palcu.

- Moja miłość do pani Fraiser jest szczerą, panie - parsknęła w
nietypowym u niej odruchu gniewu, dotknięta insynuacją, że chce zostać
jedynie dla ładnych szmatek. - Moje współczucie dla niej płynie z serca.

29

I nie pozwolę, byś sugerował, że jest inaczej!

Wciągnęła głęboko powietrze, zdenerwowana zarówno tym, że tak
łatwo ją sprowokował, jak i obraźliwą sugestią.

- Być może pani Fraiser nie stać na luksus twojego szczerego
współczucia - odparł, wskazując wzrokiem na pierścionek.

Myśl o tym, że Edith Fraiser mogłaby wyprzedawać rodzinne
srebro, by zapewnić jej marne świecidełka, przywróciła Rhiannon

naturalną pogodę ducha. Roześmiała się spontanicznie.

- Ten pierścionek i bursztyn to wszystko, co zostało mi po matce, panie. Proszę, rozejrzyj się dokoła. Zapewniam cię, że nie narażam pani Fraiser na żadne wyrzeczenia finansowe.

Rozejrzał się po pokoju, obejmując wzrokiem eleganckie meble, ozdobną półkę nad kominkiem - dumę i radość pani Fraiser - pokryte satyną kanapy i srebrne lustro.

Potem jego spojrzenie wróciło do Rhiannon.

Przemknęło wzdłuż jej ciała i powędrowało znowu w górę, zatrzymując się na chwilę na brokatowych klapach myśliwskiego kubraka. Wreszcie podniósł wzrok ku jej twarzy; oczy płonęły mu jak kociołki z rozgrzaną smołą.

- Przypuszczam, że nawet w Londynie nie zobaczyłbyś czegoś piękniejszego - powiedziała, przesuwając palcami po haftowanych jedwabnych serwetkach.

- W rzeczy samej - przyznał głębokim, łagodnym głosem.

- To francuskie. Usta mu drgnęły.

- Myślałem, że szkockie. Zaśmiała się nerwowo.

- O, nie. Coś takiego nie mogłoby wyjść spod szkockich palców.

- Wymaga delikatniejszej ręki - zgodził się gładko.

- Tak. - Skinęła głową, świadoma, że z niej żartuje, ale nie wiedziała, dlaczego. Uśmiechnęła się niepewnie.

Nie miał do niej najmniejszego żalu, kiedy warknęła na niego przed chwilą. Nie było w Fair Badden osoby, która nie zdumiałaby się,

słyszając ostre słowa z ust Rhiannon Russell. Bo też nikt w Fair Badden nie miał okazji takich słów usłyszeć. Zawsze pomna, ile im zawdzięcza, uważała, aby nikogo nie urazić.

- Muszę przyznać, panno Russell, że dobrze się tobą zajmowano.

- Tak - powiedziała. Za kilka minut miał opuścić ten pokój i

30

odjechać do Londynu. Nie chciała, żeby odszedł. Jeszcze nie.

- Ale dobre traktowanie to nie wszystko - ciągnął. - Jakkolwiek późno obejmuje tę rolę, mój ojciec jest twoim prawnym opiekunem.

Chce cię widzieć w Rumieńcu Ladacznicy.

Rumieniec Ladacznicy? Pamiętała tę nazwę. Jej ciotka tam mieszkała.

- W górach?

- Tak. Kiedy ostatnio tam byłem, znajdował się, jak sądzę, w szkockich górach. Na wyspie McClairenów.

Ta nazwa ożywiła pamięć Rhiannon. Serce podeszło jej do gardła.

Patrzyła na Merricka przerażonymi oczami. Nie zdawał sobie sprawy, że te słowa w jej uszach brzmiały jak groźba.

- Właśnie tam - oświadczył - udasz się i tam pozostaniesz, dopóki nie wyjdiesz za mąż, albo umrzesz, albo ojcu przejdzie ten dziwaczny kaprys roztaczania nad tobą opieki.

- Wyjdę za mąż? - Odetchnęła z ulgą. - Więc nie mamy problemu.

- A mieliśmy problem? - odparł, zachęcając ją do przedstawienia rozwiązania nieistniejącego problemu.

- Tak, panie - powiedziała. - Ale już nie mamy, ponieważ za trzy tygodnie zamierzam poślubić Phillipa Watta.

Twarz Merricka stężała na chwilę w wyrazie emocji, których Rhiannon nie potrafiła odczytać. Potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Dżentelmen z Londynu się śmiał.

Edith Fraiser, stojąca z uchem przyciśniętym do drzwi, niewiele usłyszała z rozmowy, która toczyła się w pokoju, ale bez trudu określiła charakter tego śmiechu. Nie był to miły śmiech.

Otworzyła drzwi i wpadła do pokoju, szeleszcząc grubymi halkami.

- Moje gratulacje, panno Russell - mówił ciemnowłosy młody człowiek.

- Dziękuję - odparła Rhiannon. Spojrzenie, jakie skierowała na Edith, wyrażało wdzięczność i lekkie zaskoczenie, ale nie było w nim śladu niepokoju.

Edith podeszła bliżej.

- Ach, panie... panie...

- Merrick, pani. Ash Merrick. - Skłonił się z wdziękiem. Edith się rozpromieniła.

Była to prosta, poczciwa dusza, wierząca mocno w dobro natury ludzkiej. Skoro Rhiannon nie poczuła się urażona tym wybuchem wesołości, to i ona nie miała powodu do urazy.

- Ależ oczywiście. I czymż to jest pan reprezentantem, panie Merrick?

- On nie jest prawnikiem. - Rhiannon stanęła u boku Edith.

- Nie? - mruknęła Edith, wyraźnie rozczarowana. Tyle się spodziewała. - Nie ma więc brylantowej broszki? Nawet maleńkiego spadku?

Policzki Rhiannon spłonęły rumieńcem.

- Nie - szepnęła.

- Broszka? - zdziwił się Ash Merrick. Edith zwróciła się do Rhiannon.

- Skoro nie przywiózł ci broszki i nie jest prawnikiem, to kim jest?

- Synem lorda Carra, pani - przedstawił się Ash Merrick.

Edith obróciła się gwałtownie na te słowa, onieśmielona swoim chwilowym brakiem manier: mówiła o nim, jakby nie był obecny.

- A kim jest lord Carr? - zapytała niepewnie. Ten młody człowiek wprawiał ją w zakłopotanie i nie wynikało to z jej braku obycia w wielkim świecie.

- Lord Carr jest prawnym opiekunem panny Russell - odparł. -

Przybyłem na jego polecenie, aby ją zabrać.

- Co?! - sapnęła Edith. Wróciła jej pamięć, a z nią oburzenie. -

Merrick, powiadasz?

Rhiannon wzięła ją za rękę.

- Pani, nie denerwuj się...

- Merrick! - Edith wyrwała się do przodu, ale Rhiannon

zatrzymała ją w miejscu. - Teraz sobie przypominam. To nazwisko człowieka, który miał przyjąć Rhiannon, kiedy uciekała przed ludźmi Cumberlanda. Jej prawny opiekun. Bezduszny drań!

- Proszę - odezwała się Rhiannon błagalnym tonem. - Wszystko będzie do...

Edith otoczyła ją ramieniem i spojrzała gniewnie na Asha

Merricka ponad jej głową.

- Łajdak, oto, kim jest ten człowiek! - oznajmiła. Rhiannon

wymamrotała coś niezrozumiale.

- Pozbawiony ludzkich uczuć, bezwzględ... - ciągnęła Edith.

- Zgadzam się całkowicie - przerwał jej spokojnie Ash Merrick.

Edith otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, zwalniając uścisk na tyle, że Rhiannon odskoczyła i odetchnęła głęboko.

- Niestety, nie jest sprawą podlegającą dyskusji, czy nadaje się on na opiekuna, czy nie - ciągnął Merrick. - Chociaż wydaje się, że panna Russell pokrzyżowała plany mego ojca.

Edith spojrzała na niego niepewnie.

- Zechcesz powtórzyć, panie?

- Panna Russell powiedziała mi, że wychodzi za mąż.

- Tak, zaiste. - Edith wysunęła wojowniczo mocno zarysowany podbródek. Jeśli ten człowiek zechce stanąć na drodze prawdziwej miłości, to chyba po jej trupie. - Za trzy tygodnie, zaraz po święcie majowym. Ona i Phillip Watt, ale nie... - Olśnienie spłynęło na nią jak światło błyskawicy. - Och... - mruknęła radośnie, oddychając z ulgą. - Rozumiem. Tak.

- Tak - potwierdziła Rhiannon uspokajająco.

- To kij w szprychy Carra, co? - powiedziała Edith. Wyraz twarzy Merricka wskazywał, że weźmie udział w spisku więcej niż z ochotą. - Nie można chyba wyciągnąć dziewczyny z małżeńskiego

łóża, nieprawdaż?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie przyzwyczajaj się zbyt do tej myśli, pani - rzekł.

- A dlaczegoż to?

- Bo to - wyjaśnił pogodnie - za bardzo by zwróciło uwagę.

Wszak mój pater będzie musiał zrezygnować ze swoich planów, jakiegokolwiek by były.

Edith skinęła głową. Teraz mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność wobec syna Carra.

- Uczynisz nam zaszczyt, panie, jeśli zostaniesz na zaślubiny.

Jako rzecznik prawnego opiekuna Rhiannon powinienes, może w jego zastępstwie, być świadkiem zawarcia tego związku.

- Świadkiem? - powtórzył Ash. - To rola, której jeszcze nie próbowałem.

- Zostań zatem, panie - powiedziała Edith.

Spojrzała

na

Rhiannon,

zaskoczona

niespodziewanym

poparciem. Promienie słońca wpadające przez zachodnie okna

rozświetliły włosy dziewczyny. Jej policzki zarumieniły się, a

zielone plamki w orzechowych oczach płonęły jak szmaragdy.

Edith wydało się, że dostrzegła u swojej podopiecznej góralską

śmiałość i hardość. Odrzuciła jednak tę myśl jako niesprawiedliwą.

Rhiannon była zawsze kochaną, nieśmiałą dziewczyną. Błysk w jej oczach świadczył tylko o tym, że była życzliwa również wobec obcych.

Ale co oznaczał błysk w ciemnych oczach Asha Merricka?

Dość, pomyślała Edith. Nigdy nie zajmowała się fantazjami i teraz też nie zamierzała tego robić. Co dżentelmen z Londynu mógłby znaleźć interesującego w zwykłej wiejskiej dziewczynie - nawet tak ładnej jak Rhiannon Russell? Wszak lady Harquist twierdzi, że w modnych salonach stolicy trudno się przecisnąć przez tłum pięknych kobiet.

- Nie brakuje nam miejsca, panie Merrick - powiedziała Edith, zdecydowana okazać gościnność. - Proszę zostać.

Uśmiech Asha Merricka poruszył ją do głębi. Mężczyzna o takim uśmiechu stanowił oczywistą groźbę, ale zaprosiła go już i nie mogła się wycofać.

34

- Jesteś zbyt łaskawa, madame. Przyjmuję twoje zaproszenie.

Będę zaszczycony, mogąc uczestniczyć w przygotowaniach przedślubnych i zostać, dopóki panna Russell nie stanie bezpiecznie na ślubnym kobiercu.

Dobór słów wydawał się nieco dziwny, ale Edith przypisała to londyńskiej manierze.

- Dobrze! - Chwyliła Rhiannon za ramię i poleciała: - Rhiannon, każ

przygotować pokój dla pana.

- Ale pan Merrick jest głodny, a nasi przyjaciele...

Co wstąpiło w tę dziewczynę? - zastanawiała się Edith. Rhiannon

zawsze robiła to, co jej kazano.

- Nasi przyjaciele poczekają-rzekła.-Oni zawsze czekają. Spędzają

więcej czasu, włócząc się po moich pokojach niż siedząc w swoich włas-

nych! Idź już. Dopilnuję, aby pan Merrick zjadł dobry posiłek, i

przedstawię go twemu miłemu, nie bój się. Przyłączysz się do nas, kiedy

usuniesz ślady stajni z rąk i włosów.

Rhiannon wyszła bez dalszych protestów, rzucając przez ramię prze-

ciągle spojrzenie na ciemnowłosego młodzieńca, który przyglądał jej się

obojętnie. Zbyt obojętnie. To spojrzenie postawiło pod znakiem

zapytania zwykłą pogodę ducha Edith Fraiser.

Edith, która uchodziła w swoim czasie za piękność - wiejską, ale

jednak piękność - wątpiła, żeby mężczyźni pochodzący z Londynu byli

ulepieni z innej gliny niż ci z prowincji. Przesadna nonszalancja

oznaczała to samo niezależnie od miejsca.

Na szczęście, niezależnie od zamiarów owego Asha Merricka,

Rhiannon dała słowo Phillipowi Wattowi. Nie było więc powodów do

niepokoju, co najwyżej nadzieja na przychylność lorda Carra. Może

jakieś wiano...

Edith zamknęła drzwi za Rhiannon i odwróciła się do Asha

Merricka, który patrzył na nią z rozbawieniem, jakby doskonale

wiedział, o czym myśli.

Podeszła do kanapy i usiadła ciężko.

- Słodka dziewczyna z tej mojej Rhiannon - powiedziała.

- Tak.

- I posłuszna jak jagnię, pomimo swojej krwi. Góralskiej krwi, jak pan wie.

35

- Tak mi powiedziano.

- A do tego lojalna. Wierna, można rzec.

- Prawdziwa święta.

- Nie - odparła Edith z uśmiechem. - Nie całkiem święta.

Powinieneś ją zobaczyć, panie, na koniu, kiedy pędzi jak burza. Rosła na swobodzie w tych swoich górach - ciągnęła zamyślona - i wiem, że widziała rzeczy, których żadna dziewczyna widzieć nie powinna.

Krwawe rzeczy. To ją uczyniło... sama nie wiem.

Nigdy nie potrafiła nazwać tej cechy charakteru Rhiannon. Ale to i tak nie miało znaczenia. Kochała Rhiannon, nawet jeśli jej do końca nie rozumiała, i była gotowa zrobić dla niej wszystko, co w jej mocy.

Plasnęła szerokimi dłońmi o kolana, kończąc chwilowe i rzadkie u niej zapatrzenie we własne wnętrze powrotem do rzeczywistości.

- Czy sądzisz, panie, że lord Carr zapewni jej jakąś wyprawę? Ash wygiął usta w wyrazie łagodnej kpiny.

- Bardzo w to wątpię.

- Nie? - Edith zmarszczyła brwi.

- Nie da ani grosza.

- Cóż, świetny z niego opiekun. Szczęście, że nie zajął się nią wcześniej. Chodziłaby w łachmanach, gdyby nie miała się gdzie podziąć.

Ash spojrzał jej w oczy.

- Ale ma? - zapytał.

- Tak. - Edith pokiwała głową. - Biedne dziecko przyszło tutaj zagłodzone i blade jak skrzydła mewy, owinięte w szal zmarłego ojca.

- Nie ma żadnej własności? - naciskał Ash.

- Własności? - parsknęła Edith. - Nędzny kawałek bursztynu i mały pierścionek z perłą.

- Kto ją tu przyprowadził?

- Jakaś stara wiedźma. - Edith wyrzuciła z pamięci obraz pomarszczonej, brudnej starej kobiety o surowych niebieskich oczach. - Przyprowadziła ją na mój próg, ale sama nie weszła do środka. Dostarczyła przesyłkę i poszła swoją drogą.

- Nie zostawiła żadnych kufrów czy bagażu razem z dziewczyną?

- Bagażu? - Edith parsknęła śmiechem. - Mój panie, one przyszły tu na własnych nogach. Pieszko pokonały całą drogę z domu

36

twojego ojca w Londynie. Nie, nie miały żadnego bagażu.

Ash ściągnął brwi w zamyśleniu.

- A rodzina?

- Nie ma żadnej rodziny, panie. Ludzie Cumberlanda zabili jej jedynego brata. Ponoć spłonął we własnym gospodarstwie razem z

wujem i wszystkimi kuzynami. Nie można było nawet ich pochować.

Nie powiedziała mu, że brat Rhiannon być może uniknął śmierci.

Był wszak Anglikiem, synem hrabiego, a za każdego członka klanu, który opowiedział się po stronie pretendenta, wyznaczono nagrodę.

Poza tym przez wszystkie te lata od Culloden nie dotarły do nich żadne wieści na jego temat.

Spuściła głowę i otarła oczy, zanim znowu podniosła jasny wzrok na Asha.

- Widzisz więc, panie, że dziewczyna nie ma nic, co mogłaby nazwać swoją własnością. Ani żadnej rodziny. Ja jestem tylko jej daleką krewną. Kocham Rhiannon, jakby była moją własną córką, ale sama miłość nie zapewnia strawy ani dachu nad głową, prawda?

Milczał, postanowiła więc dalej naciskać, aby mu uświadomić, jak powinien postąpić w tej sytuacji jego ojciec.

- Panie Merrick, pozwól, że wyrażę się jasno. Nie mam majątku, który mogłabym przeznaczyć dla Rhiannon. Mam dwór i dochód z ziemi, z których mogę korzystać do śmierci, ponieważ taka była wola pana Fraisera, Panie, świeć nad jego duszą. Ale kiedy umrę, wszystko przejdzie w ręce syna, który mieszka na pogańskim wschodzie i pracuje dla Kompanii Wschodnioindyjskiej. - To ostatnie dodała z wyraźną dumą.

- Naprawdę?

- Tak. Miałam nadzieję, że skoro Rhiannon wychodzi za mąż, mógłbyś skłonić ojca, aby ją wyposażył. Nie chodzi o nic wielkiego,

nie. Za ledwie tyle, by uczynić życie tych dwojga kochancek
wygodniejszym. Co do Phillipa, to jest on trzecim synem i ma
szczęście, że ojciec chce, w związku z ożenkiem, dać mu pieniądze.

- Niezwykłe. Większość młodszych synów nie może się tym
pochwalić. - Ash mówił głosem zimnym jak lód.

- Tak. Ale Watt uwielbia Phillipa, który urodził się, gdy ojciec
był już w podeszłym wieku. Watt nie odmówi Phillipowi niczego, co

37

jest tylko w stanie mu dać.

- Ale dlaczego ten młodzieniec chce się ożenić z biedną sierotą?

- rzekł Ash, ściągając ciemne brwi.

- Bo poznał jej wartość - odparła Edith stanowczym tonem.

- I najwyraźniej docenił? - mruknął.

38

Skoro obaj mężczyźni zginęli, kto zapłacił zakład? - usłyszała

Rhiannon głos Margaret Atherton, kiedy uczesana, przebrana i spryskana wodą różaną wślizgnęła się niezauważona do bawialni.

- Wdowa po hrabim - wyjaśnił Ash Merrick - twierdząc, że warto było zapłacić te pieniądze, by zobaczyć, jak jej mąż w końcu dotarł do mety.

Przyjaciele Rhiannon zebrani w bawialni zachichotali. Phillip, ładna, ale głupiutka Susan Chapham, dojrzała Margaret Atherton, zrównoważony, wrażliwy John Fortnum - wszyscy skupili się wokół Asha. Nawet Edward St. John, wnuk brata markiza Snowdena - którego już i tak ogromna pycha jeszcze wzrosła po paru sezonach w Londynie - kręcił się w pobliżu.

- Ach! Oto i ona. Nasza Diana! - zawołał John Fortnum na widok Rhiannon.

- Moja Diana. - Phillip Watt podszedł do narzeczonej z twarzą promieniejącą dumą. O pół głowy wyższy od pozostałych mężczyzn w pokoju, krzepki, ale proporcjonalnie zbudowany, był niezwykle przystojny. Złapał Rhiannon w pasie, podniósł i zaczął obracać nad głową, aż straciła oddech ze śmiechu.

- Phillipie! - zawołała błagalnie. - Co pan Merrick o nas pomyśli? Wątpię, żeby londyńskie damy pozwalały swoim kawalerom podrzucać się w ten sposób w powietrze.

- Ale ja jestem kimś więcej niż kawalerem, jestem narzeczoną

- odparł Phillip, uśmiechając się triumfalnie. - Pan Merrick wie, że to nie Londyn, a jeśli rażą go nasze wiejskie obyczaje, tym gorzej dla niego.

- Pan Merrick wcale źle o was nie myśli - zapewnił Ash. -

Sądzę, że pan Watt jest wyjątkowym szczęśliwcem.

Cóż, cokolwiek sądzą pan Watt i pan Merrick - odezwała się

stojąca w drzwiach Edith - pani Fraiser uważa, że to niewłaściwe, i

przypomina panu Wattowi, że jest gotowa użyć szpicruty. Jeśli ktoś

postępuje jak nieokrzesany prostak, może ponieść taką prostacką karę!

- Nie mów tak, pani! - zawołał Phillip, stawiając Rhiannon na

ziemi i podchodząc do drzwi. Chwycił Edith za obszerną talię i podniósł

nad głową. - Zazdrość przez ciebie przemawia, pani, ale zapewniam, że

bez powodu. Tylko to, że odmówiłaś mi swojej ręki, każe mi się

zadowolić dziewczyną.

Wojownicza mina znikła z twarzy Edith, a jej policzki zabarwiły się

szkarłatem, gdy tłukła Phillipa pięściami po głowie, sapiąc z udawanego

oburzenia.

- Postaw mnie na ziemi, ty młody hultaju! Lepiej zachowaj ten pokaz

męskiej siły na swoją noc poślubną!

Pozostali zaczęli się śmiać, a Phillip, rozpromieniony, postawił

Edith na ziemi i skłonił się przed nią nisko.

- Wezmę sobie do serca twoją mądrą radę, pani. Bądź pewna, że za-

chowam swoją... męską siłę na właściwą okazję - powiedział, patrząc na

Rhiannon.

Żart był trochę zbyt śmiały. Dziewczynie zrobiło się gorąco, kiedy towarzystwo, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, zwróciło się ku niej.

- Co na to powiesz, Rhiannon? - zapytał Edward, wieczny prowokator.

- Ja? Nic nie wiem o mężczyznach.

Ten unik z jej strony potraktowano gwizdami i pohukiwaniem.

Rhiannon uśmiechnęła się figlarnie i uciszyła towarzystwo machnięciem ręki, świadoma, że Ash Merrick na nią patrzy. Nagle zapragnęła, by z jego twarzy zniknął ten nieznośny wyraz obojętności.

- O zwierzętach jednak wiem sporo - ciągnęła - i mogę stwierdzić, że to, co wiewiórka tak skrzętnie gromadzi przed zimą, często okazuje się niczym więcej niż... zgniłymi orzechami.

Towarzystwo ryknęło śmiechem. Nawet Edith, wydawszy z siebie zgorszone „Rhiannon!”, roześmiała się głośno. W oczach Merricka, ku zachwytowi dziewczyny, pojawiło się zaskoczenie, zanim przyłączył się do powszechnego wybuchu wesołości.

Tylko Phillip nie w pełni docenił jej dowcip. Rzadko bywała śmiała, a nigdy rubaszna, patrzył więc teraz na nią, jakby uświadomił sobie, że kotek, którego przygarnął, okazał się lisem. Spochmurniał na chwilę, ale wreszcie górę wzięła jego wrodzona dobroduszość.

- Panie Merrick! - zawołał w stronę gościa. - Co londyński kawaler uczyniłby z taką zuchwałą dziewczyną?

- To zależy... - odparł Ash, podchodząc do Rhiannon. Położył rękę

na biodrze w pozie konesera, który ogląda oferowane dobra. Młodzi ludzie, spodziewając się zabawy, otoczyli ich kołem.

Zaczął powoli krążyć wokół Rhiannon. Podniosła dumnie brodę, rzucając mu wyzwanie; sama nie byłaby w stanie wyjaśnić, co ją do tego skłoniło.

- Zależy od czego? - Nie chciała się obracać jak osaczona łania.

Czuła jego wzrok na sobie z równą intensywnością, jakby jej dotykał.

- Od wielu rzeczy. - Jego głos był słodki jak francuski koniak podgrzany nad świecą, jego oddech. . poruszał włosy na jej karku? Wargi znajdowały się o parę centymetrów od jej skóry. Na oczach Phillipa nie mógł. . Nie powinien...

Odwróciła się gwałtownie. Podniósł brwi pytająco... stojąc o dobre dwa metry od niej. Ich spojrzenia się spotkały. Szare i przejrzyste.

Miękkie jak kwietniowa mgła i chłodne jak morze w listopadzie. Nie sposób patrzeć na nic innego niż te ocienione czarnymi rzęsami oczy, zajrzeć w nie głęboko i odkryć.. znużenie. Straszliwe znużenie pod maską spokoju i dworności.

- Na przykład? - dopytywał się Phillip.

Wzrok Asha oderwał się od Rhiannon niczym pajęczka nie przecięta brzytwą.

- Na przykład od tego, w której części Londynu jest owa dziewczyna - odparł. - W różnych krainach panują różne obyczaje.

- Krainach? - zdziwiła się Susan Chapham.

- Tak-potwierdził Ash. -Londyn nie jest jak jednolita skała. To cały

świat złożony z miriady maleńkich, sąsiadujących ze sobą krain, ledwie zdających sobie sprawę z istnienia tych drugich. Covent Garden i Seven Dials, Spitalfields i Whitechapel. To są księstwa na ogromnym obszarze Londynu rządzone przez królów i księżęta, którzy nie mają nazwisk.

- A czy Rhiannon byłaby tam księżniczką? - zapytała Susan i się roześmiała.

- Sądzę, że wszędzie byłaby księżniczką - odrzekł Ash dwornie.

- Cóż, lepiej zatem, żeby nie jechała do Londynu, bo to by oznaczało spadek jej pozycji w świecie - stwierdził John Fortnum.

- Dlaczego tak uważasz? - zdziwił się Phillip.

- Bo za trzy tygodnie zostanie królową Fair Badden – powiedział John.

41

- Królową? - spytał Ash Merrick, przy wtórze śmiechu pozostałych.

- Królową majowego święta - wyjaśniła Susan markotnie. - Trzy lata z rządu. To niesprawiedliwe.

- To prawda - wtrąciła się Edith. - Ale to się nie skończy, dopóki dziewczyna nie wyjdzie za mąż i nie będzie można jej wybierać. W tym dniu mogą panować tylko dziewice, jak zapewne pan wie.

- Nie - powiedział Ash. - Nie wiedziałem.

- Nie martw się, panno Chapham - odezwał się Phillip. - Obiecuję, że Rhiannon nie będzie mogła się ubiegać o ten urząd w przyszłym roku.

Czy też w przyszłym miesiącu, skoro o tym mowa.

To, że patrzył nie na nią, ale na przyjaciół, tak jakby mówił bardziej do nich niż do niej, sprawiało, że Rhiannon poczuła się niezręcznie.

- Co powiesz na to, żebyśmy pobrali się wcześniej i dali innym ślicznotkom szansę na koronę? - zapytał ją z uśmiechem.

Towarzystwo ucichło, ciekawe odpowiedzi. Oświadczyły Phillipa

Watta były wynikiem najbardziej niezwykłego - w oczach niektórych

szaleńczego - romansu, jaki miał miejsce w Fair Badden za ludzkiej

pamięci. Ojciec Phillipa, niezmiernie bogaty - a niektórzy twierdzili, że

niezmiernie głupi - nie tylko zgodził się na ślub, ale też zapewnił

synowi dość pieniędzy, aby ten wybrał sobie pannę, którą pokocha, a nie

taką, która da mu majątek. Tą dziewczyną była Rhiannon, ładna i dobra,

ale pozbawiona nazwiska, rodziny i wiana.

Teraz mogła skorzystać z okazji, by zalegalizować ten związek,

zanim Phillip albo jego ojciec pójda po rozum do głowy. Wszyscy

spojrzeli na nią, oczekując, że przyjmie propozycję z wdzięcznością.

- Nie - powiedziała Rhiannon.

- Nie? - powtórzył Phillip.

Towarzystwo nie posiadało się ze zdumienia. Niewielu ludzi

słyszało to słowo z ust Rhiannon, a nigdy wypowiedziane tak stanowczo.

Zacisnęła dłonie w zdenerwowaniu, którego nie zdradzał wesoły

głos.

- Cóż, ulegam własnej zachłanności. Jeśli jest możliwe, bym raz

jeszcze miała szczęście zostać majową królową, chcę to wykorzystać.

- Będiesz królową mego serca - powiedział Phillip. - Czy to nie

wystarczające królestwo?

42

Wdzięczne słowa. Piękne uczucie. Ale Phillip nadal stał tyłem, otwierając ramiona w stronę przyjaciół, zwracając się do nich, nie do niej.

Pokiwali głowami, przyznając mu rację. Gdyby tylko spojrział na nią, mówiąc to. .

Patrzył na nią Ash Merrick.

Jedyny spośród obecnych. Przyglądał jej się z całą uwagą.

Badał ją, sprawdzał jej reakcję, obserwował ją z najwyższą koncentracją. Nigdy nie była przedmiotem tak nasilonej uwagi. Nawet ze strony Phillipa.

Phillip zerknął przez ramię, czekając na odpowiedź. Powinna powiedzieć „tak”. Powinna czuć wdzięczność. Była wdzięczna. Phillip mógł wybrać szlachciankę, bogatą dziedziczkę, a wybrał ją. Wyjdzie za niego i będzie bezpieczna i szczęśliwa w Fair Badden do końca życia.

Ale jeszcze nie. Nie tak szybko.

- Przyznałam się do zachłanności - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Nic nie mogę na to poradzić, że chcę obu koron.

Phillip zamrugał zdumiony. Pozostali byli nie mniej zaskoczeni.

- Jeśli to ci odpowiada, Phillipie - dodała szeptem, nagle rozpaczliwie świadoma, co ryzykowała swoimi niewczesnymi żartami. Bo to wszystko były... żarty. Oczywiście wyjdzie za mąż za Phillipa. Jutro, jeśli będzie nalegał. Ale w głębi duszy na wpół zapomniany głos ze szkockim akcentem domagał się czegoś innego.

Phillip poczerwieniał.

- Ach, ty ośle! - zawołała nagle Edith, występując do przodu i pociągając go za ucho.

Napadnięty zniecka wrzasnął i odskoczył.

- Czy brak ci subtelnych uczuć? - mówiła Edith. - Czy nie rozumiesz, że dziewczyna pragnie odrobiny dworności w zalotach oraz pięknej, dobrze przygotowanej uroczystości zaślubin? Żadnego łapucapu, jeśli chodzi o moją Rhiannon. Poślubisz ją, jak należy. Nie jak jakiś raptus ze stajni swoją dziewczynę od krów, ty wielki... mężczyzno!

Gradowe chmury na przystojnej twarzy Phillipa ustąpiły zrozumieniu.

- Czy tak jest, Rhiannon? - spytał, patrząc na nią z zadowoleniem tylko lekko zabarwionym poczuciem wyższości.

Edith pochwyciła wzrok Rhiannon i spojrzała na nią ostrzegawczo.

43

- Tak - odparła dziewczyna. - Tak jest.

- Będziesz więc miała najwspanialsze wesele, jakiego Fair

Badden jeszcze nie widziało!

Po tym oświadczeniu mężczyźni otoczyli Phillipa, poklepując go po plecach i domagając się głośno czegoś do picia, żeby uczcić jego wielkoduszność.

A Rhiannon uśmiechała się skromnie, przyjmując gratulacje dam z okazji przyszłej fety, oraz pochlebne uwagi panów o tym, jak potrafi się cenić. Zmieszana spuściła wzrok, nie patrząc więcej na Asha

Merricka. Wiedziała, że wyczuł jej kłamstwo.

Leżał na brzuchu pod obsypanym pąkami starym wiązem. Leciutki wietrzyk łaskotał go w policzki. Pszczoły, zachęczone wiosennym ciepłem, uwijały się w koniczynie. Świeża trawa tworzyła miękki materac dla jego zmęczonego ciała.

Miesiące pijaństwa i hulanków nie minęły bez śladu. To również dwa lata spędzone w łańcuchach na francuskiej galerze w charakterze „więźnia politycznego”.

To wspomnienie wciąż budziło w nim gorzkie rozbawienie. Polityka nigdy nie interesowała go w najmniejszym stopniu, podobnie jak Raine'a.

Razem z bratem wpadli w pułapkę zastawioną przez McClairenów na ojca w odwecie za jego zdradę. Klan nie bardzo wiedział, co począć z parszywym potomstwem Carra. Jako McClairenowie, wierni własnej krwi, nie mogli się zdobyć na to, żeby zamordować synów Janet McClairen. Chociaż, pomyślał Ash, krzywiąc wargi, niemal im się to udało trzy lata wcześniej, kiedy pobili Raine'a na krwawą miazgę, bo rzekomo zgwałcił zakonnice.

Zmrużył oczy. Nadal wydawało mu się dziwne, że oszczędzili Raine'a, gdy po raz drugi wpadł w ich ręce. Teraz jednak nie był pewien, czy zasłużyli dzięki temu na wdzięczność Raine'a, ponieważ McClairenowie, chcąc złamać Carra - finansowo, jeśli nie dosłownie - sprzedali jego synów Francuzom. Tamci z kolei zażądali od hrabiego okupu.

On zaś nie płacił. Wreszcie, powodowany kaprysem, wykupił Asha - ale nie Raine'a. Decyzja ojca o pozostawieniu Raine'a we francuskim więzieniu nadal działała na Asha tak, jakby świeżą ranę posypywano mu solą. Podejmował nadludzkie wysiłki, chcąc zdobyć środki na zwrócenie bratu wolności.

Nic dziwnego, że zdrowie mu szwankowało. Mimo że śmiertelnie zmęczony, nie mógł zasnąć.

Spędził w Fair Badden tydzień, ale nadal czuł się tu obco, jakby jego okręt rozbił się na wybrzeżu czarnej Afryki... i równie niepewnie. W Fair Badden było mu po prostu za dobrze.

W nocy spał na puchowym materacu, a świerszcze cykały pod otwartym oknem, przypominając stukanie paciorków różańca w rękach nowicjusza. Co rano witały go uśmiechy i żarty. Codziennie pił słodką wodę z głębokiej studni i jadł świeży chleb, wędzone mięsa i wiejskie sery.

Rhiannon Russell i Edith Fraiser dzieliły między siebie obowiązki gospodarskie: przygotowywanie konfitur i miodu; destylowanie aromatycznego wina; cerowanie wysuszonej na słońcu pościeli; pielęgnowanie grządek warzywnych za drzwiami kuchni.

Przyglądał się tej domowej harmonii sceptycznie, szukając jakichś oznak niezgody. Nie znalazł żadnych. Chociaż czasami, kiedy ich spojrzenia się spotykały, zuchwały błysk w oczach Rhiannon Russell albo konspiracyjny uśmiech, gdy poczciwa pani Fraiser nie rozumiała któregoś z jego subtelniej szych uwag, zadawały kłam potulności, która

wydawała się dominującą cechą charakteru dziewczyny.

Wolałby, żeby Rhiannon nie uśmiechała się w ten sposób i żeby jej oczy tak nie lśniły, ponieważ, wbrew wszelkim oczekiwaniom, był nią oczarowany. A to zdumiewało go i niepokoiło równocześnie. Była śliczna. I naturalna. A on miał dosyć sztuczności. Co więcej, zaakceptowała go jako przyzwoitego człowieka i dżentelmena. Nikt nie miał dość rozumu czy przenikliwości, by ją przekonać, że się myli. Dlaczego mieliby to zrobić, skoro dzielali jej opinię? Ambitny i dumny Edward St. John, skromny i szczery John Fortnum, wszyscy ci pełni zapału chłopcy spragnieni opowieści z pierwszej ręki o niebezpiecznych obyczajach Londynu. Nawet ten wielki złotowłosey olbrzym Phillip Watt.

Watt był prostacki i zadowolony z siebie, a status narzeczonego rozpałił jego żądze. Ash widział wiele razy, jak chłopak próbuje zaciągnąć niczego niepodejrzewającą Rhiannon w ustronne miejsce, żeby się z nią pieścić. A może nie taką nieświadomą, pomyślał z lekkim uśmiechem.

Wszak w jej zielonych oczach pojawił się błysk rozbawienia, gdy omijała miłosne zasadzki Phillipa, Mogła być niewinna, ale nie była naiwna.

Tak jak Edith Fraiser, sprytna stara kocica. Przez cały ten tydzień bacznie obserwowała Asha. Ilekroć on spojrzał na Rhiannon, Edith patrzyła na niego. Przed paroma dniami, wysławszy Rhiannon z jakimś

poleceniem, osaczyła go. Z rozbrajającym uśmiechem wyjaśniła, że jest

stara i niesprawna i nie nadaje się już do roli damy do towarzystwa. Po czym z niezachwianą logiką oznajmiła, że Ash - w zastępstwie Carra - musi pełnić funkcję przyzwoitki.

Propozycja tak go zaskoczyła, że zgodził się, niewiele myśląc. Od tej pory godzinami włóczył się za młodą parą, pilnując, aby cnota Rhiannon pozostała nienaruszona.

Właśnie tym się w tej chwili zajmował. Instrukcje nie pozostawiały wątpliwości: pod żadnym pozorem Rhiannon i jej adoratorowi nie wolno było wkroczyć do cisowego labiryntu, gdzie mogłoby się zdarzyć coś „niestosownego”. Przystał na to, ale usunął się z pola widzenia, gdy tylko Phillip pokierował Rhiannon do wejścia do labiryntu.

Bo chociaż bawiło go pozowanie na szlachetnego wielkiego pana, nie był całkiem pewien, czy przyłożyłby Wattowi po łapach, gdyby te zbliżyły się zanadto do piersi narzeczonej. Wyobraziłby sobie wtedy własne ręce gładzące jej aksamitną skórę.

Stanowczo zbyt wiele sobie wyobrażał w związku z Rhiannon Russell.

Wyobrażał ją sobie taką, jaką ją zobaczył po raz pierwszy, zaróżowioną, śliczną, rozradowaną po przyjemnie spędzonym dniu. Tylko że w jego wyobraźni ta radość miała zmysłową naturę, a ciepło bijące od dziewczyny wywołane było jego dotykiem. Jego ręce zmierzwiły jej włosy, jego usta wywołały intensywną barwę na jej wargach, jego dłoń dopasowała się do słodkich zaokrągleń i rozkosznych linii...

Boże, o czym ja myślę? Zmarszczył brwi, szukając wyjaśnienia dla tego... rojenia. Nie określiłby tego poważniejszym słowem.

Odpowiedź była prosta: od lat nie miał kobiety. Po powrocie do Anglii nie śmiał obrazić swoich nowo odkrytych londyńskich przyjaciół, zadzierając spódnice ich sióstr czy żon. Nie wydałby zaś ani pensa z ciężko zarobionych pieniędzy na kosztowną dziwkę ani też nie poświęcił zdrowia dla taniej.

Jasne, że pragnął kobiety. Nie był tak zużyty, żeby nie mieć ochoty na pójsie do łóżka z młodą, świeżą dziewczką. Poruszył się niecierpliwie. Niech ją licha za to, że uznała go za typ spokojnego i przyjaznego dżentelmena. To go złościło i fascynowało zarazem. Jak śmie uważać go

47

za kogoś lepszego, niż był w istocie? Jediną sprawą, której pozostał wierny, była sprawa jego brata, a i tu zawiódł, ponieważ nie mógł się zdobyć na to, by wyrwać Rhiannon przemocą z Fair Badden, dostarczyć Carrowi i wziąć od niego przyrzeczone pieniądze. Nawet dla Raine'a. Nie z tą świadomością, że kiedy dziewczyna znajdzie się w Rumieńcu Ladacznicy, najprawdopodobniej umrze. Wszystkie oblubienice Carra umierały.

Ash zmrużył oczy w napięciu. Przyjął, że ojciec wysłał go tutaj po kolejną bogatą pannę młodą. Ale Rhiannon nie miała nic, zupełnie nic. Po co więc ojciec miałby go tu posyłać?

Carr interesował się tylko tym, co mogło dać mu pieniądze albo wpływy. Pozwolił nawet, nie chcąc płacić okupu, aby jego najmłodszy

syn gnił we francuskim więzieniu.

Okup Raine'a.

To była marchewka, którą ojciec zawsze machał mu przed nosem.

Ileż razy kusił go obietnicą zapłacenia okupu, by następnie realizację owej obietnicy odłożyć „na później”?

Gdyby Ash był w stanie zarobić dość pieniędzy. Ale każdy gołąbek, którego udawało mu się oskubać przy kartach, każde przedsięwzięcie, które podejmował, by zdobyć ogromną sumę, jakiej Francuzi żądali za życie Raine'a, tylko nieznacznie przybliżały go do celu. Ash nie nienawidził ojca, lecz wiedział, że jedynie on ma dostateczne środki, aby kupić wolność Raine'a.

Był więc jak kukiełka, tańcząca posłusznie przy najlżejszym pociągnięciu sznurka. Ale teraz, kiedy wiejski chłopak i jego troskliwy ojciec pokrzyżowali plany hrabiego... Kiedy zobaczył Rhiannon...

Rzadko zdarzało się, żeby Carrowi coś się nie udało. Ash zamierzał cieszyć się każdą chwilą jego niepowodzenia. Teraz, ukołysany wspomnieniem słodkiego rodzinnego domu, zasnął.

Czarne kamienne mury zraszał zimny pot. Chłód przenikał do mrocznych korytarzy. Ash skulił się na pochyłej kamiennej podłodze pod cenną szmatą, jaka została z koca, usiłując ogrzać się własnym oddechem, pozbawiony wszelkiej woli działania.

Krzyki i pomruki innych więźniów stopniowo ucichły.

Zesztywniał w oczekiwaniu nieuniknionej napaści, konieczności

walki o cuchnącą szmatę, którą kiedyś zdobył. Kroki zbliżały się ostrożnie, Teraz. Dotyk. Lekki, ostrożny.

Z przekleństwem na ustach Ash chwycił napastnika za ramiona i przewrócił na plecy. Rzucił się na leżącą postać. Warcząc, chwycił ją za gardło i napotkał... przerażony wzrok Rhiannon Russell. Sapnąwszy ze zdumienia, oderwał ręce od jej szyi. Mój Boże! O mało jej nie zabił. Kim się stał, skoro nawet we śnie mógł zabijać? Próbował uporządkować myśli. Musiał coś powiedzieć, coś zrobić. Zamknął oczy, oszołomiony i nieszczęśliwy.

Chłodne palce dotknęły jego policzka. Natychmiast otworzył oczy.

Podniosła drugą rękę, muskając palcami jego usta. Potem delikatnie, uspokajająco, ujęła jego twarz w dłonie.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. Żadnego strachu. Oburzenia.

Wyrzutów.

Uprzytomnił sobie z osłupieniem, że dziewczyna stara się go pocieszyć, chociaż wciąż ma na szyi czerwone ślady po jego palcach, a jego ciężkie ciało wgniata ją w ziemię.

- Już dobrze, Merrick - powiedziała cicho.

Nie mogła zrobić nic gorszego. Tymi prostymi słowami odebrała mu przeprosiny, które już miał na końcu języka, możliwość wyjaśnienia, wymówkę. Zabrała mu duszę, zostawiając go niemego, wydane go na pastwę jej łagodnego, współczującego spojrzenia.

Przejrzała go. Nie wiedziała o bezwzględności i rozpuście, za

którymi zwykł się ukrywać - tych cech nadal była nieświadoma. Ale

dowiedziała się czegoś głębszego: poznała jego wrażliwość. Strach.

Ponieważ ona także się bała.

Ona także poruszała się w świecie koszmarów. Nie dało się inaczej wyjaśnić jej błyskawicznej reakcji, spontanicznego zrozumienia... pomocy, którą zaoferowała. Przemierzyła tę samą krainę zgrozy.

Westchnął ciężko, zamykając oczy przed jej litością. Nie chciał litości. Nie chciał porozumienia. Chciał jej ciała. Niczego więcej. Boże, czy to nie dość?

Pozbawiony widoku, mógł tylko czuć. Leżała pod nim, uwięziona w parodii miłosego uścisku, z biodrami wtulonymi w jego

49

własne. Jej obraz, bliskiej niedostępnej, dręczył go nieznośnie. Krew pulsowała mu w żyłach.

- Już dobrze - powtórzyła łagodnie. - Ja też miewam koszmary.

Otworzył oczy i spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem. Nie obchodziły go koszmary. Pragnął się do niej przytulić, czuć, jak się pod nim porusza.

- Merrick!

Teraz był to strach. Czysty, zimny, wzywający do opamiętania. Nie mógł dopuścić, żeby się bała. To kłóciłoby się z jego planem.

- Merrick?

- Tak. - Wstał niepewnie, usiłując, bez powodzenia, przywołać uśmiech na twarz. - Tak. To był sen.

Wyciągnął rękę, a ona - niech to diabli - ujęła ją. Pomógł jej wstać.

Powinna odskoczyć, ale nie zrobiła tego. Przyglądała mu się z troską, podczas gdy on z trudem oderwał wzrok od jej dekoltu. Suknia opadła zbyt nisko na piersi, ledwie osłaniając brodawki. Czy były jasnoróżowe, czy brązowawe? Duże czy małe? Czy skurczyłyby się pod jego językiem...?

- Nie chciałam ci przeszkadzać - powiedziała. - Zobaczyłam, że śpisz i... - Spojrzała na jaskier więdnący w trawie u ich stóp. - Pani Fraiser zwykła mnie kiedyś budzić, łaskocząc kwiatkiem po twarzy. Mówiła, że przyjemny zapach zapewnia przyjemne przebudzenie.

- Ładne słowa - rzekł, uśmiechając się. Starał się wejść w rolę gładkiego dżentelmena, którą przyjął na użytek tej małej wiejskiej społeczności. Udało się. - Ale to ja jestem ci winien przeprosiny. Nie mam zwyczaju dusić pięknych młodych kobiet, które mnie budzą.

- Śnił ci się...

- Nie ma usprawiedliwienia dla mojego zachowania. Maniery są ważne nawet we śnie, a sądzę, że uduszenie kobiety zostałoby uznane za ich pogwałcenie. Zgodzisz się ze mną?

Zmarszczyła brwi.

- Tak - powiedziała.

- Gdzie twój narzeczony? - Odwrócił wzrok od pułapki jej zielonych oczu.

- Poszedł. - Zaczęła strzepywać trawę i gałązki z sukni tak beztrosko, jakby nic się nie stało.

- Nie odprowadziwszy cię do pani Fraiser?

- Phillip wiedział, że tu jesteś - wyjaśniła. - Umówił się z przyjaciółmi w gospodzie Pod Oraczem. Nie chciał, żeby na niego czekali.

Tylko głupiec, pomyślał Ash, naraziłby taką dziewczynę jak ona na towarzystwo zepsutego młodego mężczyzny.

- Zamierzają grać w karty - ciągnęła Rhiannon. - Phillip zaprasza cię, abyś się do nich przyłączył.

Karty? Ash drgnął na myśl o nadarzającej się okazji. Bogaci, znudzeni młodzieńcy spotykają się, żeby przegrać swoje pensje.

Zależy im na jego towarzystwie. Czy nie do tego właśnie zmierzał?

Łatwo będzie ich namówić, żeby grali o wyższe stawki. A wtedy on zyska coś na tej podróży... poza niechcianą namiętnością.

Szalenie tęsknię za Londynem - oznajmił Edward St. John, cedząc słowa. - Będę musiał wrócić tam na jakiś czas. Rok na wsi to bardzo długo. Ty też miałaś taki okres w swoim życiu, Phillipie. Słyszałem, że nieźle wtedy zaszalałaś.

Phillip zaczerwienił się lekko. Dopił resztkę piwa z kufla i otarłszy usta wierzchem rękawa, kiwnął na Andrew, syna karczmarza, żeby mu dolał.

Edward zwrócił się do Asha.

- Poznałem twojego ojca - rzekł. - Parę lat temu spędziłem w Rumieńcu Ladacznicy dwa tygodnie. Lord Carr to fascynujący człowiek.

- Owszem - mruknął Ash niezobowiązująco. Nie zdziwiło go, że St. John trafił do Rumieńca Ladacznicy. Grał na wysokie stawki, nieostrożnie i ostentacyjnie, musiał więc zwrócić uwagę Carra.

- To było świetne zakończenie udanego sezonu. - Edward rozejrzał się, żeby się upewnić, czy wywarł na słuchaczach należyte wrażenie. Nikt nie odpowiadał, zaczął więc przesypywać niewielki stosik monet ze środka stołu do własnej sakiewki.

Ash szacował w myślach wartość klejnotów zdobiących jedwabny kubrak St. Johna. Zdumiewające, że St. John opuścił Rumieniec Ladacznicy bez szwanku. Niewielu się to udawało.

- Ciebie, niestety, akurat nie było. - Złośliwa iskierka w oczach Edwarda przekonała Asha, że St. John doskonale wiedział, gdzie

wówczas przebywał syn gospodarza: we francuskim więzieniu.

- Miałem wcześniejsze zobowiązania - wyjaśnił gładko. - Albo, ściśle mówiąc, zostałem wcześniej zobowiązany.

St. John parsknął śmiechem, a Phillip zmarszczył czoło, nie rozumiejąc żartu. Ash pomyślał, że Edward niezwłocznie opowie wszystkim tę zabawną historyjkę.

Jak zareaguje Rhiannon? Czy uzna za interesujące, że o mało nie została uduszona przez więziennego szczura? A może się przerazi?

Podniósł głowę, widząc, że St. John przygląda mu się z porozumiewawczym uśmiechem. Najwyraźniej postanowił zachować dla siebie tę małą tajemnicę. Pewnie uznał, że tylko oni dwaj, ludzie bywali w świecie, widzieli zabawną stronę przygód Asha, natomiast wiejskie prostaki nie zdołają tego docenić.

Ash cenił takich ludzi jak St. John. Byli tacy przewidywalni.

Kiwnął głową, przyrzekając sobie, że Edward zapłaci mu za rozrywkę, jaką urządził sobie jego kosztem... i za to, że przypomniał mu o Rhiannon w momencie, kiedy prawie udało mu się wyrzucić ją ze swoich myśli.

- Twój ojciec to znakomity gracz - ciągnął St. John. - Na nieszczęście dla ciebie, nie odziedziczyłeś jego powodzenia w kartach.

- Tak - przyznał Ash - mój ojciec ma wyjątkowe szczęście. -

Wziął pomarszczone jabłko z misy i zaczął je obierać sztyletem.

Właśnie zabezpieczył grunt dla swoich przyszłych wygranych,

dając się poznać jako marny gracz, któremu w dodatku szczęście raczej nie sprzyja. Kiedy wyjedzie z Fair Badden, jego kompani będą kręcić głowami, zdumieni, że tak mu się na koniec powiodło. Nikt się nie zorientuje. Nikt nie poczuje się oszukany.

Musi się skupić na podtrzymywaniu opinii dobrego towarzysza zabawy, bon vivanta, który trafił do nich na kilka krótkich tygodni.

- Masz rację, panie - powiedział St. John. - Wyjątkowe szczęście.

- Jak poznałeś Carra? - zapytał Fortnum.

- Bawiłem w Szkocji, w domu wspólnych znajomych. Hrabia był tam i zaprosił mnie do Rumieńca Ladacznicy. Jak mógłbym odmówić? - St. John wznosił ręce do góry. - Posiadłość jest wspaniała. Londyn w miniaturze ze wszelkimi możliwymi rozrywkami.

- A ja nie lubię Londynu - odezwał się nagle Phillip Watt.

- Doprawdy? - zapytał St. John, nie kryjąc rozbawienia. - A czemuż to?

- Bo nie chcę szukać gdzie indziej tego, co mam już tutaj. -

Phillip podniósł wielką, jasną głowę, promienny niczym Adonis. - W Fair Badden jest wszystko, czego mi potrzeba.

Ash zerknął w jego stronę. W ciągu pięciu lat Watt i Rhiannon zaludnią wiejski krajobraz małymi złotowłosymi bożkami i

mitologii.

- Mam dobre wino - ciągnął Phillip, mrugając przyjaźnie do

Asha - kiedy mam na nie ochotę. Świetne konie pod siodło.

Wspaniałych kompanów. I ładne dziewczyny.

- Pod siodło? - zachichotał St. John.

- Aha! - roześmiał się Watt odrobinę za głośno.

Cholerny głupek, pomyślał Ash. Pewnie zarazi Rhiannon

syfilisem w ich noc poślubną.

- Zgadzam się z Phillipem - oznajmił John Fortnum. - Nie co do

pań.

-

Jego uszy przybrały różowy kolor. - Co do innych rzeczy.

Słyszałem, że Londyn jest niebezpiecznym miejscem. Bandy

młodych arystokratów włóczą się po ulicach jak wściekłe psy,

napadając dobrych ludzi. Wyjątkowa impertynencja.

St. John wzruszył ramionami.

- Tutaj też dotarła przemoc. Wszak narzeczona Watta o mało nie

została niedawno zabita.

No tak, przypomniał sobie Ash. To ta blizna na jej policzku.

Centymetr dalej i jej jasne zielone oczy przestałyby widzieć.

- Nie złapano tego bandyty? - spytał.

- Nie - odparł Phillip lakonicznie.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby to wkrótce nastąpiło - wtrącił

Fortnum.

-
Głupi bandzior.

- Dlaczego głupi? - zainteresował się Ash.

- Napadł na otwarty powóz w jasny dzień - wyjaśnił Fortnum. -

Co spodziewał się zrabować? Złote korony?

- Sądziłem, że pani Fraiser jest osobą majątną- powiedział Ash.

- Jest - potwierdził Fortnum. - Ale nie obwiesza się klejnotami

za dnia. Może tak się robi w Londynie. My w Fair Badden

pokazujemy nasze błyskotki przy świecach.

St. John, znudzony obrotem rozmowy, szarpnął zębami skórkę

przy paznokciu.

- Może myślał, że wiozą ciężkie sakiewki - rzucił Ash, czując

zamęt w głowie.

54

- Dlaczego miałby tak myśleć? - zapytał Fortnum. - Przecież to

był zwykły powóz. Damy bez eskorty. Ale najbardziej mierzi mnie

to, że nawet kiedy woźnica zaciął konie i zaczął uciekać, ten łajdak

strzelił do dam. Nie musiał tego robić.

Ash przyznał mu rację.

- Drań miał maskę na twarzy - mówił dalej Fortnum. - Nie

dałoby się go rozpoznać. Gdybyśmy z ojcem nie byli akurat na

drodze i nie usłyszeli strzału... -urwał, kręcąc głową.

Niewiarygodne, ale wydawało się, że ktoś specjalnie zaczął się

na powóz z Rhiannon i panią Fraiser. Ash ściągnął brwi, westchnął

ciężko i podniósł się od stołu. Niedbałym gestem chwycił kubrak i odchudzoną sakiewkę. Żegnając się, już układał w myślach list do Thomasa Donne'a.

Donne, niezmiernie bogaty Szkot, o gładkich manierach i wiecznie znudzony, nie był przywiązany do nikogo ani do niczego.

Ale zawsze szukał sposobów, żeby przyjemnie spędzić czas.

Niewykluczone, że zadanie znalezienia czegoś na temat sieroty ze szkockich gór uzna za wystarczająco interesujące, aby się go podjąć.

Promienie popołudniowego słońca odbijały się od bielonej ściany dworku Fraiserów, przekazując ciepło ogrodowi. Na zarośniętej trawą ścieżce oddzielającej warzywa od ziół siedziała Rhiannon, głaszcząc jedwabiste ucho Stelli.

Suka ziewnęła szeroko, odsłaniając wielkie białe kły i długi różowy jęzor. Potem rozciągnęła się na kolanach Rhiannon, mruknęła z zadowolenia i zapadła w sen. Rhiannon się uśmiechnęła.

Pies należał do dzikiej, wojowniczej rasy, a tak łatwo go było ugłaskać zwykłą dobrocią.

Jak Asha Merricka.

Wcześniej tego dnia, gdy leżała pod nim na ziemi, przez chwilę naprawdę się bała. Kiedy zaś zawołała go po imieniu i dotknęła jego twarzy, zadrżał, po prostu zadrżał. Była ciekawa, kiedy ostatnio dotykano go bez brutalności czy groźby bólu.

Szlachcic z Londynu, do tego bardzo przystojny. Wiele kobiet musiało zanurzać dłonie w jego błyszczących czarnych włosach i

gładzić jego szczupłe policzki. Skąd jednak wzięły się te blizny na jego nadgarstkach?

Skonfundowana własnymi myślami, Rhiannon zaczęła pieścić drugie ucho Stelli. Prawda była taka, że Ash Merrick ją pociągał. To pachniało zdradą... To co z tego, jeśli tak było?

Nie była na tyle głupia, by pomylić fascynację z bardziej trwałym uczuciem. Po prostu intrygowały ją sprzeczności, jakie w nim widziała. Jakiej kobiety by to nie zainteresowało? Ale to wcale nie znaczy, że nie będzie wierną i oddaną żoną. We właściwym czasie.

Phillip z kolei będzie wiernym i oddanym mężem.

Wiedziała, że miewał przygody z wiejskimi kobietami. I nic w tym dziwnego, wszak odznaczał się niezwykłą urodą, był wesoły, hojny i...

- Rhiannon! Ach, tutaj jesteś. - Edith Fraiser wychynęła zza rogu, zatrzymała się przy dziewczynie i rozejrzała dookoła.

- Nie ma go tu - powiedziała Rhiannon.

- To dobrze - odparła Edith i po chwili spytała: - Kogo nie ma?

Rhiannon zatrzepotała niewinnie powiekami.

- A kogo, twoim zdaniem, ma nie być?

- Phillipa Warta, oczywiście - odparła Edith. - A myślałaś, że o kim mówię?

- O Phillipie, rzecz jasna - odparła Rhiannon, a potem

zrujnowała dobre wrażenie, wybuchając śmiechem na widok niedowierzającej miny starej damy. - Na Boga, pani Fraiser, twoje obawy są bezpodstawne, czegokolwiek by one dotyczyły.

- Za dobrze mnie znasz, Rhiannon Russell - stwierdziła Edith, unosząc spódnice i siadając obok niej jak kura na grzędzie.

Popatrzyła na drzemiącą na kolanach dziewczyny Stellę. - Psujesz tego psa. To zwierzę, nie dziecko. - Uśmiechnęła się chytrze i dodała: - Już wkrótce będziesz miała własne dzieci, a twój pies wróci do psiarni, gdzie jego miejsce.

- Nigdy - oświadczyła Rhiannon. - Jestem wierna. Warto o tym pamiętać, kiedy zły los wygna cię z domu bez grosza przy duszy.

56

- Hrara - mruknęła Edith. - Widzę, jak krążysz wokół pana Merricka. Niczym bojaźliwe źrebię, które kuszą jabłkiem, ostrożne, ale pewne, że wyciągnięta ręka oferuje coś słodkiego. Ucz się od tego źrebaka, Rhiannon. Często ręka trzymająca jabłko ukrywa drugą z pętlą.

Rhiannon się roześmiała.

- Jesteś mądra i dużo wiesz, ale wyobraźnia cię ponosi.

Zapewniam cię, że pan Merrick nie pragnie wciągnąć mnie w pułapkę, używając sznura albo czegoś innego.

Edith pokręciła głową.

- Czy dziewczyna wychowana w moim domu może być taka naiwna? Najwyraźniej może, bo po twoich oczach widzę, że wierzysz w

to, co mówisz. Nie myśl, że nie rozumiem pokusy, na jaką cię naraża.

Jest dworny i rzadkiej urody, kiedy go otrzepać z kurzu. - Wygładziła spódnice, wzdychając głęboko. - Wiem, że uważasz mnie za prostą kobietę ze wsi i taka jestem...

- Nie! - zaprotestowała Rhiannon. - Cenię twoje zdanie ponad wszystko. Od ciebie uczę się, jak postępować.

Edith uśmiechnęła się z dumą.

- Przyjmij zatem i tę naukę, Rhiannon: Trzymaj się z dala od pana Merricka. Jest niebezpieczny.

- Niebezpieczny? Czy to nie przesada? Jest uprzejmy, miły i układny, może trochę bardziej dworny, niż jesteśmy przyzwyczajone...

- Czy ty się ze mną sprzeczasz? - Edith wpatrywała się w dziewczynę z otwartymi ustami. Nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby pies przemówił. Rhiannon nigdy nie wyrażała wobec niej sprzeciwu. Zwykle nawet nie próbowała postawić na swoim, chyba że chodziło o polowanie albo Stellę.

Gładkie czoło Rhiannon zmarszczyło się, a jej spojrzenie wyrażało zarazem onieśmienie i upór.

- Być może - mruknęła, wyciągając rzepy z sierści Stelli. - Wybacz.

Edith się skrzywiła. Wszak na własne oczy - a te były jeszcze całkiem sprawne - widziała, a widziała mężczyznę, którego spojrzenie stawało się niespokojne i gorące, gdy napotykało postać jej kochanej Rhiannon.

Co gorsza, kiedy tylko ów mężczyzna znajdował się w pobliżu, twarz

młodej kobiety, która rzadko się rumieniła, przybierała barwę płomiennego zachodu słońca.

Słyszając jednak stanowczy ton z ust słodkiej, potulnej zwykle dziewczyny, zrozumiała, że ciągnąć tę rozmowę byłoby szaleństwem.

Przyzwyczała się do posłuszeństwa Rhiannon, ale wychowała również obdarzonego silną wolą syna. Znała ten upór, który wyrażały zaciśnięte usta Rhiannon. Dziwne tylko, że brak posłuszeństwa i dyscypliny, powszechne u dorastającej młodzieży, u niej wystąpiły tak późno.

-

Mam tu listę rzeczy do zrobienia - powiedziała, zmieniając temat. - Zajęć nam nie zabraknie. Jutro po południu przyjedzie młodzież, a lady Harquist nalega, żebyśmy stawili się na jej dorocznym balu. - Edith westchnęła, rozdrażniona.

Mąż lady Harquist otrzymał tytuł baroneta za patriotyzm okazany podczas ostatniego powstania jakobitów. Wprawdzie nie brał udziału w żadnej bitwie, ale zaopatrywał miejscowych tkaczy w darmową wełnę, potrzebną na mundury dla żołnierzy Jego Wysokości.

Lady Harquist - z domu Berty Lund - traktowała swoją nową pozycję z całą powagą. Dlatego też każdej wiosny społeczność Fair Badden odbywała jedyny w roku bal. Nie przypadkiem lady Harquist wyznaczyła jego datę tuż przed świętem majowym.

Chciała przeciwstawić prostacką, hałaśliwą wiejską zabawę eleganckiej rozrywce. Na swoje szczęście lady Harquist nie zdawała sobie sprawy, że tylko w jej przekonaniu bal wypadał lepiej w porównaniu ze świętem

majowym.

- Kto tam będzie?

Edith podniosła głowę na dźwięk niewinnego głosiku.

- Wszyscy. Włącznie z panem Merrickiem, jeśli o to pytasz.

- Wcale nie! - Rhiannon otworzyła szeroko oczy. - Musisz pozbyć się tych uprzedzeń.

- Hm. - Stara dama przyjrzała się dziewczynie, zanim wróciła do listy. - A więc mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia przed ślubem.

Twoja suknia nie jest nawet w połowie gotowa...

- Och!

Słyszając okrzyk Rhiannon, Edith wyprostowała się gwałtownie.

Dziewczyna odskoczyła do tyłu i łeb Stelli stuknął o ziemię z głośnym pacnięciem. Suka spojrzała z wyrzutem na swoją panią.

58

- Czy nie lepiej przygotować się najpierw do święta majowego? -

zapytała Rhiannon. - Ślub jest dopiero...

- Nazajutrz po święcie.

- Tak. Prawda. Jest jeszcze dużo do zrobienia przed świętem.

Obiecałaś podać domowe wino, a nie rozlałyśmy go nawet do butelek.

- Będzie dość trunków i bez naszego wina - mruknęła Edith.

- Zapewne. - Rhiannon uśmiechnęła się i stara dama poczuła, jak jej

upór się kruszy. - Ale czy chcesz narazić naszych sąsiadów na ból

głowy i sensacje żołądkowe, jakich się nabawią, jeśli uczczą święto tylko

paskudnym piwem z gospody?

- Może nie powinni go tyle pić. - Edith zaczerwieniła się lekko, przypomniawszy sobie, że sama raz czy dwa razy wypila trochę za dużo w majową noc.

- Och, moja kochana. - Rhiannon wyciągnęła rękę i połaskotała starą damę pod brodą z konspiracyjnym uśmiechem. - To jedyny raz w roku, kiedy mamy wymówkę, żeby udawać hultajów i błaznów.

Przez pozostałą część roku jesteśmy stanowczo zbyt trzeźwi. Co to będzie za święto bez twojego pysznego wina?

Dziewczyna miała rację. Edith sama nie chciała świętować, pijąc lurowate piwo z gospody Pod Oraczem, a zamierzała się dobrze bawić.

- No dobrze - poddała się burkliwie. - Będzie wino, ale gdyby święto majowe obchodzono z mniejszym zapałem, to może dziewięć miesięcy później nie byłoby tylu chrzcin.

Tak było rzeczywiście, zwłaszcza jeśli chodzi o wiejską młodzież. Stary obyczaj dobierania się w pary w tę noc i zbierania w ciemnym lesie kwiatów głogu często prowadził do tego, że zaloty kończyły się przed ołtarzem. Zachętą na ogół było dziecko.

- Mnie to nie grozi - roześmiała się Rhiannon. - Byłam Dziewiczą Królową Dziewiczego Maja przez trzy lata z rzędu.

- Uważaj, aby tak było i tej nocy, dziewczyno - powiedziała Edith surowo. - Przynajmniej do czasu twojego ślubu.

W chowanego? - powtórzyła Susan Chapham propozycję

Margaret Atherton. - W cisowym labiryncie?

Rozejrzała się dookoła, wykazując przesadną ostrożność, jako że

Edith Fraiser zagoniła wszystkich rodziców do salonu, gdzie gra w

wista i porto miały im zapewnić zajęcie na całe popołudnie.

- Odważymy się?

Chłopcy, nie chcąc, aby im zarzucono namawianie do tak

zdrożnej zabawy, nie zabierali głosu, ale sądząc po uśmiechach, nie

mieli nic przeciwko temu. Tylko Ash Merrick nie okazał żadnego

zainteresowania, zachowując uprzejmy, ale znudzony wyraz twarzy.

Bardziej niż ktokolwiek budził w Rhiannon gotowość do psot. Po

prostu nie mogła pozwolić, żeby tak obojętnie traktował ją i jej

przyjaciół.

- Czemu nie? - rzekła więc. - To będzie niezłe ćwiczenie przed

majowym świętem. Może my, damy, znajdziemy jakąś dobrą

kryjówkę, żeby w tę noc schować się bezpiecznie przed oczyma

mężczyzn.

- A jak chcecie zorganizować tę zabawę? - zapytał Ash Merrick.

Opierał się leniwie o majowy pał, który rano wieśniacy wbili w

ziemię.

Pobył w Fair Badden sprawił, że jego blada skóra nieco się

opaliła, a włosy, ponieważ nie nosił peruki, lśniły jak wypolerowany

heban.

- Wszyscy się chowają, a jedna osoba próbuje ich znaleźć? -

podsunęła Susan.

- Za bardzo męczące, jak dla mnie - stwierdził St. John i

ziewnął, zakrywając usta urękawiczoną dłonią.

- Masz lepszy pomysł? - spytała jedna z dziewcząt.

- Ja mam - oznajmił Phillip. - Panie się chowają, a ostatnia

znaleziona wygrywa,

- To nieuczciwe - zaprotestowała Margaret. - Rhiannon zostanie

znaleziona jako ostatnia. To w końcu jej labirynt.

- Poza tym - dodał John Fortnum z właściwym sobie marudnym

tonem - wydaje mi się, że skoro mężczyźni wykonują całe zadanie,

to im należy się za to jakaś nagroda.

Na twarzy Phillipa pojawił się natchniony uśmiech.

- A co wy na to? Dżentelmen, który znajdzie ostatnią damę

ukrytą w labiryncie, zostanie nagrodzony - rozejrzał się wokół -

pocałunkiem.

Panie zachichotały. Panowie uśmiechnęli się porozumiewawczo.

Ash Merrick pochylił się ku Margaret Atherton i coś jej szepnął. Coś,

co było przeznaczone tylko dla jej uszu.

- Tak! Niech będzie pocałunek! - zgodziła się Rhiannon.

- Ale Phillip zna labirynt prawie tak dobrze jak Rhiannon -

powiedziała Susan. - Z pewnością wygra... Oooh! - wykrzyknęła po

chwili, kiedy dotarło do niej, co się święci.

Phillip uniósł złote brwi z miną niewiniątka.

- Jestem przekonany, że Rhiannon zna kryjóWKi, których nie zdążyłem jeszcze poznać.

Jest bardzo pewny siebie, pomyślała Rhiannon, i ta sama część jej natury, która kazała jej poprzeć pomysł zabawy, ta sama, która sprawiała, że w wyścigach konnych gnała na złamanie karku, teraz wzięła górę, sprowokowana tą jego pewnością.

Rzeczywiście znała jedno czy dwa miejsca, których Phillip jeszcze nie odkrył. Lecz Margaret znała labirynt prawie równie dobrze, a ukradkowe spojrzenia, jakie rzucała Ashowi Merrickowi, mogły świadczyć o tym, że zamierza dać się znaleźć jako ostatnia... jeśli to on będzie poszukującym.

Jak było do przewidzenia, Margaret zgłosiła chęć udziału w zabawie.

- Doprawdy? - Ash uniósł czarną brew, odpłacając jej leniwym, zmysłowym spojrzeniem.

Margaret zachichotała nerwowo, a Rhiannon poczuła gorąco na policzkach. Ofuknęła się w myślach surowo. Dlaczego nie miałyby flirtować z Margaret? Nie jest z nikim związany - podobnie jak ona.

Oddaliła się od grupy szybkim, lekkim krokiem, a pozostałe panie, zarumienione z podniecenia, zgłosiły swój udział w grze. Kiedy ustalono, że mężczyźni ruszą na poszukiwania po odliczeniu do dwustu, rozbiegły się ze śmiechem po wiecznie zielonych korytarzach labiryntu.

skręciła w lewo. Jej przyjaciółki ruszą na koniec labiryntu i będą szukać kryjówki wśród żywopłotów w najgęstszej części ogrodu. Ale nie ona. Ona zostanie na bocznej dróżce. Kiedy mężczyźni przejdą, przemknie z powrotem do wyjścia, do bramy z róż, gdzie krzewy różane splatały się z gałęziami starych cisów, tworząc maleńki zakątek, który odkryła lata temu. Z zewnątrz labiryntu trudno by ją było wypatrzeć, ze środka nikt nie zdoła jej dostrzec.

Czekała, aż panowie wejdą do labiryntu. Wreszcie usłyszała przytłumiony odgłos myśliwskiego rogu, a potem tupot nóg przy wejściu i nawoływania. Wkrótce gniewny pisk Susan Chapham oznajmił, że została znaleziona jako pierwsza. Czy to Ash ją znalazł? Czy też polował na inną zwierzyne?

Rhiannon ostrożnie wyjrzała zza rogu. Nie słyszała niczego poza wiecznymi narzekaniami St. Johna. Pobiegła szybko ku wejściu.

Przycupnęła nisko, przechyliła się na bok i przemknęła przez gęstwę krzaków.

Wnętrze potężnego cisu spróchniało, dzięki czemu powstało maleńkie pomieszczenie o żywych ścianach. Przez górne gałęzie przebijały się igiełki słonecznego światła, świetlistymi punkcikami znacząc ziemię.

Pąki czerwonych róż zdobiły ciemną zieleń ścian jak rubiny, a ostry, przenikliwy zapach cisowych szpilek unosił się w powietrzu.

Nie była tutaj od lat. Od dzieciństwa, kiedy uciekała tu przed diabłami w czerwonych kubrakach, które galopowały konno w jej snach. Czy to były sny? Raczej wspomnienia, wracające w snach, kiedy

nie mogła się przed nimi bronić.

Dzięki Bogu, znalazła bezpieczną przystań. Znalazła Fair Badden.

Jej noga nie postanie więcej w krainie koszmarów. Nigdy.

Stłumiła wspomnienia. Nie będzie myśleć o niczym

nieprzyjemnym. Jest piękny wiosenny dzień, a ona uczestniczy w wesołej

grze. Mogła sobie wyobrazić zaskoczenie Phillipa, kiedy podejdzie do

altanki, gdzie spodziewał się ją znaleźć, i zastanie ją pustą.

Poczeka, aż Phillip da za wygraną, a potem wyjdzie z labiryntu,

plotąc wianek ze stokrotek.

Ash Merrick może się nawet uśmiechnie.

62

Triumfalny okrzyk obwieścił znalezienie kolejnej damy, a potem na-

stępnej i jeszcze dwóch. Została tylko Rhiannon.

- Musi gdzieś tu być - usłyszała niedaleko głos Phillipa.

- No i co, Watt! Przechytrzyła cię! Lepiej się zastanów, zanim

poślubisz dziewczynę, która jest sprytniejsza od ciebie. - To mówił John

Fortnum.

- Znajdę ją.

Nie znalazł jednak. Parę minut później zawołał:

- Nigdzie jej nie ma. Wypłoszymy ją jak kuropatwę. Musi być z

tyłu, tam gdzie drzewa przerastają labirynt. Pewnie wdrapała się na jedno

z nich i macha nogami, śmiejąc się, kiedy my łazimy z nosami przy

ziemi.

- Cóż, nawet jeśli nie wygram całusa, to właśnie zaoferowałeś mi

dostateczną nagrodę, żeby zyskać moją pomoc - parsknął śmiechem inny

chłopak. - Rhiannon Russell musi mieć piękne nogi.

Rhiannon spłoszyła.

- Jestem z tobą! - zawołał John Fortnum, oddalając się. -

Prowadź, Watt.

Rhiannon oparła głowę o chropowaty pień cisu, przygotowana na dłuższe czekanie. Na pewno minie sporo czasu, zanim Phillip uzna zabawę za zakończoną. Był uparty i nie lubił przegrywać.

Może sprawił to chłodny cień z plamkami złota, może cisza i bezruch albo upojny, wilgotny zapach kryjówki, w każdym razie wkrótce opadły jej powieki i zapadła w lekki, czujny sen.

- *Tha thu agam.* Mam cię.

Otworzyła powoli oczy, niepewna tego, co usłyszała. Celtycki.

Od dziesięciu lat nie słyszała celtyckiego. Podniosła głowę.

Ash Merrick stał nad nią.

Słońce rzucało plamy światła na jego szerokie ramiona, zapalało iskry w ciemnych włosach. Przechylił głowę na bok, więc nie mogła odczytać wyrazu jego ciemnych oczu, chociaż widziała wyraźnie okalające je ciemne rzęsy, cienie na policzkach, kształt ust.

- Odezwałeś się do mnie po celtycku.

- Czy tak? - szepnął. - Wychowałem się w szkockich górach, mimo mojej angielskiej krwi.

- Tak... Angielskiej... Ale w jaki sposób...? - zająknęła się,

przerwała i podjęła na nowo: - Nie słyszałam, jak wszedłeś. Jak to

możliwe? Powinnam była usłyszeć trzask łamanych gałęzi i...

- Wszedłem od strony róż. - Wskazał niską szparę prowadzącą do trawiastego ogrodu na zewnątrz. - Spacerowałem wokół labiryntu.

Czasami trzeba zostać z tyłu, żeby zobaczyć, co ma się przed sobą.

- Och. - Przełknęła ślinę, odgarniając kosmyk włosów z czoła.

Ogarnął ją niepokój, którego źródła nie mogła zrozumieć.

Aż podskoczyła, gdy pochylił się ku niej. Znieruchomiał na mgnienie oka, a potem wyciągnął rękę i zdjął gałązkę cisu z jej spódnicy.

- Wygrałem - powiedział.

- Tak. - Nie patrzyła mu w oczy.

- Nie spodziewałaś się, że ktoś cię znajdzie.

- Nie.

- I nie podoba ci się, że to zrobiłem.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo schowałam się w miejscu, w którym nikt nie powinien mnie znaleźć. Myślałam, że jestem bezpieczna.

- Bezpieczna. Interesujące określenie, biorąc od uwagi, że to tylko zabawa.

- Właśnie tak się czułam - wyjaśniła burkliwie. - Przychodziłam tutaj, kiedy byłam małą dziewczynką, wkrótce po tym, jak przybyłam z... jak przybyłam do Fair Badde.

- Ze szkockich gór.

- Tak.

- Ile miałaś lat? Dziewięć? Osiem? Twoja rodzina walczyła po stronie Pretendenta, czy tak?

Skinęła głową.

- Ukrywałaś się, kiedy przyszli ludzie Cumberlanda? Dlaczego?

Żołnierze nie szukali dzieci.

- Szukali każdego, kto miał szkocki pled - odparła szeptem.

- Ukrywałaś się w lesie. - Słowa wydawały się płynąć

niezależnie od jego woli.

- Tak.

- I nikt cię nie znalazł.

64

- Mnie ani starej kobiety, którą matka ze mną wysłała. - Nigdy nikomu nie opowiadała o tamtych czasach. Nawet Edith Fraiser. Raz próbowała, ale Edith wtedy przytuliła mocno drżącą dziewczynkę i powiedziała jej, żeby zapomniała o wszystkim, co się zdarzyło, zanim się u nich zjawiała.

Rhiannon starała się do tego zastosować. Tak jak robiła wszystko inne, o co prosili Fraiserowie. Chciała być grzeczna, obowiązkowa i nie sprawiać żadnych kłopotów. Na ogół jej się udawało. Ledwie pamiętała twarze własnych rodziców.

- Widzieliśmy, jak pali się gospodarstwo.

Nie pytał o nic więcej i była mu za to wdzięczna. Ale zrozumiał.

Widziała to. Czuła. W następstwie klęski zwolenników księcia

Karola pod Culloden straciła wszystkich; ojca, braci, wujów,
kuzynów.

- Czy masz jakąś rodzinę... poza ojcem? -zapytała.

- Siostrę. Brata.

Kiwnęła głową.

- Gdzie...

- A potem trafiłaś tutaj - przerwał jej. - Ale wciąż czujesz się
tak, jakby na ciebie polowano.

-

Nie. - Pokręciła głową. - Tylko czasami w nocy. Kiedy jest

burza. Nie chciałam być tchórzem i nie chciałam urazić pani

Fraiser... poczułaby się dotknięta, gdyby się okazało, że nie czuję się

bezpieczna w jej dobrym, ciepłym domu... więc wymykałam się na

zewnątrz i przychodziłam tutaj. Nikt mnie nigdy nie znalazł. Nikt o

tym nie wiedział. Sądziłam, że tak będzie zawsze, chyba że im

powiem. Rozumiesz więc, że tu było bezpiecznie. A teraz już nie

jest, bo ty mnie znalazłeś, i nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę

czuła się tu bezpiecznie. -I gdziekolwiek indziej, dodała w myślach.

Przyglądał jej się długą chwilę, zanim wyciągnął rękę - jak

poprzedniego dnia, po tym, gdy leżał na niej, dając jej poznać swoją

siłę, swój ciężar. Sprawił, że poczuła się słaba, bezbronna. Nie mogła

mieć do niego pretensji o to, że tak się poczuła i że w jakiś dziwny

sposób jej to odpowiadało. Bo zrozumiała, że on poczuł się silny i że

użyłby tej siły, by ją chronić.

65

Położyła swoją dłoń na jego dłoni. Podniósł ją bez wysiłku i się odsunął.

- Powinnaś być bezpieczna. Powinnaś czuć się bezpieczna -

mruknął z gniewną nutką w głosie.

- Teraz to nie ma znaczenia.

- Nikomu nie powiem o tym miejscu - obiecał. - Za parę tygodni

wyjadę i znowu będziesz miała swoje sanktuarium.

Nie rozumiał. Zostanie czy odjedzie, gdziekolwiek będzie, ona zawsze będzie pamiętała, że zna jej kryjówkę. Już nigdy nie będzie tu sama. Powodował nim jednak szlachetny odruch i nie mogła go urazić.

- Dziękuję.

- Ale... - podszedł bliżej; widziała, jak jego pierś wznosi się i

opada - teraz należy mi się nagroda.

Podszedł bliżej, ona zaś cofnęła się, dotykając ramionami

zielonych gałęzi cisu.

- *An toir thu dhomb mo pog?* - szepnął. - Czy dasz mi mój

pocałunek?

Podniosła wzrok; ich spojrzenia splotły się ze sobą, tak jak

krzaki róż spletały się z cisem za jej plecami. Równie mocno i

pewnie.

- Tak.

Powoli, ostrożnie, Ash zbliżył się, nie spuszczać z niej wzroku.

Schylił głowę, aż poczuła jego oddech na wargach. Spuściła powieki.

Ich usta się zetknęły.

Jego wargi dopasowały się czule do jej warg, poruszając się z odbierającą oddech słodyczą. Poddała się temu pocałunkowi, ustępując przed jego cudowną delikatnością. Ash podniósł ręce i sięgnął poza nią, jakby szukał czegoś w żywej ścianie, o którą się opierała. Pochylił się, pogłębiając pocałunek.

Odrzuciła głowę do tyłu, czuła się słaba, bezwolna. Położyła mu rękę na piersi. Jego serce biło gwałtownie pod jej dłonią.

Otworzyły się usta na jej ustach i jego oddech wkradł się pomiędzy jej wargi. Pachniał korzennym winem i świeżą miętą.

Czubek jego języka omiótł delikatnie jej wargi, skłaniając je, aby otworzyły się szerzej.

66

Nogi pod nią drżały. W głowie czuła pustkę. Wszystko, czego była świadoma, to jego język muskający wewnątrz jej warg i czubek jej własnego języka. Jego serce łomoczące pod jej dłonią kontrastowało z łagodnym oszołomieniem, które sprowadził pocałunek.

Otoczyła rękami jego ramiona, przywierając ciasno do twardej piersi... Puścił ją.

Półprzytomna, zdezorientowana, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Odsunął się i schował ręce za plecami. Twarz

miał nieruchomą, ciemne oczy zamknięte. Potem uśmiechnął się i skłonił nisko w dwornym ukłonie.

- Zostałem nagrodzony - powiedział. - Słyszałem, że inni już wrócili. Lepiej już idź, pani, i spotkaj się z nimi przed wejściem. Ja przyjdę później.

- Ale... - Patrzyła na niego oszołomiona, bo tym pocałunkiem obudził w niej uczucia, jakich nigdy nie doświadczała wobec Phillipa Watta.

Pani Fraiser się myliła. To nie Ash Merrick nie jest niebezpieczny; on jest taktowny i delikatny, a jego pocałunki miękkie i słodkie. To jej uczucia są niebezpieczne.

- Idź. - Nadal się uśmiechał. - Widzisz, wygrałaś.

Odwróciła się i zebrawszy spódnicę, wybiegła w jasne światło.

Nie widziała spojrzenia, jakim odprowadzał ją Ash Merrick, ani jego krwawiących dłoni, które pokaleczył, gniotąc kolczaste pędy, aby się powstrzymać przed utuleniem jej w ramionach.

W następnym tygodniu Rhiannon rzadko widywała Asha Merricka, bo Edith stale miała dla niej jakieś zajęcie. Wysyłała ją do odległych sąsiadów z różnymi poleceniami, kazała nadzorować przez całe ranki proces wytwarzania wiosennego miodu, a teraz postanowiła zdradzić jej tajemnice warzenia mocnego domowego wina.

Ilekczo Rhiannon wpadała na Asha - zawsze w drodze na spotkanie z innymi młodymi mężczyznami, do których należał Phillip - był uprzejmy i grzeczny, ale nic więcej. Nie dostrzegła w nim ani śladu zmysłowego pociągu, który sama tak usilnie starała się ukryć.

Najwyraźniej ich pocałunek był dla niego tylko zwykłą nagrodą w zabawie - zetknięciem się warg pozbawionym znaczenia.

Żałowała, że ona nie potrafi podejść do tego równie obojętnie.

Bo tamten pocałunek wywołał w niej burzę emocji i doznań, jego wspomnienie burzyło w niej krew, budziło niespokojną tęsknotę w ustach, palcach, piersiach...

To wspomnienie prześladowało ją. Kiedy w nocy zamykała oczy, próbując zasnąć, widziała Merricka.

Starała się unikać jego towarzystwa. Ale dziś miała niewielkie szanse, żeby go ominąć - czy też on ją. Wieczorem miał się odbyć bal u lady Harquist i Rhiannon zastanawiała się z niepokojem, czy Ash Merrick będzie na nim, czy nie.

Na pewno figurował na liście gości, ale może nie przyjmie zaproszenia. Miał bardziej niż stosowną wymówkę: nie przywiózł ze sobą stroju odpowiedniego na bal.

Ta myśl przyniosła jej ulgę i jednocześnie dotkliwe, zabarwione wyrzutami sumienia, uczucie zawodu.

Edith Fraiser znowu miała rację: Ash Merrick był niebezpieczny.

- Ta twoja szkapa nie nadawałaby się nawet na pokarm dla moich psów, Merrick! - zawołał podchmielony Phillip.

Ash, trzęsąc się na krępych kucyku w pewnej odległości od Phillipa, udał, że nie usłyszał jego komentarza. Pozostali usłyszeli. Zaczęli wykrzykiwać coś pijackimi głosami. Nawet Cyganie, którzy z nimi jechali, błyskali zębami pod fantastycznymi maskami z papier-mache, wypowiadając zjadliwe uwagi pod adresem Merricka.

Phillip ukłął ostrogą swojego wierzchowca. Daleko przed nimi dwór Harquistów jaśniał w ciemności jak latarnia morska.

- Prawdziwy z ciebie Mogoł - stwierdził Phillip, podjeżdżając do Asha.

Ash tylko się uśmiechnął i pociągnął kolejny łyk ze skórzanej manierki, którą przytroczył do siodła.

Ponieważ nie odpowiadał, Phillip odezwał się znowu.

- Niech mnie diabli, jeśli to nie wspaniały pomysł. Nie wiem, dlaczego żaden z nas dotychczas na to nie wpadł.

Pomysł był rzeczywiście doskonały. Wcześniej tego dnia siedzieli smętnie nad kufkami piwa w gospodzie Pod Oraczem,

narzekając na nudę czekającego ich wieczoru - wiosennego balu lady

Harquist.

Ash milczał, co zdarzało mu się coraz częściej w ciągu ostatnich paru dni. Jego znudzenie udzieliło się innym, pozbawiając ich zwykłej wesołości, dopóki do gospody nie wkroczyła banda brudnych, wyglądających na żebraków obwiesiów.

Merrick podniósł głowę, śledząc nowo przybyłych z zainteresowaniem. W jego srebrnych oczach zapaliło się światełko natchnienia. Uderzył dłonią w stół.

- Skoro wieczorna rozrywka zapowiada się na byle jaką, drodzy panowie, macie tylko dwie możliwości - oświadczył. - Możecie z niej zrezygnować...

- W żaden sposób - wtrącił żalonym tonem John Fortnum. - Ojciec wydziedziczyłby mnie, gdybym uraził lady H.

- Mój też - przyznał Phillip.

- W takim razie macie tylko jedno wyjście - powiedział Ash. -

Wy staniecie się rozrywką. - Rzucił znaczące spojrzenie w kierunku obcych. - O ile się nie mylę, a w tych sprawach myślę się rzadko, tam jest okazja.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, przywołał przywódcę grupy, Raoula, siwowłosego mężczyznę o ciele gruzłowatym jak nadrzeczna olcha. Podczas następnych dwóch godzin - umilonych beczką mocnego jabłecznika - Merrick ustalił, że Cyganie są w

istocie trupą akrobatów i żonglerów, „najętych, by zabawiać państwa w wielkim domu”.

Po czym przekupił Raoula słodkimi słówkami i słodsza monetą, aby pozwolił im przyłączyć się na tę noc do swojej grupy, przebranych za cyrkowców. Teraz więc St. John, Fortnum i sam Phillip - i pół tuzina bezimiennych hultajów- jechali kłusem drogą prowadzącą do domu lady Harquist ubrani w czarne, obcisłe spodnie i koszule, z twarzami ukrytymi za cudacznymi maskami, pijani w trupa, szczęśliwi jak anioły i tak gotowi do psoty, jak dzieci Szatana. Wszystko zaś dzięki temu piekielnie zabawnemu i fascynującemu kompanowi u boku Phillipa, Ashowi Merrickowi.

Phillip zdawał sobie mętnie sprawę, że spotkał swojego idola.

Zwykle to on - z powodu swojego wzrostu, siły, urody i majątku ojca - był tym, który budził podziw. Ale na Ashu Merricku żaden z tych atrybutów nie robił wrażenia. Miał on bowiem dość urody i wdzięku, żeby nie musiał chować się za innymi.

Był po prostu najniezwyklejszym, najbardziej nieustraszonym i najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego Phillip w życiu spotkał.

Phillip przyglądał się zamglonym okiem swojemu bohaterowi.

Merrick był szczupły i twardy jak szpada. Nawet odurzony alkoholem nie tracił werwy.

Sekret polegał na tym, myślał Phillip, że potrafił zamienić wszystko w zabawę. Na przykład parę dni temu, kiedy Merrick nagle oznajmił, że miejscowi urzędnicy są starzy i ślepi i w związku z tym

niezdolni wytropić łajdaka, który napadł na Rhiannon i panią Fraiser.

Takie zadanie nadaje się dla młodych dżentelmenów o bystrych oczach.

Przez resztę dnia i cały następny Merrick ciągnął swoich rozbawionych, zaskoczonych kompanów po wsi, rozmawiając z obsługą oberży, zaczajając się na parobków - wszystko w poszukiwaniu jakiegoś śladu bandyty.

Niczego nie znaleźli, ale nie o to przecież chodziło, prawda?

Chodziło o zabawę. Podniecającą rozrywkę.

Nie wiem, czy to faktycznie dobry pomysł! - zawołał z tyłu Fortunum. Kręcone rogi jego baraniej maski zatrzęsły się gwałtownie. -

Będziemy się mieli z pyszna, jak nas złapią!

70

- Co mamy z nimi zrobić, Watt? - westchnął Ash. Phillip poczuł się pochlebiony.

- Nie wiem - odparł, starając się odgadnąć życzenie Merricka.

- Chyba musimy osłodzić zabawę. - Merrick położył pięść na biodrze i popatrzył surowo na St. Johna i Fortnuma. Była w nim jakaś srogość, która budziła zachwyt Phillipa.

- Zastanówmy się chwilę. Jak zachęcić naszych przyjaciół do zabawy? Stawiacie zakłady, czy nie tak? - spytał.

Obaj mężczyźni przytaknęli.

- Ha! Wiedziałem, że dobrze was oceniłem. A zatem niech będzie.

Stawiam zakład, że potrafię zwodzić wszystkich gości lady Harquist

przez pełną godzinę. Co więcej, zakładam się, że kiedy w końcu moja tożsamość zostanie ujawniona, nie padnie ani jedno słowo nagany bez względu na to, jak bardzo prostackie i rozpustne będzie moje zachowanie i jak bardzo się upiję, a bądźcie pewni, moi drodzy, że zamierzam spić się jak bela. - Uśmiechnął się wyzywająco.

- Och, daj spokój, Merrick - wymamrotał Fortnum.

- Ha! - parsknął St. John. - Przyjmuję zakład.

- Na pewno? - Ash przechylił głowę. - Nie powiedziałem jeszcze, ile stawiam.

- Ile? - zapytał St. John. Ash się uśmiechnął.

- Dwieście funtów.

Phillip ukrył zaskoczenie. Dwieście funtów to było więcej, niż postawił kiedykolwiek na jednorazowy zakład.

Chłodne, kpiące spojrzenie Asha przesunęło się po ich twarzach.

- Tak myślałem - mruknął rozbawiony. Pociągnął z bukłaka.

- Powiadam, że będziesz w stanie to zrobić! - oznajmił lojalnie

Phillip. Ash podał mu manierkę z winem. Phillip łyknął łąpczywie, zerkając z urażoną podsztych tchórzem przyjaciół.

- Przyjmuję zakład - powiedział w końcu St. John.

- Doskonale, St. John-odparł Merrick.-Wiedziałem, że jesteś pierwszorzędnym graczem. Najpierw: zasady. Żaden z was, słowem czy gestem, nie może zdradzić, że zna któregokolwiek z gości lady Harquist. Musicie trzymać się z dala od tych, którzy są wam bliscy, czy to jest przyjaciel, ojciec czy kochanka. - Spojrzał Phillipowi w

oczy. Na policzki Watta wystąpił rumieniec. - Zgoda?

71

Wszyscy pokiwali głowami.

- Dobrze. Teraz potrzebny mi ostry nóż i pewna ręka, żeby trzymać lustro.

- Ale po co? - zapytał Fortnum.

Merrick się roześmiał.

- Obawiam się, że ukrywanie swojej tożsamości z tą brodą może przewyższać nawet moje zdolności aktorskie - wyjaśnił. - Kto mi pomoże?

Jeden z Cyganów znalazł w swoim węzélku podróźnym

przybory do golenia. Dziesięć minut później dzieło było gotowe.

Merrick spojrział w lustro, śmiejąc się do swojego odbicia, zanim naciągnął maskę czarnego jedwabnego domina na włosy i górną część twarzy.

- W drogę - oznajmił.

Wkrótce kłusowali za nim kamiennym podjazdem prowadzącym do dworu lady Harquist. Słabe światło księżycy wydobywało z mroku zarys ud i ramion Merricka, Phillip pociągnął jeszcze parę łyków wina.

Kto mógłby nie polubić takiego człowieka jak Merrick? -

zastanawiał się. A jednak Rhiannon najwyraźniej czuła do niego awersję. Dziwne, bo na początku okazywała mu raczej sympatię.

Dopiero ostatnio źle się czuła w jego towarzystwie, uciekała od

niego. Nie z winy Merricka.

Traktował ją uprzejmie, z szacunkiem, nawet dwornie. Może pił trochę za dużo, a każdy dzień wydawał się wzmacniać jego pragnienie, ale co z tego? On sam też pił więcej niż zwykle. Zwłaszcza teraz, przed zbliżającym się ożenkiem.

Stłumił nieprzyjemne uczucie, jakie wywołała ta myśl. To, że gołąb boi się obrączkowania, jest chyba normalne.

Niech lepiej Rhiannon przyjmie do wiadomości, że Phillip pozostanie wierny swoim przyjaciołom. Dla mężczyzny nie ma nic cenniejszego od przyjaciół. Wspierają go, rozumieją i dodają odwagi w życiu, tak jak żadna kobieta nie potrafi.

Phillip napił się jeszcze, usiłując odpędzić niemiłe myśli.

Rhiannon nie będzie się wtrącać do jego spraw, przekonywał sam siebie. Dlatego wybrał ją na żonę, No i ze względu na życzenie ojca.

72

Starszy pan wybrał dla syna właśnie Rhiannon, ponieważ, jak twierdził, jest dobra, wierna i pełna wdzięczności. Przyjmie ze spokojem wszystko, co Phillip zrobi, i nie będzie domagać się rzeczy, których mąż nie mógłby - czy raczej nie chciałby jej dać.

Ojciec miał rację. Rhiannon to doskonały materiał na żonę. Poza tym podobała mu się.

Tak, pora się żenić. Chociaż młody, czuł, jak z każdym rokiem rośnie w nim dziwna niechęć do samej idei małżeństwa. Gdyby czekał zbyt długo, może w ogóle nie potrafiłby się zdecydować -

życie kawalera obfitowało w rozliczne przyjemności. Jest wolny, nie musi opowiadać się przed kobietą z tego, gdzie bywa i co robi. No i, rzecz jasna, dodał w myślach, może mieć inne kobiety.

A jednak chciał założyć rodzinę. Chciał mieć dzieci, a jego ojciec marzył o wnukach, o które jego starsi synowie jeszcze się nie postarali. Rhiannon będzie dobrą matką.

Jakby odgadując te myśli, Merrick zwrócił się nagle do niego i spytał:

- Twoja ukochana przyszła małżonka będzie na dzisiejszym balu, prawda?

- Tak.

- A poza nią-dodał John Fortnum-mnóstwo bogatych panien.

Teraz, kiedy Phillip się żeni, mój tata wariuje, żebym zrobił to samo.

Może powinienem wykorzystać okazję i przyjrzeć się ewentualnym kandydatkom, oczywiście bez ich wiedzy. To, że Watt może sobie pozwolić na pannę bez grosza, nie znaczy, że ja też mogę.

Merrick przekręcił się w siodle, patrząc na Phillipa.

- Jak to się stało, Watt, że poprosiłeś o rękę ubogą, choć uroczą pannę Russell?

-

Phillip jest owocem późnej miłości - pośpieszył z

wyjaśnieniem Fortnum, zanim Watt zdążył się odezwać. - Ojciec

kocha go ogromnie. Gdyby to miało zatrzymać Phillipa w Fair

Badden, pozwoliłby mu poślubić dziewczkę z oberży. - Bogata żona -

ciągnął - mogłaby zapragnąć domu w Londynie. Do żony z

koneksjami mogłaby przyjeżdżać rodzina i siedzieć tu dłuższy czas.

Panna Russell nie ma powodu, żeby wyjechać z Fair Badden, ani też nie ma na to ochoty.

73

Na trzeźwo Phillip może oburzyłby się na te wynurzenia, ale trzeźwy nie był. Był cudownie pijany, w otoczeniu serdecznych przyjaciół i z fantastyczną zabawą w perspektywie. Co i dlaczego miałby ukrywać przed tymi ludźmi?

- Prawda - przyznał. - Ale to nie jedyny powód. Rhiannon jest wystarczająco mądra, by resztę życia spędzić w poczuciu wdzięczności do mnie za to, że uczyniłem ją swoją żoną. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jaka inna kobieta czułaby to samo?

74

Byli hałaśliwi i nieokrzesani. Do tego radośni i pełni życia. Fair

Badden nigdy takich nie widziało.

Inni wędrowni komedianci oceniali śmietankę towarzyską Fair

Badden jako bandę nadętych, zarozumiałych nudziarzy i stosownie do

tego prezentowali swoje talenty, odgrywając filozoficzne sztuczki

albo odśpiewując zawodzącym chórem długie, nudne pieśni. Ale nie ci.

Gruboskórni, rubaszni i wrzaskliwi, zarażali wszystkich dookoła swoją

joie de vivre. Prawda - rola wielkiego, milczącego obwiesia sprowadzała

się do tego, że pozwalał innym na siebie włączyć, ale rolę człowieka-góry

grał dobrze. Inny zamaskowany mężczyzna krążył po sali, wyjmując

kielichy z winem z wypielęgnowanych rąk gości lady Harquist i

wygadując sprośności wysokim pijackim falsetem.

Byli nieprzewidywalni, podniecający, urzekająco nowi. Nawet u

najbardziej zatwardziały snobów niektóre ich sztuczki wywoływały

uśmiech. Śpiewali lubieżne piosenki z bezwstydnym zapałem,

wyśmiewali lepszych od siebie z zaskakującą przenikliwością i wlewali

w siebie drogie wino, jakby to były zlewki jabłecznika. Skakali i

zonglowali, tańczyli i wyczy niali akrobacje, Krótkie umoralniające

scenki w ich wykonaniu przeradzały się w smakowite, dwuznaczne

żarty.

Rhiannon powitała wesołą kompanię z ulgą, chcąc przestać się za-

dręczyć wspomnieniem Asha Merricka, włączyła się z entuzjazmem

w gry słowne. Było jeszcze wcześnie. Nie wszyscy zdążyli przyjechać.

W towarzystwie szczupłego komedianta w czarnym jedwabnym dominie śmiała się, uszczęśliwiona, że może chwilę odpocząć od niespokojnych myśli.

- Ach, śliczne biedroneczki! - mówił bełkotliwym, chrapliwym głosem, a jego wyraźny francuski akcent brzmiał tak autentycznie, że trudno byłoby uwierzyć, że nie jest prawdziwy. Gapił się na młode damy chichoczące za plecami Rhiannon. - Całe stadko i wszystkie wyśpiewują pieśni miłosne!

Zamaszystym mchem ściągnął z głowy sfatygowany trójgraniasty kapelusz. Włosy miał ukryte pod czarną jedwabną chustą. Skłonił się tak nisko, że czołem niemal dotknął podłogi. Już miał się przewrócić głową naprzód, kiedy wystrzelił do góry, prostując się i mrugając nieprzytomnie oczami.

Udaje, bez wątpienia, pomyślała Rhiannon. Bo choć bełkotał, poruszał się z gracją dworskiego trefnisia, uchylając się przed przedmiotami, którymi ciskali w niego inni komedianci, łapiąc je w powietrzu i odrzucając z powrotem.

Błazeński uśmiech nie schodził mu z twarzy, ale oczy pod maską płonęły gorączkowym ogniem.

- Hej, panienko! - zawołał, usiłując złapać Rhiannon, ta jednak wymknęła się zręcznie. Rozbawiona, okręciła się tanecznie, rozwiewając wokół siebie chmurę brokatu w kolorze żonkili. Kosmyk włosów wysunął się z kunsztownej fryzury, opadając na szyję.

- Chodź, najdroższa. Moja wyniosła, diabelska królowo Mab o lek-

kich stopach - wabił ją pieszczotliwie, znów wyciągnąwszy rękę. - Wyglądasz na żadne przygód dziewczę, na ciekawskiego kotka. Słyszałem, że wszystkie damy marzą o takim spotkaniu. Przyznaj, moja słodka, prawdą jest, że dziewice ciekawe są uścisków Cygana.

Francuski Cygan recytujący Szekspira? Mało prawdopodobne.

Rhiannon zachichotała.

- Jeśli pozwolę, aby twoje ramiona mnie objęły, panie - odparła ze śmiechem - nadal będę ciekawa.

Szarpnął głowę do góry. W jego ciemnych oczach błysnęło zaskoczenie.

- Co mówisz, *mon amie*? Że ja nie jestem tym, kim się wydaję - jego głos przycichł, stał się jedwabisty - czy też że ty nie jesteś?

O, śmiały łobuz! - myślała Rhiannon, nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu.

- Fałszywy Cygan! - zawołała.

- Słodkie dziecko! - odparował niskim, szorstkim głosem, krzywiąc twarz w pijackim uśmiechu.

- Nie dam się tak łatwo oszukać. - Rhiannon nie chciała uchodzić za naiwną; położyła ręce na biodrach i uniosła brew. - Czyż cię nie przejrzałam?

Pochyliła się, przyglądając się uważnie jego gładkiej jak marmur szczęce o niebieskawym odcieniu i pełnym, zmysłowym wargom.

Nie były znajome, ale...

- Znam cię - mruknęła zdumiona.

- Nie, *mademoiselle*. - Pokręcił głową ze smutkiem. Ciemne oczy schwytały i uwięziły jej spojrzenie. - Jak bowiem mogłabyś mnie znać, skoro ja nie znam samego siebie?

Hałas wokół przycichł. Ledwie zauważyła, że przyjaciele podeszli bliżej.

Niewierna flirtiaro, gromiła siebie w myślach. Czy nie dość, że w sercu zdradziła Phillipa z czarnowłosym londyńczykiem, to teraz jeszcze zdradza obu z tym... aktorem, który swoje miodowe słówka wypróbował na całych zastępach rozszczebiotanych, rumieniących się dziewcząt.

- Kim jesteś?-zapytała.

Wzruszył ramionami i zrobił krok do tyłu.

- Kim chcesz, żebym był? Akrobatą?

Nagle zgiął się w pół i skoczył, robiąc salto w powietrzu i lądując lekko na ziemi. Damy wokół zaczęły klaskać. Nie zwrócił uwagi na oklaski; nie spuszczał wzroku z Rhiannon.

- Minstrelem?

Sięgnął po wiszący u pasa cienki flet i przytknął go do ust. Spod jego palców wypłynęła wesoła melodia. Niewielka grupka słuchaczy ponownie nagrodziła go oklaskami.

- Błaznem?

Zaśmiał się; nieprzyjemny, smutny dźwięk poruszył serce

Rhiannon. Zbliżyła się do niego o krok, on zaś cofnął się, jakby

poczuł się zagrożony.

- Nie! Jeszcze nie. Chociaż jest nadzieja, że będziesz świadkiem mojej gry dzisiejszej nocy. Nie możesz tego stracić. To moja najlepsza rola.

- Tak! - zawołała młoda dama w kunsztownej peruce i brylantowych kolczykach. - Zagraj teraz dla nas błazna! Komediant odwrócił ku niej głowę.

- Wybacz, *ma chérie*, ale muszę odmówić. Ta maska jest zbyt kiepska, zniszczona. Nie nadaje się dla tak świetnego towarzystwa. Opuszczę was i późnym wieczorem, gdy będziecie leżały, wzdychając, na jakimś zacnym- przerwał, a damy zaczerpnęły tchu -

77

materacu, naprawię ją. Kiedy spotkamy się następnym razem, przysięgam, będę frantem.

Stał nieruchomo parę sekund, a potem nagle się rozpromienił.

- Ale na dziś mam lepszy pomysł.

- Jaki? - zapytała dama w brylantach, ale on już na nią nie patrzył.

Wpatrywał się w Rhiannon. Zafascynowana i oczarowana, nie ruszała się z miejsca, chociaż rozsądek nakazywał jej odejść.

- Może dzisiaj wieczorem będę... bohaterem? Nie? - Opadł na kolano i wyciągnął błagalnie rękę ku Rhiannon. - Dzielnym kawalerem? Wspaniałym rycerzem?

Uśmiechnęła się i ujęła jego dłoń, gdyby jej nie cofnął.

Wyciągnął srebrny sztylet ukryty w wysokim bucie. Ostrze błysnęło groźnie w jego dłoni.

- A może najemnikiem? Złoczyńcą? Powiedz mi tylko, ile płacisz...a ja ci podam cenę. - Jego głos brzmiał teraz beznamiętnie.

Czubek noża zakreślił łuk przed grupką chichoczących kobiet.

Zatrzymał

się

przy

Rhian

non, zadrżał i cofnął się gwałtownie. - Łotrzykiem? Czy

przyjacielem?

Podrzucił sztylet i złapał go w locie. Raz i jeszcze dwa razy.

Oddychał teraz szybko, pod obcisłym strojem widać było, jak jego muskularna pierś wznosi się i opada.

- Trzpiotem? Szubrawcem?

Alkohol nie plątał mu już języka ani nie mącił spojrzenia lśniących oczu. Podeszedł bliżej, spięty, z głową lekko pochyloną, niczym zdziczały pies.

- Powiedz mi tylko, czego pragniesz, *mon coeur* - rzekł. - A stanę się tym dla ciebie. Kimkolwiek. To właśnie moje zajęcie. To wszystko, co mogę zaoferować.

Hipnotyzował ją głosem; wulgarne insynuacje i gorzka kpina nie maskowały głębokiego smutku kryjącego się za słowami. Publiczność wokół umilkła. Margaret przestępowała z nogi na nogę, strzelając

nerwowo oczami na prawo i lewo.

Po chwili czar przysł. Odziany w czerń akrobata odskoczył do tyłu, robiąc fikołka w powietrzu.

78

- Żadnej podpowiedzi? - poskarżył się. - Jestem zdany na samego siebie? Na własną wyobraźnię? Niezbyt to bezpieczne w wypadku takiego człowieka jak ja.

Westchnął ciężko.

- Zatem będę żonglerem. Do mnie, przyjaciele!

Na to wezwanie wielu jego towarzyszy komediantów porzuciło swoje zajęcia. Zawołał jeszcze raz, podniósł sztylet i rzucił nim nad głowami gości lady Harquist. Goście jak jeden mąż skulili się, wydając okrzyk przestachu. Nóż zaświstał wysoko nad ich eleganckimi fryzurami i zdobnymi w pióra wielkimi perukami.

Niski mężczyzna o pałkowatych nogach wdrapał się olbrzymowi na ramiona. Zachichotał radośnie i złapał sztylet. W jego drugiej ręce, jak za sprawą czarów, pojawił się identyczny nóż. Żongler krzyknął i cisnął jeden, a potem dragi sztylet w niedoszęłego rycerza Rhiannon. Ten złapał oba i odrzucił wysokim łukiem jeden za drugim. Doszedł do nich trzeci nóż, a potem czwarty, kiedy inni członkowie trupy zaczęli rzucać swoje lśniące sztylety w stronę postaci w czarnym dominie.

Bez wysiłku chwycił kolejne, dodając je do lśniącego kręgu śmierci i od czasu do czasu zabierając jakiś, żeby cisnąć go w inną stronę; nóż wracał nieodmiennie, zawsze w parze z kolejnym.

Zafascynowane towarzystwo wstrzymało oddechy, przyciskając do ust dłonie w rękawiczkach.

Wydawało się, że robi to z łatwością, niemal bez wysiłku. Ale Rhiannon, która stała najbliżej, widziała warstewkę potu na jego gładko ogolonej brodzie i niezwykłą koncentrację, z jaką śledził pędzące ku niemu ostrza, koncentrację, która kłóciła się z wesołymi kpinkami i płynnością ruchów.

Teraz, gdy przestała być obiektem jego uwagi, wróciło denerwujące wrażenie, że zna tego człowieka. Szczupłe, silne ciało ukryte pod zakurzonym strojem, wdzięk, nawet sposób mówienia, mimo akcentu...

Jej spojrzenie pobiegło ku młodemu olbrzymowi, który chwilowo nie mając zajęcia, stał leniwie oparty o ścianę. Maską na jego twarzy się przekrzywiła. Przez otwór na oko wystawała krzaczasta złota brew.

Philiip?

Odwróciła głowę. Żongler wyciągnął ręce nad głowę, żeby złapać nóż rzucony odrobinę za wysoko. Rękaw zsunął się z dłoni.

79

Na nadgarstku widniała szeroka, blada blizna.

- Merrick? - szepnęła, rzucając się do przodu.

Kątem oka zauważyła błysk srebra; potem usłyszała głuche tąpnięcie. Odwróciła się. W ścianie za jej plecami drżał srebrny sztylet.

Dokładnie tam, gdzie przed chwilą stała.

80

Rhiannon wpatrywała się w srebrne ostrze. Wino osłabiło pewność czyjejs ręki, pomyślała przejęta. Gdyby się nie ruszyła...

Ash, zerwawszy z twarzy jedwabną maskę, badał wzrokiem tłum.

Goście aż sapnęli ze zdumienia; rozległ się gwar zdumionych głosów.

- To ten Merrick!

- Merrick? Ten, który zatrzymał się u Fraiserów?

- Merrick. Ash Merrick. Syn Carra...

W chłodnej głębi ciemnych oczu Asha błysnęła iskierka, kiedy przyglądał się uważnie zwróconym ku sobie twarzom. Nie był pijany, udawał, omyślała Rhiannon. Wszystko, co mówił, te wszystkie słowne gierki...

- Co to za zabawa? - usłyszała głos Edith Fraiser. Goście rozstąpili się i stara dama przepłynęła wśród nich. Podeszła zdecydowanym krokiem do Merricka, nawet nie spojrzawszy na nóż.

Rhiannon uświadomiła sobie nagle, że Edith, podobnie jak znakomita większość obecnych, nie zdawała sobie sprawy, jak niewiele brakowało, by ów sztylet wyzwolił duszę jej przybranej córki z ziemskiej powłoki.

- A zatem to naprawdę pan Merrick? - odezwała się Edith.

- Tak, pani - mruknął Ash cichym, roztargnionym głosem. - Ja także chciałbym wiedzieć, co to za zabawa.

Odwrócił się i na jego twarzy pojawił się nagle krzywy uśmiezek.

- Nieste-e-ty... to jest niestety... zostałem zdemaskowany! -

zawołał,

kłaniając się chwiejnie. -A ponieważ zostałem

zdemaskowany, domagam się, żeby moi towarzysze podzielili mój

los, Ściągać maski! Ściągać maski!

Z pijackim okrzykiem Phillip szarpnął maskę, odsłaniając twarz.

- Ja

też! - zawołał, najwyraźniej uszczęśliwiony. -

Zdemaskowany, tak jest!

Inni poszli za ich przykładem. Goście lady Harquist gapili się na

nich pełni zdumienia, chichotali, uśmiechali się, wreszcie zaczęli się

głośno śmiać. Nawet gospodyni, widząc, jak dobrze przyjęto

falszywych komediantów, pozwoliła sobie na grymas wyrażający

samozadowolenie.

Prawda, parę dam pociągało nosami - największe grymaśnice -

ale większość zebranych przyjęła żart dobrze. Rozległy się nawet

oklaski, a ojciec Phillipa, zgarbiony i powykrzywiany od podagry,

zastukał laską w podłogę na znak aprobaty.

- To twoje dzieło, Merrick? - zapytał. - Dobrześ się postarał,

panie. Nasza społeczność od dawna przeszła stęchlizną. Potrzeba

nam świeżego moczu, żeby nocnik znowu błyszczał!

Ash jowialnym gestem pozdrowił tłum, po czym zepsuł

wrażenie, straciwszy równowagę i wpadając na ścianę. Wyrznął

ramieniem w obicie. Został tak, pochylony, z twarzą parę

centymetrów od miejsca, w którym tkwił nóż. Badał go wzrokiem.

- Co to jest? Co to jest? - mamrotał.

A jednak jest pijany, pomyślała Rhiannon, robiąc sobie wyrzuty z powodu własnej naiwności.

Odbicie światła w jego oczach wzięła za wyraz czujności, a cienie wywołane płomieniem świec na brodzie i szyi za napięcie ciała gotowego do wszelkich sztuczek. Dopatrywała się znaczenia w jego słowach, podczas gdy była w nich tylko sztuczna słodycz.

Spuściła oczy. Piekły ją, a nie chciała płakać. Nie miała powodu.

Ash spojrzał w jej stronę, uśmiechając się głupkowato.

Skrzywiła się, a potem, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest niesprawiedliwa, zmusiła się do uśmiechu. Nie jego wina, że w wyobraźni zrobiła z niego swojego rycerza, a lśniąca zbroja okazała się nie pasować.

Merrick wskazał nóż.

- Tutaj stałaś, panno Russell, prawda?

- Tak - potwierdziła. -I co z tego?

Goście, zwróciwszy w końcu uwagę na nóż wbity w płótno pokrywające ścianę, stanęli przy nich w luźnym półkolu.

- On myśli, że ktoś rzucił nożem w pannę Russell - powiedziała jedna z dam.

Jakiś mężczyzna parsknął pogardliwie.

- Robota partacza. Przypadek.

- To prawdopodobnie któryś z szalonych kompanów Watta -

stwierdził starszy pan. - Nie mają krzty rozumu.

Przez zgromadzenie przeszedł cichy pomruk.

- Co ten Merrick teraz robi? - zapytała dama w pobliżu

Rhiannon.

- A co to ma za znaczenie? Niechby jeszcze raz napiął te swoje ramiona pod ubraniem, a uznam się za zadowoloną - szepnął z podziwem inny kobiecy głos.

- Piękny mężczyzna. Ciemny jak burzliwa noc - dodała inna dama.

- Chętnie bym się naraziła na tę burzę... gdybym mogła spotkać go w nocy - odezwała się gardłowym głosem jeszcze inna.

Rhiannon ugryzła się w język. Nie jej sprawa, co te fladry sobie myślą. Ash zakończył oględziny sztyletu i się odwrócił. Oczy załśniły mu na jej widok.

- Boże! Rozumiem! - oświadczył tonem człowieka, na którego spłynęło natchnienie. - Ktoś pomylił ten smaczny kąsek ze swoim obiadem! - Wskazał na nią. Dziesiątki oczu z rozbawieniem poszło za tym gestem.

Mlasnął językiem.

- Co za hultaj użył noża na coś, co w oczywisty sposób...
przeznaczone jest do jedzenia palcami?

Rhiannon ogarnęło gorąco, rumieniec wystąpił jej na policzki.

Mężczyźni stłumili chichot; wymieniono się uśmiechami za tarczą

koronkowych chusteczek i rozpostartych wachlarzy. Rhiannon

uświadomiła sobie, że Ash stara się złagodzić napięcie. Uspokoić gości. Dlaczego?

- No, dalej - powiedział. - Ktoś musi się upomnieć o ten nóż.

Skąd on się wziął, przyjacielu?! - zawołał do żylastego akrobata, który przedtem wskoczył Phillipowi na ramiona.

Zapomniała o Phillipie. Rozejrzała się. Jej narzeczony nie siedział już na podłodze. Znikł.

- Nie wiem, skąd się wziął - odparł Cygan. - Uważałem na noże.

Moje noże. To nie jest cygański nóż.

Ash wyrwał sztylet ze ściany.

- To prawda - stwierdził. - Cygan nie rzucił tego pięknego ostrza.

83

Przesunął czubkiem palca po krawędzi. Na palcu pokazała się cieniutka czerwona kreska.

- A jak wszyscy możemy potwierdzić, jedynym powodem, dla którego cygański nóż wbiłby się w tę ścianę, byłoby to, że taka by była wola Cygana. Dlaczego któryś z nich chciałby to zrobić? Jest o wiele za wcześnie, żeby okazali w ten sposób rozczarowanie napiwkami.

Ta ostatnia uwaga wywołała wybuch śmiechu. Merrick wypuścił ze świstem powietrze z płuc, zerkając na nóż.

- Do kogo zatem należy?

Skoczył w stronę Rhiannon i złapawszy ją za ramię, przyciągnął

bliżej. Chwył był silny; jego ciało emanowało ciepłem i zapachem potu po akrobatycznych wyczynach.

Przesycony rumem oddech owionął Rhiannon. Powinna poczuć obrzydzenie i jakaś część jej umysłu czuła, inna jednak nie. Ta inna część jej samej pragnęła sprawdzić, czy jego usta smakują alkoholem, czy pijany też potrafiłby sprawić pocałunkiem, że ugięłyby się pod nią kolana, czy jego ciało jest takie ciepłe, jak się wydawało.

- Jak sądzisz, panienko, kto rzucił tym nożem? I dlaczego? Czy ktoś chciał przywrócić symetrię twojej ślicznej buzi, rysując na niej bliźniaczą szramę?

- Jestem pewna, że to przypadek. - Odsunęła się; miała zbyt wielką ochotę przytulić się do niego.

- Tak. Przypadek.

- Hej, Merrick! - głos Phillipa rozbrzmiał nad ich głowami jak uderzenie pioruna. Watt górował nad nimi jak olbrzym z bajki.

Jednym potężnym ramieniem otoczywszy Rhiannon, drugim zaś Asha, przyciągnął ich do siebie.

- Nic ci to nie pomoże, Merrick! - powiedział, targając żartobliwie czarne włosy Asha.

- Co mi nie pomoże?

- Medytowanie nad tym przeklętym nożem nie odwróci niczyjej uwagi od tego, że jesteś winien St. Johnowi dwieście funtów! -

Phillip roześmiał się hałaśliwie.

- Zgadza się, Merrick - powiedział St. John, podchodząc do

84

nich. - Nie zdołałeś ukrywać się pod tym przebraniem przez godzinę, jak zapowiadałeś.

- A więc chodzi o zakład? - spytał jeden z dżentelmenów.

- Tak, panie - odparł Phillip. - Obecny tutaj pan Merrick założył się z panem St. Johnem, że wszyscy będą uważać go za jednego z tych cygańskich komediantów tak długo, jak zechce ich zwodzić.

Cóż, przegrał i teraz musi ponieść konsekwencje.

Phillip jeszcze raz ścisnął nieszczęsnych więźniów. Ash nie mógł sprostać jego sile. Zatoczył się w stronę Rhiannon, która, potraktowana podobnie, również poleciała naprzód. Natychmiast wyciągnął ręce, chwytając ją w pasie, by się nie przewróciła.

Jego dotyk wywołał w niej ogień. Przełknęła ślinę, nakazując sobie nie reagować, nie czerwienić się, nie poddać wzruszeniu.

Nawet przez grubą satynę jego dotyk ją palił. Taka drobna rzecz, taka niewinna, a wzburzyła w niej krew, wywołała rozpustne obrazy.

Obrazy, których nie miała prawa widzieć.

Była gorsza od jakiejkolwiek zalotnej panny; była zwykłą dziwką, ale ta świadomość nie stłumiła uczucia zawodu, kiedy cofnęła rękę. Rozejrzała się w panice, bojąc się napotkać jego wzrok, i spojrzała w oczy Phillipa.

- Tak dobrz-rz-e. - Pokiwał piękną złotą głową z zadowoleniem.

-Pogódźcie się. Bądźcie przyjaciółmi.

- Dlaczego mieliby to zrobić? - odezwał się kpiącym tonem St.

John. - To przez nią przegrał. To ona zawołała go po imieniu.

Zdemaskowała

- Czy tak? - zapytał Phillip, patrząc z dumą na Rhiannon. - Co o tym sądzisz, panie Merrick? Myślę, że powinienem dostać połowę wygranej.

- W żaden sposób - zaprotestował St. John, nim Ash zdążył odpowiedzieć. Przysunął się, tak że jego usta znalazły się parę centymetrów od ucha Rhiannon, ale wzrok utkwiał w Ashu.

- Lepiej uważaj na tę dziewczynę, Merrick - szepnął. - Ona cię zgubi.

Ash uśmiechnął się smętnie.

- O ile się nie mylę, to już się stało.

85

Uśmiechał się przez resztę balu. Uśmiechał się, wypijając dwie butelki porto i wymieniając dwuznaczne uwagi z Margaret Atherton.

Uśmiechał się w tańcu i kładąc dwieście funtów na pulchną dłoń St. Johna. Uśmiechał się wreszcie, widząc, jak zmieszanie Rhiannon przeradza się w rozczarowanie, a potem w urazę.

Kiedy świt zabarwił niebo czerwienią orchidei, z uśmiechem przyjął propozycję lady Harquist, żeby pójść spać. Uśmiechał się, kiedy chwiejnym krokiem wychodził z salonu i kiedy naciskał klamkę drzwi sypialni.

Świadomy, że jutro obowiązek wobec brata może uczynić z

niego oszusta, złodzieja czy nawet mordercę, dzisiejszego wieczoru był wesołym hultajem, bon vivantem. Dzisiaj się uśmiechał.

Ledwie jednak zamknął drzwi za sobą, opierając o nie głowę, uśmiech zgasł. Z jej powodu stracił dwieście funtów. Raine gnił we francuskim więzieniu, a on przepuszczał pieniądze, które mogły zwrócić mu wolność. I to dlaczego? Ponieważ ktoś niecelnie rzucił nożem, a on natychmiast uznał, że jej życiu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i musi ją uratować, demaskując się - i przegrywając zakład. Miał choć tyle przytomności umysłu, by ukryć niepokój, udając pijanego.

Powinni go wypatroszyć i powiesić na ścianie. Gdyby zastanowił się chwilę, zrozumiałby, że to zwykły przypadek, podobnie jak napaść w lesie.

Przeszukał wtedy okolice, ale nie znalazł ani śladu bandyty.

Powód był prosty: żaden złoczyńca nie czyhał na życie dziewczyny niemającej grosza przy duszy.

Albo oba te wydarzenia stanowiły dzieło przypadku, albo ktoś w Fair Badden pragnął śmierci Rhiannon. Kto to mógł być i jaki miałby powód?

Należał do najgorszego gatunku głupców, którzy zwykłą żądę próbowali sobie przedstawiać jako romantyczną przygodę. Przez większość tygodnia starał się być pijany na tyle, żeby stracić erekcję.

Bez skutku.

Zamknął oczy, marząc, aby alkohol zatarł smak jej miękkich ust,

zapach włosów... Jeszcze sześć dni. Potem Rhiannon będzie należeć do dużego, wesołego chłopca.

86

Ash zmusił się do jeszcze jednego uśmiechu. Powinien stąd uciekać. Uciec z tego przeklętego miejsca, od tych przeraźliwie bezbronnych owieczek. Wilk wróci do ciemnego lasu, pozostawiając owieczki w nieświadomości tego, że przez parę krótkich tygodni przebywał wśród nich.

Mógł odjechać. Nie miał żadnego powodu, by zostać.

Poza tym, że ktoś rzucił tym nożem. I celował w serce. Ash był tego pewien.

Odwrócił się i zaczął walić pięścią w drzwi. Sztylet wbił się w ścianę na wysokości piersi. Pod właściwym kątem. Ktoś rzucił nim ze śmiertelną szybkością i precyzją.

Zaklął szpetnie, wiedząc, że nie zmieni decyzji. Zostanie, dopóki inny mężczyzna nie przejmie odpowiedzialności za jej zdrowie i życie.

Inny mężczyzna.

Edith Fraiser siedziała na ławce przed drzwiami kuchni;

kolorowe wstążki, które miała przyszyć do świątecznej majowej sukni Rhiannon, spływały jej ze spódnicy. Popatrzyła na horyzont.

Nadciągały chmury. Dzisiejszej nocy jeszcze nie powinno padać, ale jutro pewnie będzie deszcz. Niedobrze, bo zepsuje święto majowe.

Otarła wilgotne czoło, zastanawiając się, czy rzeczywiście zrobiło się tak ciepło, czy też niepokój sprawiał, że się pociła. Zerknęła na Rhiannon, która z czujną Stellą przy boku pracowicie wplatała dzikie anemony w girlandę mającą ozdobić pał majowy.

Jeszcze dwa dni, pomyślała Edith, wracając do swojego zajęcia.

Wszystko w końcu dobrze się ułoży. Dziewczyna będzie zamężna i bezpieczna.

Przez jedną straszną chwilę na balu u lady Harquist bała się, że czarnowłosa londyńczyk porwie Rhiannon, niczym jakiś średniowieczny rozbójnik. Ten człowiek, emanujący zuchwałą siłą, wydawał się do tego zdolny.

87

Nic się jednak nie stało. Nie tylko nie porwał Rhiannon, ale ledwie zwracał na nią uwagę przez resztę wieczoru, tak samo jak w następne dni i wieczory.

Może zrobiła się przewrażliwiona i nadopiekuńcza na stare lata.

Bała się, że stary Watt zmieni zdanie i cofnie zgodę na ślub, a Phillipowi też się „odwidzi”.

Teraz jednak mogła się odprężyć. Dzisiaj w nocy podczas obchodów Beltaine i Rhiannon znajdzie się pod uważnym okiem - nie tylko jej własnym, ale całej społeczności. Nazajutrz przypadało święto majowe z niewinnymi i na szczęście odbywanymi w świetle słońca zabawami i popołudniowym polowaniem, które zorganizował stary Watt jako specjalny prezent ślubny dla panny młodej. Rhiannon na pewno nie zrezygnuje z polowania, zwłaszcza że będzie to ostatnie polowanie w tym sezonie.

A następnego dnia... Phillip pojmie ją za żonę.

Edith westchnęła głęboko, przyciągając spojrzenie Rhiannon.

Uśmiechnęła się czule do dziewczyny. Kochana Rhiannon odpowiedziała promiennym uśmiechem. Stara dama pochyliła głowę nad robótką, kiwając z zadowoleniem głową.

Tak, teraz mogła się odprężyć.

Wieczorem na wyłożonym kocimi łbami rynku Fair Badden panował tłok i zgiełk. Rozstawiono stoły i wozy wyładowane zabawkami, słodyczami i różnymi bibelotami, a na środku placu wznoszono tradycyjny stos. Wokół nierozpalonego jeszcze ogniska i wśród wystawionych towarów krążyli ludzie z wszelkich sfer, wymieniając uśmiechy zgodnie z panującym tego dnia duchem egalitaryzmu.

Zgodnie z pradawnym obyczajem na czas obchodów majowego święta mieszkańcy Fair Badden zapominali o swoich urządach i pozycji.

Urodzeni we dworze mieszały się z tymi, którzy stali na dole drabiny społecznej. Wieśniacy i arystokraci nosili podobne, proste wiejskie

stroje ozdobione kolorowymi wstążkami. Dzwonki brzęczały, psy szczekały, w czterech rogach pawilonu o odkrytych bokach wzniesionego na tyłach rynku furkotały proporce.

88

Pod falującą kopułą umieszczono olbrzymi drewniany stół o powierzchni lepkiej od rozlanego piwa, okruchów miodowych ciastek i krążków sera. Pod stołem młoda suka wyjadała odpadki.

Rhiannon Russell, Majowa Królowa, pijana w sztok i chwiejąca się jak nieopierzone pisklę, wbijała brudne palce w jedwabistą sierść Stelli. Obok niej siedziała dama dworu, którą była - Rhiannon pamiętała, że parę godzin wcześniej dostała w związku z tym histerii, ale powodu nie mogła sobie przypomnieć - brązowa krowa o imieniu Molly Dama dworu wyciągnęła szyję, usiłując zerwać koronę z królewskiej głowy. Rhiannon pacnęła bezczelne stworzenie po szerokim brązowym nosie; od gwałtownego ruchu koniczynowa korona się przekrzywiła.

Król Phillip, rozparty na dębowej beczulce udającej tron, zdołał złapać koronę i wyciągnąć ją z pyska Molly. Dopełniwszy swoich obowiązków współmałżonka, ponownie popadł w stan pogodnego zamroczenia.

Rhiannon przyglądała mu się z czułością. Dobry stary król Phil.

Przystojny, godny zaufania, niewymagający i słodki. Uśmiechnęła się do niego. Nie zwrócił na to uwagi.

Odchyliła się do tyłu. Przepelniały ją ckliwość i poczucie wielkoduszności. „Dwór” wokół niej brzęczał i mruczał, pił i śpiewał.

Znała wszystkich. To był jej dom. Ci ludzie byli jej rodziną.

Nieważne, jakie duchy z grobów nękały jej duszę i jaki człowiek dręczył jej ziemskie ciało-tutaj kochano ją i szanowano, tutaj była bezpieczna.

Niepełną ręką sięgnęła ponad ramieniem Rhiannon, nalewając jej wino do królewskiego kielicha.

- Za dobrych ludzi dobrego Badden. Fair Badden - wzniosła toast. Ująwszy oburącz tani cynowy kufel, wypłała jego zawartość jednym długim, hałaśliwym haustem.

- Niech żyje królowa Rhiannon! - wrzasnął tłum.

- I jej król. Nie zapominajcie o królu. - Iskierka świadomości rozjaśniła oczy Phillipa.

To nie znaczy, że brakowało im blasku. Phillip miał lśniące, błękitne oczy. Bardzo piękne. Naprawdę miłe. A ona miała szczęście... nie, pomyślała ogarnięta zapalem, miała ten przywilej, że

89

je poślubi... poślubi jego. Wyciągnęła rękę, żeby ponownie napelnić kufel.

Phillip uśmiechnął się do niej przelotnie, tak jakby niezbyt jasno ją pamiętał, ale zdawał sobie sprawę, że zajmuje znaczące miejsce w jego życiu.

- Śliczna Rhiannon. Śliczna królowa - mruzczał zadowolony. -

Ulubienica wszystkich. Wszyscy mężczyźni mi zazdroszczą.

Położył jej ogromną łapę na karku. Zrzuciona z tronu tym

serdecznym gestem, złapała Phillipa rękami za szyję, żeby nie wylądować na ziemi. Wokół wybuchły krzyki i wiwaty, kiedy jego usta zamknęły się na jej ustach z głośnym, mokrym mlaśnięciem.

Nie przestawał jej całować; władczo, mocno i dziwnie beznamiętnie. Rhiannon, oszołomiona i beztroska, pozwalała na to.

W końcu ją puścił.

- Będiesz dobrą królową, prawda, moja kochana? - zapytał, klepiąc ją niezgrabnie po policzku. Ten przejaw czułości wzbudził w Rhiannon poczucie winy, które przebiło się przez przyjemną alkoholową mgiełkę spowijającą jej umysł. Nie mogąc wytrzymać natarczywego spojrzenia Phillipa, skierowała wzrok w drugą stronę i dzięki temu zauważyła ciemną męską postać znikającą w ciemności za światłami pawilonu.

To nie był on. To nie był Ash.

- Będziemy tu żyć i będziemy szczę... zadowoleni. Będę dobrym mężem - mówił Phillip. - Nie mogłaś lepiej trafić.

Miał rację. Wychodziła za mąż znacznie powyżej swojej pozycji społecznej, lepiej niż można by się spodziewać. I będzie...

zadowolona. Dlaczego więc wciąż wpatrywała się w miejsce, w którym znikła ciemna postać?

Zerknęła na Phillipa, ale on już z powrotem siedział na swoim tronie, zasłoniwszy powiekami piękne niebieskie oczy. Chwilę później chrapał. Zsunęła się z jego kolan, zawstydzona. Za każdym razem, gdy Ash Merrick pojawiał się w pobliżu, zapomniała o swoim

przyszłym mężu.

Cholerny Ash Merrick z tym swoich olśniewającym uśmiechem i przenikliwym spojrzeniem. Z cholernie silnym ciałem i o zadziwiająco miękkich wargach. Mężczyzna, który spowodował, że

90

słowo „zadowolona” wydaje się śmiechu warte. Niech go diabli wezmą za to, że odebrał tego wygranego całusa. Niech go diabli, że na tym poprzestał.

Gdzie on się, do cholery, podziewa? Rhiannon obrzuciła tłum gniewnym wzrokiem. Gościł w domu jej przybranej matki.

Zaproszono go do udziału w święcie. Powinien tu być.

- Jestem królową, nieprawdaż? - zapytała swoją jałówkę dworu.

Molly w odpowiedzi jeszcze raz ściągnęła jej koronę z głowy.

Rhiannon nie protestowała. - Co warta korona, skoro ten, kto ją nosi, nie panuje? - zapytała głośno.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę. Jeśli królowa ma ochotę na zabawę, nie sprawią jej zawodu.

- Skoro jestem królową, to powinnam stanowić prawa, zgadza się?

- Tak! - odezwał się zgodny chór. - Tak, jesteś królową! Jakie prawo chcesz ustanowić?

- Chcę... chcę, żeby każdy z moich lojalnych poddanych zgiął przede mną... eee... nami kolano i przysiągł wierność.

Rozbawieni goście wymienili spojrzenia, wzruszając ramionami.

- Już to zrobiliśmy.

- Nieprawda - stwierdziła Rhiannon. - Nie wszyscy.

- Kto nie złożył hołdu, jak należy?

- Londyńczyk. Ash Merrick - oświadczyła ponuro.

- Cóż, tak jest w istocie - potwierdził John Fortnum. - Nie było

go tu przez większość dnia. Parszywy hultaj nie stawił się nawet na koronacji!

- Naprawimy to! - oznajmił tęgi „rycerz”. - Czyż nie, chłopaki?

Ci, którzy wciąż byli w stanie się przemieszczać, opuścili na te

słowa pawilon i rozproszyli się w tłumie na zewnątrz. Podnieceni

alkoholem przemierzali rynek, domagając się głośno „cudzoziemca

Merricka”.

Polowanie trwało, tymczasem ci, którzy nie brali w nim udziału, za-

częli krzyżeć, żeby król i królowa maja przybyli pod ognisko Beltaine,

żeby przez nie przeskoczyć. Był to obyczaj tak stary jak samo

Beltaine - skok przez ognisko stanowił przypiecztowanie obietnicy

małżeństwa. Krzyki przybierały na sile, aż nie dało się ich dłużej

91

ignorować. Uczestnicy zabawy wpadli do pawilonu, porwali Rhiannon i

Phillipa z ich tronów i zaciągnęli do ogniska.

W tym samym czasie polowanie dobiegło szczęśliwego końca.

Znaleźli Merricka w gospodzie Pod Oraczem, wycierającego pianę z

piwa z ust.

- Merrick! - zawołali, otaczając go półkolem. Odwrócił się

niechętnie.

- St. John - powiedział. - Nie mam nastroju do zabawy, chłopcze.

St. John otworzył szeroko oczy w udawanej rozpacz.

- Mówi, że nie jest w nastroju! - zawołał do pozostałych i znów

spojrzał na Merricka. - Tym gorzej dla ciebie, chłopie.

- O co chodzi?

- Chcą cię widzieć na dworze, Merrick. Dekret królewski.

- Doprawdy? - Merrick pokazał im plecy i skinął na oberżystę, żeby

nappełnił mu kufel. - Po co? Czyżby Jego Wysokość potrzebował

instrukcji w uwodzeniu? Obawiam się, że nie potrafię udzielić mu rady.

Pociągnął długi łyk piwa i odstawił kufel na blat.

- Z tego, co widziałem, dobrze sobie radził. Królewskie dziewczę

grzało jego kolana, a jej królewskie usta rozpałały jego żądzę.

Wyglądało to bardzo obiecująco. Ja jednak nigdy nie lubiłem

występować w charakterze widza. Ale niech to was nie powstrzyma,

chłopcy.

Zachichotali rozbawieni, po czym, zanim zdążył się sprzeciwić,

otoczyli go i uwięzili mu ręce za plecami. Ze śmiechem na pół pchali, na

pół nieśli go do Majowej Królowej.

Stała przy ognisku, chwiejąc się lekko. U jej stóp siedział Phillip,

wpatrzony z pijacką fascynacją w niedawno rozpalony ogień.

- Królowo Rhiannon! - zawołali, wypychając Merricka przed siebie,

zadowoleni ze spełnionej misji.

Spojrzała na Asha zaskoczona, nie pamiętając, że wysłała po niego

ludzi. Włosy opadły mu na czoło; miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Oto on - oznajmił St. John.

Ash przekrzywił głowę, przyglądając jej się badawczo. Wielki Boże, dlaczego wypła tyle tego wiosennego wina? Opanowała się. Za późno na żale nad ilością wypitego wina. Poza tym miała niejasne wrażenie, że

Merrick ją oszukał. Zbliżył się do niej, a potem ją porzucił. Flirtował

92

z nią, a potem nie zwracał na nią uwagi. W końcu sprawił, że zdradziła męża, którego jeszcze nie poślubiła!

No i wspomnienie jego pocałunku dręczyło jej ciało.

- Wasza Wysokość? - spytał St. John, unosząc brwi. – Chciałaś go widzieć i oto jest. Co teraz?

Zachwiała się lekko; trzask świeżych gałęzi w ognisku przyprawiał ją o szum w uszach.

- Wasza Wysokość? - Głos Johna Fortnuma przypominał jej o roli, jaką grała. Była królową.

- Tyś jest Merrick z Londynu? - zapytała.

Ash spojrzał na nią.

- Odpowiedz, a wszystko będzie dobrze - obiecał łaskawie John

Fortnum. - To wyjątkowo wielkoduszna władczyni. Może pasuje cię na rycerza.

Merrick uśmiechnął się, zwróciwszy twarz w stronę tłumu.

- Jeśli czule traktowanie, jakiego doznałem z twoich rąk, Fortnum, stanowi próbkę jej wielkoduszności, to muszę odmówić. Mógłbym nie

przeżyć pasowania na rycerza.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Rhiannon się skrzywiła. Nie chciała, żeby ich czarował; zbyt łatwo mu to przychodziło. Nie chciała, żeby zachwycili się jego wdziękiem.

- Nie spodziewaj się łaski - oświadczyła głośno. Sięgnęła po butelkę wina, którą trzymała dziewczyna stojąca obok, po czym, nie spuszczać wzroku z Merricka, ruszyła ku niemu, prowokacyjnie kołysząc biodrami, przejęta tęsknotą, którą w niej wzbudzał i której nigdy nie miał zaspokoić. Zatrzymała się na odległość wyciągniętej ręki, tak blisko, że nie mógł na nią nie patrzeć.

- Boże, ależ jesteś śliczna. - Słowa, jak się wydawało, padły mimowolnie; była to wypowiedziana głośno myśl, nie pochlebstwo.

Odchyliła głowę i pociągnęła z butelki. Wiedziała, że wino daje jej fałszywą odwagę, ale jakakolwiek odwaga była potrzebna, gdy kobieta patrzyła w ciemne, namiętne oczy Asha Merricka.

- Czego żadasz ode mnie? Jestem do twojej dyspozycji. -

Uśmiechnął się kącikiem ust. -Wszystko, co potrafię, zrobię na twój rozkaz.

- To nie wystarczy - szepnęła, podchodząc jeszcze bliżej i niejasno

93

zdając sobie sprawę, że przeszła niebezpiecznie blisko ogniska.

- Naprawdę? - mówił głosem słodkim jak miód, upajającym, niskim, przeznaczonym tylko dla jej uszu. - Jaka królowa może domagać się więcej od poddanego? I co by to miało być?

Zawahała się.

- Powiedz tylko, a ja wykonam rozkaz.

Znów podniosła butelkę do ust i pociągnęła kolejny łyk zuchwalstwa,

wciąż jednak bała się zdradzić, czego naprawdę od niego chce.

- Czego więc żądasz? - naciskał, ukrywając napięcie pod żartobliwym tonem.

- Twojego szacunku - wybuchła. - Twojej uwagi. Twojej obecności.

Przerażona, że powiedziała za dużo, wyprostowała się i zmusiła

do uśmiechu zdrętwiałe wargi. Podniosła kielich i zawołała:

- Tego, co należne królowej od jej poddanych!

- Słuchajcie! Słuchajcie!-zawołał tłum.

- Ale ja nie jestem twoim poddanym, pani-przypomniał jej Merrick

łagodnym głosem. - Jestem cudzoziemcem, gościem, obcym. Nie jestem

jednym z nich. - Zerknął na zebranych. - I ty także nie jesteś,

prawda...Wasza Wysokość?

Zamarła. Nazwał ją obcą. Serce podeszło jej do gardła, poczuła

ból w piersi.

Ale zwalczyła strach. Tu jest jej miejsce, pomyślała. Zrobiła wszyst-

ko, czego od niej oczekiwano. Straciła akcent, nawet wspomnienia - po

to, żeby móc tu zostać. Kupiła sobie prawo, żeby tu być, płacąc własnym

dziedzictwem.

- Panie. - Jej głos brzmiał słabo, jakby dochodził z oddali. -

Jesteś w moim królestwie, okażesz więc lojalność.

- Mam już dość zabaw, Rhiannon- powiedział tak cicho, że tylko

ona mogła go usłyszeć.

Nie rozumiała sensu jego słów, oszołomiona tym, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Próbowwała odzyskać przytomność umysłu, ale Ash był za blisko. Zawsze był za blisko - albo za daleko. Kątem oka dostrzegła, że Phillip się poruszył.

- Rhiannon? Dlaczego Merrick ma związane ręce? - spytał, gramoląc się na nogi.

94

O Boże. Znowu o nim zapomniała. Zamknęła oczy i od razu zakręciło jej się w głowie.

- Rhiannon? Merrick? - bełkotał Phillip.

Jej mąż. Kochanek. Bezpieczeństwo. Zagrożenie. Dom.

Schronienie. Obcy. Zatrzepotała powiekami i się zachwiała.

- Co wy robicie Merrickowi?! - krzyknął Phillip zdumionym głosem.

Za plecami usłyszała trzask. W tłumie zerwały się przerażone krzyki. Próbowwała się obrócić i zawirowała gwałtownie; pociemniało jej w oczach.

- Trzymajcie ją, głupcy! - usłyszała krzyk Asha, a potem ziemia stała się dębą.

95

-Phillip albo skręcił nogę w kostce, albo ją złamał.

Próbował skoczyć przez stos przygotowanego do spalenia

drewna i stopa uwięzła mu między bierwionami. Upadł i bardzo się

zdziwił, gdy nie mógł wstać. Z pijacką bezpośredniością oznajmił, że się

zranił, po czym zaczął przeproszać Rhiannon, że nie będzie w stanie

przeskoczyć ogniska i przypieczętować ich narzeczeństwa. Ona jednak

zwisła nieprzytomna w ramionach Johna Fortnuma, nie udzieliła więc

żadnej odpowiedzi.

Przyjaciele Phillipa z wysiłkiem podnieśli go nad głowy i zanieśli do

pawilonu, gdzie został należycie opatrzony, napojony i wreszcie posadzo-

ny na krześle.

Ash obserwował to wszystko z mieszaniną gniewu i bezradności. Nie

miał prawa zająć się Rhiannon ani nawet jej dotknąć. Kręcił się w pobli-

żu, dopóki Margaret Atherton nie przejęła opieki nad dziewczyną,

potem zaś wrócił do gospody, gdzie spędził następnych parę godzin.

Ale myśl o Rhiannon, bezbronnej i pozostawionej samej sobie na resztę

tej zwariowanej nocy, kiedy wszystko mogło się wydarzyć, nie dawała

mu spokoju, przeradzając się w końcu w obsesję. Ktoś do niej strzelał.

Nóż o mało nie przebił jej piersi. Taka noc jak ta dawała mordercy

doskonałą osłonę...

Ta dziewczyna wplotła się w jego życie niczym węzeł i nie

dawała się usunąć. Można ją było tylko odciąć - czego dokona

małżeństwo z tym złotowłosym safandulą...

Ash odstawił z trzaskiem wypróżniony do połowy kufel. Niech to wszyscy diabli! Pewnie siedzi teraz na zdrowej nodze Watta i mruczy rozkosznie w jego ramionach, a on zadręcza się bezsensownymi obawami.

A jeśli nie siedzi?

Wstał i przestępując przez nieprzytomne ciała zawałające podłogę, skierował się do drzwi, Na dworze nadal przechadzały się grupki ludzi, jednak młodych było niewiele, zauważył z niepokojem. Gdzie się podziała młodzież Fair Badden? Rozejrzał się i dostrzegł Edith Fraiser, siedzącą z zamkniętymi oczami z ciężką głową Stelli na kolanach. Na rynku panował dużo większy spokój niż parę godzin wcześniej, a do północy było jeszcze daleko.

U wylotu placu Ash znalazł starego mężczyznę, który uśmiechał się, obserwując księżyc; jakieś mile wspomnienia wywołały na jego pomarszczonej twarzy wyraz tkliwego zadowolenia. Zapytał, gdzie się wszyscy podziali i dlaczego tak wcześnie przestali świętować.

Starzec parsknął i pokręciwszy z politowaniem głową, odparł, że święto wcale się nie skończyło, tylko przeniosło w bardziej kameralną scenerię.

Dziewczęta udały się do lasu zbierać pąki głogu, by zapewnić sobie szczęście na przyszły rok, wyjaśnił. A odchodząc, rzucały młodym mężczyznom powłóczyste spojrzenia, które zapraszały ich do swego rodzaju polowania.

Młodzieńcy nie potrzebowali dalszej zachęty, żeby podążyć za

dziewczętami i pod osłoną ciemności, w lesie, wziąć w objęcia swoje wybranki. Nie wszystkie młode damy na to pozwalają, dodał pośpiesznie stary człowiek, ale jeśli chłopak ma szczęście...

Ash zostawił go, dręczony obrazami, które ledwie był w stanie znieść.

Czy wśród tych młodych ludzi jest Watt? Czy właśnie teraz Rhiannon jęczy z rozkoszy pod jego ciężarem?

Zacisnął pięści i w tym momencie usłyszał chrapliwy męski śmiech dobiegający z pawilonu. Ruszył w tamtą stronę.

Watt siedział na swoim tronie z nogą owiniętą bandażem i przywiązaną do deski. Ash odetchnął z ulgą. Jasne, że Phillip nie mógł towarzyszyć Rhiannon. Z tą nogą nie mógłby nawet za nią pójść.

Otaczała go gromadka nieodstępnych przyjaciół i rozmawiali o czymś z ożywieniem. Na widok Asha kilku pokraśniało, jakby w poczuciu winy, St. John zaś wykrzywił twarz w uśmiechu, mrugnął do swoich kompanów i poklepał go po plecach.

- Cieszę się, że jesteś, Merrick! Kto jak kto, ale ty musisz znać tę piosenkę - powiedział. - Była popularna parę lat temu. Usłyszałem ją po raz pierwszy w szkockich górach.

Phillip uniósł głowę i wybełkotał coś niezrozumiale.

- Znamy początek, ale nie mamy pojęcia, jak ta cholerna śpiewka się kończy - ciągnął St. John. - Proszę, powiedz nam.

zaokrągliły się, kiedy usiłował powstrzymać rozbawienie. Nagle Ash zrozumiał, o jakiej piosence mowa. Śpiewano ją jakiś czas temu, po wydarzeniu, które ją zainspirowało.

- Nazywa się *Dzieci szatańskiego hrabiego* — wyjaśnił St. John.

Ash z trudem zachowywał spokój. Lekceważył tych ludzi jako naiwnych i nieświadomych. Myślał, że tu, w tej dziurze z dala od świata, ucieknie przed swoją złą sławą. Teraz pustym wzrokiem patrzył na rozbawionego St. Johna. Nie pokaże mu, jak celnie trafił i jak bolesną zadał ranę.

Jeśli St. John spodziewał się, że stara ballada wprawi go w zmieszanie, jego, który wyrósł ponad wszelki wstyd... Roześmiał się i oświadczył chrapliwie:

- Czemu nie. Która część sprawia wam kłopot?

Nie usłyszał odpowiedzi, zapytał więc swobodnym tonem:

- Nikt nie pamięta?

Jak im to wyjaśnić, jak ich przekonać, że ballada jest kłamstwem, dziełem propagandy, ohydny zniekształceniem wydarzeń? Zresztą, co za różnica? Wiedział, że ludzie chcą wierzyć w to, co najgorsze.

Niech zatem wierzą.

- Przypomnijmy sobie od początku. Historia jest następująca:

szkocka dziewczyna, chcąc uratować życie braci, musi powstrzymać niedobitki swojego klanu przed powieszeniem najmłodszego, niegodnego syna Szatańskiego Hrabiego.

Chłopak został oskarżony o gwałt na zakonnicy i klan słusznie

domaga się jego krwi. Ale bracia dziewczyny siedzą w Londynie, oczekując procesu za udział w powstaniu w czterdziestym piątym. -

Ash uśmiechnął się gorzko.

Raine nie zgwałcił tej dziewczyny. Wprawdzie nigdy go o to nie pytał, ale znał brata. Powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy.

Spijali każde słowo z jego ust, zniewoleni smutną, ponurą opowieścią.

- Opowiadałem tę historię tak często, że jestem w stanie zmieścić się w jednej piątej czasu, jakiego potrzeba, żeby tę cholerną piosenkę odśpiewać! - Znów omiótł badawczym spojrzeniem całą grupę. Widział ich zmieszanie i niepewność. - Zaraz, gdzie to ja

98

skończyłem?

Ach,

tak.

Nasza

żałosna bohaterka. Ośmio-? Dziesięcioletnia? I do tego taki dramat:

tej samej nocy, kiedy jej ojciec z dala od domu błaga o życie dla

swoich synów, matka dziewczyny umiera przy porodzie. Jeżeli więc

ludzie jej klanu zabiją dziecko Szatańskiego Hrabiego, straci wszelką

nadzieję

na

to,

że

król

Jerzy

okaże łaskę i uwolni jej braci. Czy to dziwne, że robi wszystko, by zapobiec samosądowi nad chłopakiem, mimo że ten należy do jej wrogów?

Przed oczyma wciąż miał obraz nędznie ubranej dziewczyniny o chudych rączkach, którymi opłótła szyję Raine'a, złotych włosach spływających na ramiona i bosych stopach unurzanych w błocie i śniegu. Chciał jej powiedzieć, że ona jedna okazała zmiłowanie w tę nabrzmiałą zemstą noc. Że już wtedy współczuł jej bólowi. Że żałował tego, co się stało.

Oni jednak nie zrozumieliby wyborów, jakich musiał dokonać - jakich dokonali oni wszyscy tamtej mroźnej nocy. Nie uwierzyliby mu, a on nie chciał, by ktoś napawał się jego żalem.

Mówił dalej.

- Cóż, dziewczyna nie dopuszcza do krwawego mordy, zasłaniając związanego chłopaka własnym ciałem. - Historia byłaby dużo bardziej interesująca, gdyby dziewczyna miała szesnaście, a nie dziesięć lat, ale szkoccy górale to dziwne plemię. Tak czy inaczej, wtedy właśnie zjawia się Szatański Hrabia wraz z setką czerwonych kurtek. U boku Hrabiego jedzie jego diabelski starszy syn, a z tyłu mała czarnowłosa czarownica, jego córka.

- To jest miejsce, do którego doszliśmy - wybełkotał ktoś.

- Czy tak? - zapytał Ash, usiłując stłumić ogarniającą go

niechęć. Nie podda się. Nie przed St. Johnem i paroma innymi.

Kilku mężczyzn przestąpiło z nogi na nogę, ciekawych dalszego ciągu tej tragedii sprzed lat.

- Mów - ponaglił St. John, a potem dodał: - Jeśli masz odwagę.

- Pozwólcie, że zaspokoję wasz..., głód wiedzy. Zadeklamuję. -

Ash wysunął jedną nogę do przodu, prawą rękę oparł na biodrze, a lewą przyłożył do piersi. Jego serce biło głucho pod palcami.

99

Wykpiwał

słuchaczy,

przybierając

teatralną

pozę

i

melodramatyczny ton. Nie spodobało im się to. Uważali go przecież za przyjaciela. Ash zaczął deklamować:

Dobywszy rapiera, najstarszy syn

Przyciąga brata do siebie.

Wymachując ostrzem, zadaje śmierć

Ludziom, którzy zagradzają mu drogę.

Gęsta krew spływa na twardą ziemię,

Kiedy Szkoci padają.

Jak kłosa zboża pod sierpem,

Tak oni giną, cały klan.

Gdy wszystko wokół ucichło,

Jęknęła osierocona córka wodza.

A Szatański Hrabia spiął rumaka

I podjechawszy blisko, nachylił się.

„Dlaczego uratowałaś od śmierci mojego syna? ”

- Zapytał cichym szeptem.

„By uratować moich braci - odparła.

- Jerzy zabiłby ich, gdyby umarł twój syn ”.

Szatański Hrabia zaśmiał się na to

Tak złowieszczo, że czerwone kurtki sapnęły.

Głowa Johna McClairena tkwi na drągu

Wystawionym zeszłej nocy przed Tempie.

Ballada, choć prawdziwa, nie mówiła o wszystkim, co się stało.

Nie wspominała, jak cierpiał z powodu tego, co zrobił, jak straszliwie ludzie klanu pobili Raine'a, ilu żołnierzy zginęło w walce.

- Chcecie znać resztę? - spytał, modląc się, żeby odmówili. -

Niektóre wersje ciągną się w nieskończoność.

- Czy to pieśń o tobie? - szepnął Phillip. -I czy to prawda?

- Prawda?- odparł Ash. Uwierzyliby, gdyby zaprzeczył? Nie

chciał ryzykować, że znowu go zranią. - Boże, nie. Mogę

zaświadczyć, że mój ojciec nie jest szatanem. Jest całkiem ludzki,

ostatnio zaczął zdradzać objawy podagry...

- Czy to naprawdę tak wyglądało? - Na poczciwej twarzy Johna

Fortnuma malował się smutek.

- Tak. - Jego gniew zniknął, kiedy zobaczył, jak bardzo

wstrząsnął słuchaczami; została tylko niechęć do siebie samego. Nie wiedzieli, co robią. Ukarął ich za własną przeszłość.

- Rhiannon byłoby bardzo przykro - wymamrotał John. - Uważa cię za takiego miłego dżentelmena.

Była warta więcej niż oni wszyscy razem wzięci. Ale oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Nie mieli pojęcia, że gościli uciekinierkę.

Dobra,

posłuszna

Rhiannon

Russell,

która

przehandlowała swoją wolność za bezpieczeństwo. A jednak pod słodką powierzchownością krył się nieugięty duch, ukształtowany przez wojnę i jej następstwa. Ash odwrócił się i skierował do wyjścia.

- Dobrze, że nie musiała tego słuchać - rzekł Phillip ponurym głosem. - Na szczęście poszła zbierać kwiaty.

Rhiannon była sama w lesie?! Ash okręcił się gwałtownie na pięcie, podbiegł do Phillipa i złapał go za koszulę, uniósł z krzesła.

- Co powiedziałaś?

- Puszczaj! - wrzasnął Phillip, szarpiąc się bezskutecznie w stalowym uścisku. - Nie muszę ci chyba mówić, jak mnie rozczarowałeś. Najpierw okazuje się, że jesteś jakimś mordercą spłodzonym przez szatana, a teraz zachowujesz się obraźliwie.

Ash potrząsnął nim.

- Nie poszła do domu?

- Jasne, że nie! Jest Majową Królową. Poszła zrywać kwiaty w lesie... Ash puścił Phillipa i wyszedł bez słowa.

Noc była zbyt piękna, aby wracać do domu, a poza tym Rhiannon nie pamiętała, gdzie ten dom się znajduje. Koszyk, który niosła w ręce, uderzał ją w biodro przy każdym kroku. Tylko słabe światło księżyca padało na ścieżkę, a mgła unosząca się w powietrzu utrudniała orientację.

Rhiannon przystanęła. Może powinna zostać na rynku i znaleźć kogoś, kto by jej pomógł odprowadzić Edith do domu. Była jednak królową maja, Dziewiczą Królową, a Dziewicze Królowe maja zawsze, ale to zawsze spędzały noc w Beltaine, zbierając kwiaty głogu na koronę, którą nosiły w majowe święto.

Oczywiście szła do lasu, wiedząc, że Majowy Król ruszy za nią w pościg. Zgodnie z tradycją królowa odpierała zaloty króla przez całą noc, żeby następnego dnia, gdy będą wkładać jej na głowę koronę z białych kwiatów, była równie czysta jak one. A to było ważne.

Czyż nie?

Nie to, żeby Phillip kiedykolwiek napierał zbyt natrętnie.

Ostatecznie był dżentelmenem.

Z drugiej strony, kiedy w poprzednich latach byli królem i królową, nie łączyło ich narzeczeństwo. Dzisiejszej nocy Phillip mógłby okazać większą stanowczość, a ona, bardziej rozbudzona niż zwykle, mogłaby mu ulec. Ale akurat skręcił sobie kostkę.

Spojrzała ponuro w ziemię. To, że król nie mógł grać swojej roli,

nie zwalniało jej z obowiązków królowej. Czy jednak nie stanęła na wysokości zadania? Ponad setka cholernych kwiatów wypełniała jej koszyk.

Uświadomiwszy sobie niestosowność tej myśli, Rhiannon zmarszczyła brwi. Była grzeczną, przyzwoitą młodą damą - zawsze, odkąd znalazła się w Fair Badden. Tyle że ostatnio nie czuła się zbyt grzeczna.

Ciągle czuła napięcie i irytację. Konieczność bycia grzeczną zaczynała ją nużyć - nawet w towarzystwie Edith Fraiser. Tylko z Ashem Merrickiem czuła się naprawdę swobodnie.

Może to dlatego, że nic mu nie była winna, nie miała wobec niego żadnego długu wdzięczności. To nie to, że nie kochała swojego życia tutaj i Edith Fraiser, i swoich przyjaciół, czasami jednak trudno było oddzielić miłość od poczucia obowiązku. W towarzystwie Asha czuła się... prawdziwsza.

I bardziej skłonna do głupstw.

Rhiannon jęknęła, zamykając oczy. Nigdy nie podejrzewała, że jest zdolna do tak okropnego zachowania. Ash Merrick zawsze traktował ją z najwyższą kurtuazją - nawet kiedy ją całował. A ona nasłała na niego pogoń, która sprowadziła go związanego jak przestępcę, potem zaś padła w pijackim omdleniu. Musi czuć do niej obrzydzenie.

Ruszyła szybkim krokiem, jakby chciała przegonić pamięć, a twarz paliła ją z upokorzenia. Przeszła kawałek, gdy gdzieś z boku

dobiegły ją odgłosy miłosnych zaklęć, błagalnych i żarliwych jak modlitwa.

Te dźwięki zatrzymały ją równie skutecznie jak kamienny mur.

Nadstawiała uszu, nasłuchując; chwiała się lekko na nogach, bo wino jeszcze nie całkiem z niej wyparowało. Nic nie widziała. Ciemność i mgła skrywały postaci nieprzeniknioną zasłoną.

Nie ośmieliła się podejść bliżej, ryzykując wpakowanie się na jakąś parę. A jeśli to Margaret Atherton i...

Odwróciła się i ruszyła z powrotem. Gdy zbliżała się do rozłożystego krzewu głogu, usłyszała stłumiony chichot. Zatrzymała się ponownie.

Inni kochankowie? - zastanawiała się. Cichy śmiech oddalał się, ale z powodu mgły trudno było stwierdzić, w którą stronę. Jęknęła sfrustrowana i opadła na ziemię obok grubego pnia.

Głupie zwyczaje Beltaine.

Będzie musiała zostać tu i czekać, aż mgła się rozproszy, księżyc silniej zaświeci albo jakiś przyjazny leśny duszek zlituje się nad nią i wyprowadzi z tego bajkowego świata cieni i chmur, tajemniczych blasków i niezwykłych nocnych zapachów.

Oparła głowę o pień drzewa i zamknęła oczy, oddając się fantazjom, do których nie miała prawa i z którymi walczyła, którym jednak teraz nie mogła się oprzeć.

Majową Królową. Chciała Asha Merricka.

Rhiannon poddała się urokowi nocy. Srebrny księżyc wędrował majestatycznie po niebie, a jej wyobraźnię wypełniał obraz twarzy o ostrych rysach i silnego, szczupłego ciała. Ash jest jak Oberon, pomyślała, król leśnych duchów. Który nadchodzi bezgłośnie, wyłaniając się z cienia. Duch czystego pożądania zaklęty w ciele...

- Rhiannon.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego bez zdziwienia.

- Oberon - szepnęła. Ciemny książę lasu o włosach pełnych światła i połyskujących stałą oczach.

Kłęczał obok niej, ale teraz wyprostował się powoli. Kiedy się podnosił, mgła zawirowała, zsuwając się z jego ramion jak czarodziejska peleryna i zostawiając na jego bladej twarzy warstewkę srebrzystej wilgoci.

- Ash.

Westchnęła, oczarowana i oszołomiona - winem, pożądaniem, jego urodą. Uśmiechnęła się, a on zbliżył się o krok, jakby wbrew woli. Roześmiała się cicho na myśl, że mogła przyciągnąć go uśmiechem. Nie uwierzyła w to jednak i jej uśmiech stał się smutny.

- Jesteś bezpieczna - powiedział.

- Tak myślałam - odparła, nie chcąc wrócić do rzeczywistości.

Dopóki pozostawali tutaj, na tej maleńkiej wysepce otoczonej mgłą i czarami, należał do niej. Czy nie taki był sens Beltaine? Noc zapomnienia, noc pragnień i marzeń, snów i nadziei? A ona nigdy

nie wykorzystwała tych czarów. Zasłużyła na jedną noc Beltaine.

- Myślałam, że jestem bezpieczna - wyszeptała znowu. - Ale

teraz nie jestem pewna.

Przechylił głowę, tak że jego twarz znalazła się w cieniu i kiedy

się odezwał, jego głos wydawał się pozbawiony ciała; rozchodząc się

w wilgotnym powietrzu, brzmiał zadziwiająco poufale.

- A to dlaczego?

- Jesteśmy tu tylko we dwoje. Wątpię, żeby to było bezpieczne -

odparła szczerze.

Usłyszała, jak wstrzymał oddech.

- Boisz się, że mógłbym cię skrzywdzić?

104

- Nigdy.

Krótką, znaczącą pauzę.

- To nierozsądne, mała Tytanio.

Tytania. Królowa Oberona. Chyba czytał w jej myślach.

- Nierozsądne dla kogo? - spytała, wpatrując się w cienie, za

którymi kryła się jego twarz.

- No właśnie.

Jego pierś podnosiła się i opadała szybciej niż przedtem, ale poza

tym nie wykonał żadnego ruchu. Intuicja podpowiadała jej, że nie

zrobi żadnego gestu ani nie powie słowa, bo chce, aby to ona

zdecydowała, co się dalej stanie.

Za dwa dni wyjdzie za mąż i będzie należała do innego. Jeszcze

dwie noce i on odjedzie.

To Beltaine, powtórzyła sobie z rozpaczliwym uporem. Beltaine istniało poza czasem. Stało ponad prawami, które rządziły resztą dni i tygodni. Nikt nie musiał się spowiadać z tego, co robił w noc Beltaine.

Przez resztę życia będzie należała do innego, ale nie dziś.

W gardle jej zaschło, paraliżował ją strach przed odrzuceniem.

Nie wiedziała, co powiedzieć, jak go zdobyć, a on stał w milczeniu, jakby czekał na coś pełen obaw.

Instynktownie pochyliła się, unosząc dłoń w błagalnym geście.

- Proszę.

Jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

- Ash, proszę.

Gwałtownie, jakby pękł niewidoczny sznur, którym był spętany, rzucił się w jej stronę i padł obok niej na kolana. Wziął ją w ramiona i zaczął całować z niecierpliwą natarczywością.

Otoczyła rękami jego szerokie ramiona, a on okrywał pocałunkami jej usta i policzki. Były to pocałunki, w których czuło się głód, rozpacz, długo tłumione pragnienie, namiętność.

Jego język przesunął się po linii jej warg. Otworzyła usta i ciepły koniuszek wsunął się głęboko. Świat zawirował.

Przesunęła dłonie po jego mocnej szyi aż do obojczyków i niżej, pod koszulą, na pierś. Pragnęła wtulić się w jego nagie ciało jak kot.

Popatrzył na nią.

- Jesteśmy blisko miejsca, z którego nie ma odwrotu -

wychrypiał. -Nie jestem miłym człowiekiem, Rhiannon. Nie dbam o honor i nie cofam się przed niczym. Od tej chwili będę brał wszystko, co zdołam, wszystko, na co pozwolisz, nawet jeśli to nigdy nie miało być moje.

Jego słowa były brutalne i szczere, ale ona nie chciała ich rozumieć. Dotknęła jego policzka. Opuścił głowę i wycisnął gorący pocałunek na jej dłoni.

- To noc Beltaine - szepnęła. - Nic, co zrobimy, nie będzie się liczyło o świcie.

Przez długą chwilę patrzył na nią i wydawało jej się, że dostrzega urazę w jego oczach. Potem uśmiechnął się z rezygnacją.

Chciała zapytać, dlaczego, ale położył palec na jej ustach, ułożył ją na plecach, a sam wyprostował się na kolanach. Jednym płynnym ruchem chwycił kraj koszuli i ją ściągnął.

Światło księżyca wydobyło z mroku piękno jego ciała.

Powoli, nie przestając patrzeć jej w oczy, położył ręce przy jej biodrach. Koszyk z kwiatami przewrócił się i białe płatki posypały się na ziemię.

- Nic nie będzie się liczyło - szepnął Ash, a potem znalazł ustami jej usta.

Nie oszukał jej. W tym, co robił, nie było żadnego umiaru czy opanowania, żadnej kurtuazji czy lękliwego szacunku.

Jedną rękę wsunął pod jej plecy, przyciągając ją do siebie, a drugą sięgnął między nich i jednym szarpnięciem rozerwał jej gorset, odsłaniając piersi. Podniósł głowę; w jego spojrzeniu było coś dzikiego i władczego. Powinna czuć strach przed tą ledwie wstrzymywaną gwałtownością, ale nie czuła. Wciągnęła głęboko powietrze, a jej piersi otarły się o jego ciało.

Spojrzał na ciemne brodawki, schylił głowę i zaczął pieścić językiem jedną z nich.

Westchnęła, oszołomiona dziwnymi nowymi doznaniem, i złapała Asha za włosy, usiłując go odciągnąć. Zignorował ją.

Otoczył wargami twardą grudkę i zaczął ssać z żarliwą łapczywością.

Jej westchnienie przeszło w jęk. Rozluźniła palce na jego włosach i wygięła plecy, poddając się pieszczocie.

106

Powiodł dłońmi w dół jej brzucha i ująwszy spódnice, zawinął je wysoko nad jej udami.

Poczuła dotyk chłodnego wiatru na udach i na pokrytym puchem miejscu u ich zbiegu. Rzeczywistość wróciła z porażającą ostrością.

Chciała się zakryć, ale on złapał ją za nadgarstek i uniósłszy jej rękę, przycisnął do ziemi obok jej twarzy.

- Ash...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Namiętnym, głębokim, natarczywym. Wsunął kolano między jej uda, zmuszając ją, żeby rozsunęła nogi. Gdy po chwili poczuła jego palce u wejścia do jej

ciała, wydała zduszony jęk.

- To się nie liczy - wyszeptał. Głos miał ponury, gorzki, ale usta słodkie, błagalne i czułe.

Delikatnie gładził jej wzgórek. Szarpnęła się, ale ten ruch sprawił tylko, że jego palce wsunęły się głębiej w rozwidlenie jej ciała. Jęczała pod dotykiem jego dłoni.

Mięśnie jej nóg rozluźniły się pod wpływem cudownego doznania, jakie wywołał. Przycisnął dłoń do jej ciała i delikatnie wsunął palce, doprowadzając ją do szaleństwa. Nie miała pojęcia, że tyle rozkoszy może się skupić w tak małym punkciku, który Ash pieścił ze zręcznością wirtuoza.

Drżała, czując w sobie niezaspokojone pragnienie. Uniosła biodra, instynktownie dążąc do głębszego kontaktu.

Znieruchomiał, a potem pocałował ją, pijąc jej pożądanie jak opium. I jego dłoń znowu się poruszyła, wywołując niezwykle doznania, prowadząc ją ku krawędzi czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Zamrugła powiekami, niebo nad głową zniknęło...

Przerwał, a ona jęknęła zgnębiona, chwytając go mocno rękami.

- Chcesz więcej i więcej - szepnął. - Może potem zrozumiesz moje pragnienie.

Wsunął palce głębiej, jego dłoń poruszała się coraz szybciej.

Blisko... prawie... już!

Zaspokojenie wybuchło crescendo czystej fizycznej rozkoszy.

Jej plecy wygięły się w łuk, dłonie zacisnęły w pięści. A potem

napięcie powoli ustąpiło, zostawiając uczucie sytości i zmęczenia.

107

Otworzyła oczy. Ash uśmiechał się kącikami ust. Usta, na które nigdy już nie będzie mogła patrzeć, nie pragnąc ich pocałować.

- Nie martw się, Rhiannon - powiedział łagodnie. - To się naprawdę nie liczy. Nadal jesteś dziewicą.

Ledwie go słuchała. Wielki Boże, musi być naprawdę zepsuta.

Bo samo patrzenie na niego, na grę światła i cieni na jego silnym ciele, wzbudziło w niej kolejną falę pożądania. Uniosła się z wysiłkiem, nie zwracając uwagi na to, że wiatr chłodzi jej nagie piersi, a włosy spadają falą na plecy. Nie odrywała oczu od jego twarzy, na której wyraz łagodnego rozbawienia ustąpił zdumieniu.

Uniosła rękę i dotknęła jego szyi. Skórę miał gorącą wilgotną - jak po dużym wysiłku. Delikatnie przesunęła dłoń niżej i położyła na jego piersi; jej ręka poruszała się w rytm jego ciężkiego oddechu.

Potrzebowała go, potrzebowała jego serca, które ukrywał. Ale bała się powiedzieć, czego naprawdę pragnie.

- Ash, proszę - zdołała wyszeptać.

Chrapliwy dźwięk, krótki, poruszający. Gniew czy żal? Nie potrafiła odgadnąć. Potem jednak bez słowa chwycił ją w ramiona.

Wstał i wyniósł ją z księżycowych cieni, jakie rzucały gałęzie głogu.

Objęła go rękami za szyję, a policzek przytuliła do jego piersi, słuchając równych uderzeń serca.

Zaniósł Rhiannon na trawiastą polankę skąpaną w bladym

świetle księżycyca. Rozpostarł pelerynę, delikatnie położył ją na niej i ułożył się obok.

- Czy coś, co nie istnieje, może zostać zabite? - spytał, gładząc splecione kosmyki włosów na jej czole.

- Nie rozumiem - szepnęła.

Przesunął palce niżej, na jej piersi. Jej sutki nabrzmiały pod wpływem pieśczozy. Nie była w stanie myśleć, kiedy ją tak dotykał.

Ale czy nie taki postawiła sobie cel tej nocy? Żeby nie myśleć. Czy nie powiedziała mu tego?

- Popatrz - odezwał się, wskazując spowitą księżycową poświatą polanę. - Jeśli jestem Oberonem, to ten świt do mnie należy. To jest moja księżycowa kraina i tutaj... to się liczy.

108

Ogarnęła ją fala uczuć, próbowała zrozumieć... On jednak przywarł biodrami do jej bioder, przeganiając wszelkie myśli z jej głowy.

Pożądanie, tak niedawno zaspokojone, wybuchło ponownie, tym razem głębsze, dojrzałe. Sapnęła zaskoczona niespodziewaną przyjemnością. Patrząc jej w oczy, podwinął jej spódnice i ujął jej uda, żeby rozsunąć je. Coś twardego dotknęło jej wnętrza.

Nie poruszał się, pozwalając jej przywyknąć do tej części swojego ciała. Drgnęła i twarda wypukłość otarła się o nią.

Nie panując nad sobą, pociągnęła jego głowę w dół i otworzyła usta, spragniona pocałunku. Wino. Cynamon. Gorąco. Kręciło jej się

w głowie, była oszołomiona. Chciała połączyć się z jego ciałem, spalić w z trudem powstrzymywanej namiętności, którą w nim czuła.

Wsunął ręce pod jej kolana i zarzucił je sobie na biodra, a potem umieścił dłonie pod jej pośladkami i podniósł ją bez wysiłku. W miękkim zagłębieniu ciała poczuła jedwabistą wilgoć jego erekcji.

Poruszyła się, oczekując obiecanej rozkoszy.

- Proszę, Ash.

Krople potu zrosiły mu czoło. Patrzył półprzytomnie.

- Księżyc nie sprawia, że to się staje prawdziwsze, że się liczy - powiedział. - To szaleństwo pragnąć czegoś, na co nas nie stać, a

mnie nie stać na ciebie. - Słowa padały w pośpiechu, gwałtowne,

bełkotliwe. Pocałował ją znowu, głęboko i namiętnie. Odwzajemniła

pocałunek z równą gwałtownością.

- Chcę ciebie, Ash. Potrzebuję cię.

- Potrzebujesz. - Oczy miał zamglone.

Chwycił ją za biodra i wszedł w nią, nieprawdopodobnie wielki,

nieprawdopodobnie twardy. Na jego twarzy widniało napięcie, oczy

ginęły w cieniu gęstych rzęs. Włosy opadły mu na szyję. Pot lśnił na

mięśniach ramion. Wbiła palce w jego drżące ramiona, chcąc znaleźć

oparcie wobec zalewu gwałtownych doznań.

- Nie można się cofnąć - szepnął chrapliwie. - Za późno. Rozsuń

szerzej nogi. Tak. Już.

Przenikliwy, krótkotrwały ból. Jęknęła.

Wypełnił ją całą i tulił wciąż drżącymi rękami, z piersią

spływającą potem. Powoli przyjemność wróciła, narastając falami.

109

Nigdy nie doznała czegoś tak przyjemnego. Poruszył się. Pchnięcie stali w jedwabnej powłoce. Cofnął się. I znowu silne, wolne pchnięcie.

Świat wokół wirował. Instynktownie poruszyła się, wychodząc na spotkanie kolejnemu pchnięciu. I następnemu.

- Tak - szepnął. - Tak.

Przywarła do niego, podążając za tempem kolejnych pchnięć.

- Powoli. Spokojnie.

To nie było łatwe! To była ciężka, namiętna praca. Serce jej łomotało. Sapała z wysiłku. Pragnęła powtórzyć to odczucie; jęknęła żałośnie, kiedy jej umknęło. Chwycił ją za pośladki, wchodząc głębiej.

- *Thoir dhomb* - zażądał. - *Poddaj się. Gabb, me eun.*

Już. Znowu. Teraz. Światło i cień przemieszały się i rozszczepiły, kiedy przez jej ciało przepłynęła rozkosz, fala za falą, docierając do samego wnętrza jej istoty. Zaszlochała, szczęśliwa i spełniona.

Potem objął ją jeszcze mocniej i znowu wszedł w jej ciało.

Odchylił głowę, uniósł się na ramionach i wbił się w nią. Przez jego ciało przebiegło głębokie drżenie.

Kiedy wszystko minęło, opadł na nią bezwładnie.

- Przeklęty świt - jęknął. - Przeklęty, cholerny świt.

Noc Beltaine ustąpiła powoli jaskrawym barwom wschodu słońca. Rześki wiatr wywołał rumieniec na białych policzkach dziewcząt i chłopców, dla których noc szaleństw nie stanowiła wymówki do lenistwa. Do południa obudzili się nawet ci uprzywilejowani z bogatych domów, żeby kontynuować świętowanie. Mieszkańcy Fair Badden zebrali się ponownie na rynku wokół udekorowanego pala, czekając na kolejne punkty programu.

Ale nie wszyscy. W domu Fraiserów Ash Merrick siedział przy kuchennym stole z kubkiem mleka w dłoniach, które z jakiegoś powodu lekko się trzęsły. Skrzywił się, patrząc na biały płyn.

Zeszłej nocy zaniósł śpiącą Rhiannon do jej pokoju, żeby Edith Fraiser nie znalazła pustego łóżka. Był winien chociaż tyle dziewczynie, której odebrał dziewictwo niemal w przeddzień jej ślubu.

Nie zamierzał tego zrobić.

Czy jednak zamierzał? Wciąż nie mógł uwierzyć, że uległ impulsowi, by jej poszukać i chronić przed drapieżnikami - dwu- i czworonożnymi. I znalazł ją, na pół leżącą pod drzewem, z odrzuconą do tyłu głową, z długą, cudowną szyją wygiętą jakby do pocałunku kochanka.

Ale to nie owa słodka omdłałość, wypukłość piersi czy nawet fragment nagiego uda spowodowały, że nie mógł jej się oprzeć. To jej stopy sprawiły, że stracił resztki przyzwoitości.

Bose stopy, które wystawały spod jaskrawej spódnicy mleczarki. Różowe podbicie było powalane trawą i ziemią, ale paznokcie przy każdym palcu pozostały czyste, błyszcząc w świetle księżyca jak macica perłowa. Postawiłby ostatni grosz, zakładając się, że żadna inna z młodych dam Fair Badden udająca prostą wiejską dziewczynę nie zdjęła butów. Tylko Rhiannon Russell, żeby poczuć świeżą wilgotną trawę między palcami. Ta swoista dzikość, chęć zmysłowego poznania świata wywołała w nim żądze.

Sprawiła, że pragnął jej bardziej niż czegokolwiek przedtem. Chciał być kochankiem, dla którego wygięła szyję. Wszystko inne ustąpiło przed tym nagłym pragnieniem.

Przyłożył więc usta do podstawy jej szyi, czując puls drżący jak dziki ptak w dłoni myśliwego i przypieczętowując ich los - bo kiedy raz jej dotknął, nie było już odwrotu. Krótkie chwile, kiedy sumienie błagało go, żeby nie odbierał dziewictwa dziewczynie przed ślubem, tłumiała skutecznie żarliwość jej ust. Jej silne młode ciało poddało się jego żądzy, rujnując jego skrupuły.

Jego słabe próby panowania nad sobą nie były niczym więcej niż oszustwem. Wystarczyło, że szepnęła „proszę”, a wszelkie skrupuły spaliły się na popiół w ogniu ich wspólnego pożądania.

Była uczciwsza od niego, pomyślał ze smętnym uśmiechem.

Wiedziała, że ich oczarowanie to dzieło tej nocy. Że jest nieprawdziwe.

Zamknął oczy. Powiedziała, że to nieprawdziwe. Musi o tym pamiętać.

Poranek odbierze jej spokój sumienia. Nadszedł czas zapłaty za

chwilę zapomnienia. Zawsze trzeba za to płacić.

Gdy w noc poślubną padną pytania, Rhiannon, uczciwa, zasługująca na potępienie Rhiannon, odpowie na nie, gubiąc samą siebie.

Odgarnął włosy z oczu i zapatrzył się w kuchenne okno. Suka Rhiannon, Stella, leżała, przyglądając się leniwie królikowi przeżuwającemu liście żywokostu Edith Fraiser. Ash przypomniał sobie, jak Rhiannon czule głaskała długie uszy zwierzaka. Uśmiechnięta, odprężona, szczęśliwa. Zawsze powinna być taka. Zacisnął ręce na kubku.

Będzie musiał poczekać, aż Wart ją poślubi. Bo chociaż nie mógł Rhiannon niczego ofiarować - nawet przyzwoitości, która kazałaby mu oprzeć się narzeczonej człowieka, który uważał go za bohatera - mógł jej dać przynajmniej ochronę, jaką zapewniał strach. To była jedyna rzecz, jaką miał: zdolność wzbudzania strachu. Dzisiaj znajdzie okazję, żeby wyjaśnić Phillipowi, jak niebezpieczne może się okazać odrzucenie Rhiannon Russell...

- Ash - usłyszał za plecami.

Powinien się spodziewać, że nie będzie go unikać, że będzie wołała stanąć twarzą w twarz ze swoim uwodzicielem. Ci ludzie zupełnie jej nie rozumieli. Nie rozumieli, że mimo ran, które zadało jej Culloden, poddawanie się nie leży w jej naturze. Przywołał na twarz stosowny uśmiech - nie nazbyt poufały czy uwodzicielski; uśmiech kochanka, który się nie liczy - i się obejrzał.

W świetle słońca jej atlasowa skóra wydawała się jeszcze

delikatniejsza, oczy jeszcze bardziej zielone, a włosy ciemniejsze.

- Rhiannon. Panno Russell. - Pozostawił jej wybór, jak ma się do niej zwracać.

Zmarszczyła brwi, podchodząc do okna, do glinianego wazonu z anemonami. Dotknęła delikatnie różowego płatką - tak jak dotykała jego ciała zeszłej nocy.

- To takie trudne - szepnęła.

Jej oczy robiły wrażenie szklistych i lśniących. Łzy? Tak.

Oczywiście, że będą łzy.

- To było złe.

- Tak. - Złe, dobre, co za różnica? Patrzył na nią wyczerpany ponad siły. - To było złe.

- Będę dla niego dobrą żoną. - Zerknęła na niego, jakby sprawdzając, czy go przekonała. - Naprawdę. Wiem, że to, co zrobiliśmy zeszłej nocy, było grzechem, i wiem, że jesteś przyjacielem Phillipa...

Muszę cię jednak prosić... nie, muszę cię błagać, żebyś mu nie powiedział.

Z ulgą wypuścił powietrze z płuc, napięcie opadło. Dobrze. Postanowiła milczeć - jedyne, co powinna zrobić, jeśli istniała jakaś szansa, żeby uniknąć konsekwencji zeszłej nocy. Nadal chciała wyjść za Phillipa, i tak właśnie powinno być. A dziwne poczucie zdrady? Nieważne.

- Tak. To znaczy nie. Nie powiem.

- Przysięgnij.-Błagalna nutka złagodziła żądanie.

- Przysięgam.

Odwróciła się do niego, miękkie fale włosów zakołysały się, opadając na ramiona. W jego wspomnieniu były jak jedwabna chmura.

Ale dlaczego ich nie związała? Ach, prawda, była Majową Królową.

- Nie znasz Phillipa tak dobrze jak ja, a ja... To nie to, że boję się, że mógłbyś specjalnie go zranić, ale jeśli poczucie honoru kazałoby ci wyznać mu, co się stało, poczułby się zobowiązany, żeby się z tobą pojedynkować. Nie wolno go ranić. - Podniosła rękę w geście wyrażającym prośbę.

- Oczywiście.

- Musisz zrozumieć, najlepiej będzie, jeśli ja...

113

- Nie musisz mówić nic więcej - przerwał jej łagodnie, nie będąc w stanie tego słuchać.

- Dziękuję.

Jej uśmiech wyrażał smutek i wdzięczność. Po tym, co jej zrobił, nagradzała go tym ślicznym uśmiechem, ponieważ . . . oczy rozszerzyły mu się w nagłym oszołomieniu.. . . ponieważ wierzyła, że on odczuwa to samo.

Że martwi się o Phillipa Watta!

Uświadomił sobie nagle niezwykłą ironię losu. Odwrócił wzrok.

Dość tego, pomyślał, ogarnięty złością. Jestem śmiertelnie zmęczony ciężarem jej naiwnej wiary we mnie.

Powinien powiedzieć Rhiannon, że nie dba o to, że przyprawił rogi jej narzeczonemu. Ostatniej nocy próbował odsłonić przed nią

swoją prawdziwą naturę. Może trzeba zrobić to jeszcze raz, odrzeć ją ze złudzeń panienki z prowincji, pokazać jej, pod jakim to dżentelmenem leżała tej nocy.

Zależało mu tylko na jednym: zatracić się między jej udami. I nadal zależało mu tylko na tym, o czym świadczyła reakcja jego ciała, kiedy na nią patrzył.

Jednak w jakiś sposób ten drobiazg - jej naiwna wiara, że zachowa się po rycersku, że jest lepszy niż w rzeczywistości - zamknął mu usta.

- Cierpisz. - Odeszła od okna, z wolna zmniejszając odległość między nimi. Wstrzymał oddech, wołał, żeby stała w miejscu. - Widzę to w twoich oczach. Tak mi przykro.

Dlaczego to powiedziała? Dlaczego mu to robiła?

- To było.. - przerwała. Smutny uśmiech, niczym wspomnienie niewinności, uniósł delikatnie kąciki jej ust do góry. - Och, Ash. Wiem, że to złe, gorsze niż wszystko, co zrobiłam kiedykolwiek, ale nie potrafię żałować tej nocy.

Zadała mu ostateczny cios.

- Będę o tym pamiętać - ciągnęła, wdzierając się w głąb w głąb jego duszy tymi wypowiedzianymi słodkim głosem słowami. - Sama pamięć to niewiele, ale jestem pewna, że w przyszłości... Proszę. - Podeszła o krok bliżej. - Czy nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

Patrzył na nią, nie będąc w stanie się odezwać.

Widocznie uznała milczenie za zgodę, bo uniosła się ostrożnie na palcach i musnęła wargami jego usta. To wystarczyło, żeby pokonał

dziwne odrętwienie, objął ją i przyciągnąwszy do siebie, pogłębił pocałunek, tak że stał się... nieporównanie bardziej podniecający. Całowała tak słodko. Tak uwodzicielsko. Jej usta były jak pyszny soczysty owoc, a on umierał z głodu. Głodował od lat. Łapczywie obwiódłszy jej usta czubkiem języka, wślizgnął się w gładkie, wilgotne wnętrze.

Z westchnieniem rezygnacji objęła go za szyję, odchyliła głowę i odwzajemniła pieszczotę.

Całowała go z rozpaczą ostatecznego pożegnania: namiętnie, czule, tęsknie. Ujął w dłonie jej głowę, mruczac ciche, oderwane słowa zachwytu. Pożądanie cichło i wybuchało z obezwładniającą siłą.

Odsunęła się, a on podniósł rękę i opuszką kciuka potarł jej dolną wargę. Zadrżał, starając się opanować własne ciało.

- Rhiannon...

Z żalonym jękiem opuściła ręce, wyrwała się z jego objęć i odwróciła gwałtownie. Usłyszał szelest spódnicy, stukot jej biegnących stóp i ciche echo rzuconego przez Izy: „Żegnaj”. Nim zdążył podnieść głowę, już była za drzwiami.

Położył ręce na stole, szukając oparcia, kiedy uświadomił sobie, co myślała. Uważała go za kochanka, czulego, delikatnego współnika grzesznego czynu, a ten pocałunek stanowił ostateczną zapłatę, pamiątkę. Wykrzywił wargi w cynicznym uśmiechu.

Przerażająca naiwność. Nie do zniesienia.

Kochał się z tą dziewczyną. Dostał, czego chciał. Pora przypomnieć sobie, po co tu przyjechał i dokąd miał się udać. Powinien siedzieć w Londynie, przy stole gry, pracując nad uwolnieniem Raine'a, a nie tutaj, spalając się z pożądania do dziewczyny, która nie wiadomo dlaczego wierzyła w jego szlachetność.

Zacisnął pięści i rozejrzał się po kuchni, jakby szukając drogi ucieczki.

Musi myśleć o Rainie. Obiecał matce, że zadba o jego bezpieczeństwo, a w tej chwili nie wiedział nawet, czy Raine żyje.

Nagłym gestem zrzucił kubek ze stołu, rozbijając go na kawałki. Niczym ślad straconego dziewictwa, mleko rozlało się po podłodze.

Wyszedł z kuchni na podwórze i skierował się do stajni, wołając na chłopca stajennego, żeby mu osiodłał konia.

115

Na rynku wciąż trwało świąteczne zamieszanie; zaróżowione twarze chłopców i dziewcząt świadczyły o tym, że niedawno skończyły się tańce przy majowym palu. Watt z kompanami siedział przy kwadratowym stole przy wejściu do gospody Pod Oraczem.

Dobrze, pomyślał Ash. Niewielkim wysiłkiem zdoła naprawić szkodę wyrządzoną recytacją starej ballady i plotkarstwem St. Johna. To była gromada łatwowiernych prowincjuszy.

Ogarnęło go mętne poczucie niechęci do samego siebie. Przełknął je, jak każde zło w swoim życiu. Watt chciał darzyć go sympatią.

Zmusił się, żeby nie patrzeć na Rhiannon, która siedziała na ziemi

obok narzeczonego, roztkliwiając się nad jego zranioną nogą. Phillip przykrył jej drobną dłoń swoją potężną, opaloną dłonią i pochylając się ku niej, mówił coś z zapałem. Byli zajęci tylko sobą, głusi na to, co się działo wokół, ale Ash miał diabelnie ostry słuch.

- ...oczywiście, że musisz jechać - przekonywał Phillip. - Nie chcę, żebyś została z powodu mojej kontuzji. Poza tym ojciec zorganizował to polowanie specjalnie dla ciebie. Naprawdę, Rhiannon, musisz jechać.

Nalegam!

Wierzchem wolnej dłoni otarła łzy. Ash stłumił odruch, żeby wziąć ją w ramiona i scałować łzy z jej twarzy.

- Naprawdę jesteś za dobry, Phillipie - odparła. - Nie zasługuję na to. Phillip poklepał ją niezgrabnie po policzku.

- Wszystko w porządku. Nerwy. Przeddzień ślubu i w ogóle.

Zaczerwieniła się i wysunęła rękę spod jego dłoni. Ash wyczuł, że jej poczucie honoru bierze górę nad rozsądkiem.

- Phillipie, muszę ci powiedzieć..

Nie wolno jej tego zrobić.

- Watt! -krzyknął.

Rhiannon spojrzała w jego stronę. Jej usta wygięły się boleśnie.

- Panno Russell. - Ash skinął uprzejmie głową. - Czy nie przyłączysz się do wspaniałej gry, którą zorganizowała pani Chapham?

Uśmiechnął się promiennie. Przydałoby jej się parę lekcji obłudy. I lepiej, żeby szybko się uczyła. Zanim znajdzie się w łóżku Phillipa.

Zwrócił wzrok z powrotem na Watta. Jasnowłosey olbrzym patrzył na

niego naburmuszony.

116

- Jeśli nie zrobisz czegoś - powiedział Ash - żeby ostrzec nowo przybyłych przed działaniem waszego wiejskiego jabłecznika, skończycie z tłumem pustogłowych hultajów czekających w kolejce do magistratu, żeby spowiadać się ze swojej głupoty.

Z twarzy Phillipa znikło nadęsanie, ale nieufność pozostała.

- Ledwie pamiętam, jakiego głupka zrobiłem z siebie wczoraj wieczorem - powiedział Ash z obezwładniającą słodyczą - ale jestem pewien, że wielkiego. W takim stanie przyznaję się zwykle do wszelkich możliwych zbrodni. Składam też obietnice, których nie mogę spełnić, oraz przysięgi, których nie zamierzam dotrzymać. Wybaczysz mi?

Nie zwracał uwagi na urazę w oczach Rhiannon, która nie mogła nie wziąć jego słów do siebie.

- Nie przejmuj się tym, Merrick - odparł Phillip, poklepując go po ramieniu. -Nieważne, co zostało powiedziane, zaśpiewane czy...

wszystko jedno. Jabłecznik Fair Badden spowodował, że najlepsi z nas pletli głupstwa. Poza tym - rzucił ponure spojrzenie na St. Johna - są tacy, którzy zawsze znajdują przyjemność w opowiadaniu historyjek.

Bez względu na to, czy prawdziwych czy nie.

- Jesteś zbyt wielkoduszny - mruknął Ash.

- Proszę. Usiądź koło mnie, - Phillip skinął na Andrew, syna oberżysty, ten zaś przyniósł kolejne krzesło.

Gdy Ash usiadł, Rhiannon odsunęła się, żeby być dalej od niego.

- W co oni właściwie grają, panno Russell? - zapytał

swobodnym tonem, szukając pretekstu, żeby na nią spojrzeć.

- W podstęp ślepcy - odparła ze spuszczonej oczami. - Masz ochotę zagrać?

Wyciągnął przed sobą długie nogi.

- Boże, nie. Nie wiedziałbym jak.

- Ale wszyscy znają podstęp ślepcy.

- Nie ja - rzeki. - Tam, gdzie dorastałem, nie było pokoju

dzieciniego. Pokoju zabaw. Żadnej niańki czy guwernantki. Tylko stara, powykęcana podagrą opiekunka, która pracowała za pół darmo i z jakiegoś powodu dochowała wierności rodzinie mojej matki.

Pożałował tych słów, ledwie je wypowiedział. Rhiannon znieruchomiała, przejęta smutkiem.

117

Popatrzył na nią z gniewem. Zaczarowała go, wymusiła zwierzenia,

którymi nie chciał się dzielić, zakłóciła sielankowy obrazek, który starał się stworzyć, przedstawiając swoje życie. Musiał odzyskać stracony grunt.

Pokręcił głową.

- Na Boga, Watt, z tobą i twoją narzeczoną o tkliwym sercu trzeba

się obchodzić jak z porcelaną. Rozumiem jej wrażliwość, urodziła się

przecież na wsi i niewiele wie o świecie i ludziach. - Nie wolno mu na

nią patrzeć.

-Nie chciałem powiedzieć, że nie bawiliśmy się jako dzieci. Gier

nam nie brakowało.

Gry rozpaczki. Gniewu i złości. Ojciec uczył ich po mistrzowsku.

- Głównie były to gry hazardowe. Jesteśmy niepoprawnymi hazardzistami w naszej rodzinie. To samo co u was, prawda, Watt?

- Tak, faktycznie-przyznał Phillip.

- No to opowiedz mi o tej grze. Czy można obstawić wynik?

- Tak sądzę - odparł Phillip z namysłem.

- Postawię szylinga przeciwko koronie, że Margaret Atherton zostanie schwytana jako pierwsza - zwrócił się do Watta, unikając wzroku Rhiannon. Nadal było coś, co można było zabrać z Fair Badden. Chociaż nie to, czego chciał.

Rhiannon wstała. Zawahała się, nie wiedząc, czy zostać, bo

Phillip o niej zapomniał, a Ash na nią nie patrzył. Wreszcie odeszła, modląc się w duchu, żeby drżące nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa, zanim dotrze za róg gospody i usiądzie na ławce pod ścianą, od słonecznej strony. Nogi jej nie zawiodły, ale ledwie znalazła się za rogiem, kolana ugięły się pod nią. Opadła na ławkę, nareszcie mając chwilę, żeby uporządkować szalone myśli i uspokoić skołatane serce.

Wciąż drżała, nie mogąc dojść do równowagi. Znała źródło tego niepokoju. Zdradziła Phillipa i poczucie winy zżerało ją.

Ukryła twarz w dłoniach. Łzy nie przynosiły niczego dobrego;

poczucie winy jeszcze mniej, bo nic nie mogło cofnąć czasu i pozwolić jej przeżyć jeszcze raz tych paru godzin. A gdyby nawet było to możliwe, nie była pewna, czy chciałaby przeżyć je inaczej.

On chciał.

118

Widziała to w jego chłodnych ciemnych oczach dziś rano i usłyszała w ukrytym ostrzeżeniu, kiedy mówił o świecie i ludziach oraz naiwnych wiejskich dziewczynach. Przycisnęła dłonie do skroni, próbując myśleć, podjąć jakieś decyzje.

Musi wyznać Phillipowi, co zrobiła, inaczej załamie się pod ciężarem tajemnicy. Już dwa razy próbowała i dwa razy Phillip jej przeszkodził. Zupełnie jakby wiedział, co mu powie, i nie chciał dopuścić do zwierzeń.

Nonsens. To tylko jej urojenia. O ileż łatwiej byłoby, gdyby zdołała sobie wmówić, że Phillip jest szczęśliwszy, nie wiedząc o niczym.

Mogła wmówić sobie coś takiego. Wiedziała, że Phillip nie żywi do niej wielkiej miłości, że wybrał ją na żonę, ponieważ jest posłuszna i nie wymagająca. Nawet raz jej powiedział, że ojciec przekonywał go, że jest dla niego odpowiednią partią, bo nie ma aspiracji, by mieszkać poza Fair Badden, nie chce podróżować ani wyjeżdżać do Londynu w celach towarzyskich.

Starszy pan miał rację. Świetnie się dobrali z Phillipem. Nie chciała opuszczać Fair Badden. Tu było spokojnie i bezpiecznie.

Sama myśl o wyjeździe wzbudzała w niej panikę. Gdzieś tam, daleko, zdarzały się złe rzeczy.

Powinna była o tym pomyśleć, zanim postawiła pod znakiem zapytania swoją przyszłość - dobrą, pogodną przyszłość, która nawet jeszcze

teraz pozostawała w jej zasięgu - pozwalając dojść do głosu swojej długo tłumionej, zapalczywej, namiętnej naturze.

Pora znowu pogrzebać tę naturę. Tym razem głębiej. Tak głęboko, że w końcu zginie i już nigdy nie da o sobie znać.

Jęknęła głucho i wstała. Jej myśli kręciły się wciąż wokół tego samego, niczym wąż pożerający własny ogon. Czuła się oszołomiona i przerażona. Światło odbijające się od białej ściany gospody raziło ją w oczy. Odwróciła głowę.

Zobaczyła, jak Edith Fraiser, z kopertą w dłoni, energicznym krokiem przemierza rynek. Za nią jeden z jej ludzi prowadził parę psów na smyczy.

Ten widok natychmiast uspokoił Rhiannon, łagodząc mordercze napięcie. Polowanie. Polowanie odświeży jej myśli i przegoni niepewność z serca. Wyścig z wiatrem pozwoli zostawić za sobą

119

wszelkie zgryzoty, zmartwienia, konieczności - oraz zdradę. Tak. Pojedzie na polowanie.

Ash wziął kopertę z rąk Edith Fraiser. Powinien być zadowolony: sakiewkę miał cięższą o prawie pięćdziesiąt funtów; wszedł z powrotem w środowisko owieczek do strzyżenia jako nieszkodliwy towarzysz zabawy; powstrzymał też Rhiannon od wyznania winy tuż przed ślubem.

Tak, jest całkiem zadowolony. Ten ból w sercu to po prostu wpływ wiejskiego życia. Nadmiaru warzyw. Nadmiaru słońca.

Otworzył kopertę i zerknął na podpis. List był od Thomasa

Donne'a. W miarę czytania zainteresowanie Asha rosło. List sugerował przyczynę ataków na Rhiannon - mało prawdopodobną, ale zawsze.

Zmarszczył czoło.

Zamierzał wkrótce wyjechać, ale ponieważ jest winien dziewczynie odrobinę względów, poczeka i zabawi się w psa podwórzowego.

Ochroni ją, a potem to już będzie zmartwienie Watta.

Może nie szukać wytłumaczenia dla bólu w piersi, nie będzie więc nawet próbować.

Jedźcie beze mnie. Zostanę z tyłu i będę cieszyć się pięknym dniem - powiedział Ash.

Dwaj młodzi ludzie, do których się zwracał, ostatni członkowie grupy myśliwych, którzy jeszcze nie wyruszyli, popatrzyli na niego powątpiewająco. Pomachał im ręką i patrzył, jak odjeżdżają. Uśmiech znikł z jego twarzy. Nie miał ochoty im wyjaśniać, że te lata, które młodzież spędza na doskonaleniu sztuki myśliwskiej, on spędził w lochu.

Wypatrzył figurkę Rhiannon Russell. W niebieskim aksamitnym kostiumie, przy którym jej brązowożłote włosy wydawały się płonąć, trzymała się z tyłu grupy, zamiast na przedzie jak się tego spodziewał.

Stella tuż za nią wbiegła w kępę krzaków. Rhiannon zawołała ją. Po chwili suka z hałasem łamanych gałęzi wypadła z gąszczu z wywieszonym językiem, merdając ogonem.

Gdyby wszystkie psy tak traktowano, pomyślał Ash. Inne czekały i tańczyły na smyczy, czekając, aż mistrz polowania spuści je i pozwoli pobiec za tropem. Suka Rhiannon cieszyła się wolnością. I miłością swojej pani.

Zmarszczył czoło i wyciągnąwszy list z kieszeni kamizelki, odszukał fragment, który skłonił go do zmiany decyzji co do wyjazdu:

...jeśli ten człowiek na wyspach francuskich rzeczywiście jest zaginionym bratem panny Russell, po jego śmierci, o ile nie ma żony i dzieci, jego plantacja przypadnie najbliższemu krewnemu. Czyli pan-

nie Russell, która, mimo że jest kobietą, jest także Szkotką, może więc dziedziczyć.

Jeżeli jednak panna Russell poślubi Anglika, jej własność przejdzie na męża. Komuś może zależeć, żeby do tego nie doszło.

Postaram się więc odszukać członków dalszej rodziny panny Russell. Być może jakiś tajemniczy członek rodziny knuje zamachy z ukrycia.

Upatrywałbym jednak potencjalnego mordercy raczej w zazdrosnej rywalce panny Russell albo w kimś, kto żywi do niej pretensje.

Jeśli panna Russell zdobyła przyszłego męża, zachodząc w ciążę, to warto, żebyś się temu przyjrzał. Może stary Watt nie chce córki jakobitów w swojej rodzinie, ale nie śmie narazić się synowi, odmawiając zgody na ślub?

I napisz mi koniecznie, czy wiejskie dziewczki znają jakieś sztuczki, które umknęły ich miejskim kuzynkom...

Ash złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Ciekawe. Nie zdawał sobie sprawy, że szkockie prawa dotyczące dziedziczenia tak bardzo różnią się od angielskich. Plantacja wytwarzająca melasę to z pewnością wystarczający powód do morderstwa.

Nic dziwnego, że Carr chce się ożenić z Rhiannon.

Jednak zgodnie z tym, co sugerował Donne, historia o zaginionym bracie wydawała się nieprawdopodobna. Może więc Rhiannon pokonała jakieś inne kandydatki na panią Watt? Ale u jej przyjaciółek nie zauważył żadnych przejawów wrogości. Wiedział też, lepiej niż ktokolwiek inny,

że Rhiannon nie wymusiła małżeństwa, zachodząc w ciążę. No i ojciec

Watta podobno osobiście wybrał ją na żonę dla syna...

Jakaś myśl wciąż męczyła Asha. Wrażenia, przypadkowe zdania.

Zastanawiał się nad nimi, marszcząc brwi w skupieniu. Phillip.

Przystojny, atletyczny Phillip, zawsze w otoczeniu wesołych

kompanów, przechwalający się swoimi miłosnymi podbojami. A jednak

w ciągu ostatniego miesiąca ani razu nie szukał towarzystwa kobiet

lekkich obyczajów. Nawet o tym nie wspomniał.

Może Phillip nie chce się żenić.. Może coś ukrywał i bał się, że

dzięki żonie to coś wyjdzie na światło dzienne...

Ash pokręcił głową. Miał zbyt bujną wyobraźnię. Za tymi

wypadkami nic się nie kryło. A jednak tłumne polowanie stwarzało

znakomitą okazję do kolejnego „wypadku”.

Wbił pięty w boki swojego wałacha i ruszył za oddalającymi się my-

śliwymi.

Rhiannon nie wkładała duszy w polowanie. Do tej pory, ilekroć prag-

nęła uciec, polowanie dawało jej taką możliwość. Dziś nie.

Ściągnęła wodze, zatrzymując konia na skraju gęstego świerkowego

zagajnika, i patrzyła, jak inni zjeżdżają po stromym zboczu za stadem

ujadających psów. Rozejrzała się za smukłą sylwetką Stelli, a nie

dostrzegłszy jej, uśmiechnęła się lekko.

122

Ta suka była nieporozumieniem. Woląла gonić wiewiórki niż przyłą-

czyć się do swoich psich towarzyszy. Dzisiaj już trzy razy Rhiannon

musiała ją zawracać z własnej ścieżki i zaganiać z powrotem do stada.

Wydawało się coraz bardziej oczywiste, że żadne pieszczoty czy kary nie zdołają przerobić Stelli na przyzwoitego psa myśliwskiego.

Rhiannon spięła konia ostrogami i ruszyła wzdłuż krawędzi lasu, nasłuchując odgłosów nagonki.

Czekała cierpliwie, ale po godzinie poczuła niepokój. Pozostali myśliwi dawno znikli jej z widoku, promienie słońca padały ukosem na wysokie dęby i modrzewie. Wkrótce nadejdzie zmrok i Stella się zgubi.

Rhiannon uniosła się w siodle, wołając sukę po imieniu i nasłuchując. Bezskutecznie. Zawróciła konia i ruszyła po własnych śladach. Może Stella pobiegła na wschód, a nie na zachód, jak jej się przedtem wydawało? Zadrzała, kiedy do jej uszu dobiegło nagle piskliwe wycie.

Skierowała się do źródła dźwięku, w gęste chaszczce wysokiego podszycia, które tworzyło ścianę wzdłuż brzegu lasu. Wbiła ostrogi w boki klaczy, ale ta cofała się uparcie.

Kolejny żaloszny skowyt ponaglił ją do działania. Cięła konia biczem po zadzie, zmuszając płochliwe zwierzę, żeby wjechało w gęstwinę. Kolczaste gałązki darły suknię Rhiannon i kaleczyły jej twarz.

Klacz rżała przerażona, usiłując przedrzeć się przez kłębowisko chwastów.

Pięćdziesiąt metrów, siedemdziesiąt. Nagle uświadomiła sobie, że w takim gąszczu koń mógł stracić oczy.

Ściągnęła wodze. Klacz rzucała łbem, gryząc wędzidło,

przerażona nieznanymi wrogami więzącymi jej nogi. Rhiannon przestała słyszeć Stellę. Rozejrzała się, szukając łatwiejszego przejścia. Na lewo dostrzegła smugę światła w niskim, wąskim korytarzu: sarni trakt. Odwróciła w tamtą stronę głowę klaczy, szepcząc pieszczotliwie słowa zachęty.

Koń rzucił się ku ścieżce, drżąc z podniecenia. Rhiannon uniosła się w strzemionach, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi dróżka. Spod paproci wyskoczył królik, przecinając klaczy drogę.

Tego było za wiele dla przestraszonego konia.

123

Ruszył z kopyta, wrywając Rhiannon lejce z dłoni, i pędził jak diabeł wcielony. Rhiannon położyła się na wyciągniętej końskiej szyi, usiłując chwycić lejce.

Spod kopyt konia wzlatywały grudy czarnej ziemi. Zieleń i złoto, światło i cień zlewały się przed jej oczami w szalonym pędzie.

Pozbawiona oparcia dla nóg i rąk, kiwała się niebezpiecznie na wypolerowanym skórzanym siodle. Gdyby klacz skręciła raptownie czy nagle stanęła, Rhiannon nie utrzymałaby się na jej grzbiecie.

Zatopiła palce w końskiej grzywie, modląc się.

Krzyk z przodu. Trzask. Łomot pędzących kopyt. Klacz skręciła, Rhiannon straciła równowagę...

Silne ramię porwało ją z siodła. Uderzyła plecami w czyjeś mocne ciało, biodrami w czyjeś udo. Obróciła się, usiłując się przytrzymać. Ramię szarpnęło ją do góry, sadowiąc między parą

silnych nóg.

Przed nią, w oddali, znikał zad jej konia. Dłoń w czarnej rękawicy pociągnęła lejce. Zerknęła do tyłu na swojego wybawiciela, pewna, że... tak, to był Ash.

- Myślałem, że jesteś jakąś cholerną Dianą! - krzyknął ze złością.

- Co...

- Ty! Wszyscy mówią, że jeździsz jak centaur. Lepszych jeźdźców widziałem na wózku straganiarza!

- Zgubiłam wodze - szepnęła.

- Zgubiłaś wodze? Cholera! Kłusownicza pułapka nie jest odpowiednim miejscem, żeby gubić wodze. A może twój instruktor jazdy konnej nie nauczył cię tego?

- Kłusownicza pułapka? - Zamrugła oczami, zmieszana i zdezorientowana.

- Tak. Wnyki zastawione przez kłusownika. Cholerna sarnia ścieżka jest najeżona po bokach ostrymi kolcami. Gdybyś spadła z konia... – Jego oczy lśniły, kiedy spoglądał nad jej głową. Głos brzmiał groźnie. Zacisnął szczękę pod niebie skoczarnym cieniem zarostu. - Co ty tu, do diabła, właściwie robisz?

- Stella. - Przypomniała sobie nagle. Odepchnęła się od jego piersi, usiłując się uwolnić z mocnego uścisku. - Stella!

124

W odpowiedzi rozległo się rozpaczliwe wycie.

- Proszę! - Złapała go za ramiona. Pod palcami poczuła kłęby

mięśni. - Proszę. Jest ranna. Słyszysz?

Spojrzeli sobie w oczy. Postawił ją na ziemi, jedną ręką nadal trzymając za nadgarstki.

- Pójdę. Poczekaj tutaj. Trzymaj wodze. Nie wypuszczaj ich z rąk. Odszedł, poruszając się z wdziękiem kota pod baldachimem liści, i zniknął w płaskim kręgu słonecznego światła.

Kolejne chwile, znaczone nerwowymi uderzeniami serca, przeciągały się w nieskończoność. Gałązka trzasnęła w pobliżu i stadko kuropatw wzbiło się do nieba, wprawiając w drzenie powietrze pod skrzydłami. Rhiannon czekała. Żałosne skomlenie kazało jej podejść tak daleko, jak pozwalały na to wodze, które więziły ją przy pokrytym pianą wierzchowcu Asha.

- Ash! - Koń parsknął, przestraszony nagłym dźwiękiem, i zatańczył, cofając się. -Ash!

- Tak.

Na ścieżce ukazała się ciemna, męska postać. Wyłoniła się ze światła, niosąc w ramionach wielkie zwierzę. Rhiannon przywiązała wodze do młodego drzewka i pomknęła dróżką, nie zwracając uwagi na wydane ostrym głosem polecenie Asha, żeby zostać.

Prawie do niego dobiegła, kiedy zobaczyła krew. Tworzyła szkarłatną obrożę na szyi psa i plamiła sierść na grzbiecie. Jedna tylna łapa zwisała bezwładnie.

- Stella - szepnęła.

Suka podniosła bursztynowe, pełne bólu oczy i zawyła.

Rhiannon pogłaskała ostrożnie jedwabistą głowę i wsunęła palce w miękką sierść. Jej dłonie zaczerwieniły się od krwi.

- Co się stało? - spytała.

- Była w środku pułapki. Nie mogła wyjść - odparł Ash.

- Czy nic jej nie będzie?

- Ma złamaną łapę.

Rhiannon odwróciła się gwałtownie i wróciwszy do uwięzowanego konia, zawołała przez ramię:

- Musimy jechać! Pani Fraiser potrafi nastawić każdą kość, u człowieka czy u zwierzęcia.

125

Ash podszedł do niej.

- Wsiadaj, Rhiannon. Podam ci Stellę. Trzymaj ją nieruchomo, jeśli zdołasz.

Rhiannon wdrapała się na grzbiet konia. Ash podniósł Stellę i położył jej na kolana. Suka zaskowyczała, a Rhiannon zaczęła szeptać do niej uspokajająco.

Ash chwycił wodze i poprowadził konia wąską ścieżką.

Wynurzyli się w odległym miejscu zagajnika, w sporej odległości od miejsca, gdzie weszła Rhiannon. Dziewczyna spojrzała na Stellę, która sapała płytko z oczami przymkniętymi z bólu.

- Kiedy dotrzemy do Fraiserów? - zapytała.

- Za dwie godziny. Może trochę mniej. Nie chcę, żeby...

- Halo!

Rhiannon i Ash podnieśli głowy. Leśną drogą zmierzał w ich stronę, podskakując na wybojach, wóz zaprzęzony w kucyki. Powoził nim Phillip, ze zwichniętą nogą wyciągniętą przed siebie.

- Dzięki Bogu.-Rhiannon pomachała energicznie ręką.-Tutaj!

Phillipie! Tutaj!

Kiedy Phillip podjechał, jego uśmiech ustąpił zaniepokojeniu.

- Co się stało?

- Stella złamała łapę i straciła dużo krwi - wyjaśniła Rhiannon. -

Och, Phillipie. Musisz ją odwieźć do pani Fraiser.

- Oczywiście.

Ash wziął Stellę od Rhiannon i ułożył na ławce obok Watta.

- Zawiozę ją prosto do dworu - zapewnił Phillip, kładąc dłoń na psim łbie. - Rhiannon, usiądź koło mnie. Jeśli Stella zacznie się wyrywać, twój głos ją uspokoi.

- Stella nie będzie się wyrywać. Straciła za dużo krwi - odezwał się

Ash i zwrócił się do Rhiannon: - Zostajesz ze mną.

Rhiannon, która właśnie zsiadała z konia, zamarła.

- Phillip ma rację. Mogę pomóc pani Fraiser...

- Nie - zaprotestował Ash, podchodząc do konia. Nim uświadomiła sobie, co się dzieje, wskoczył za nią na siodło. -Nie wrócisz do pani Fraiser. Ani teraz, ani w najbliższej przyszłości.

- O co tu, do diabła, chodzi? - spytał Phillip. Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu i zaskoczenia. - Rhiannon? Czy to... czy o nim

próbowałaś mi powiedzieć? Że ty i on...? Ty łajdaku! -wybuchnął.-

Przeklęty draniu! Uważałem cię za przyjaciela!

Rhiannon ogarnął zimny, paniczny strach; wiała się w uścisku Asha.

- Nie możesz. Nie możesz tego zrobić. - Chciała wyszarpnąć rękę.

Równie dobrze mogłaby próbować zerwać żelazne kajdany.

- Co ty tutaj robisz, Watt? - Głos Asha, tuż przy jej uchu, był

cichy i groźny. - To nie jest droga, którą pojechali myśliwi. Jediną

rzeczą tu jest pułapka kłusownika, z okaleczonym psem w środku,

zastawiona, żeby zwabić młodą dziewczynę.

- Co?!-wykrzyknęła Rhiannon.

- W pułapce nie ma niczego, na czym pies mógłby złamać łapę -

ciągnął Ash. - Ktoś celowo złamał łapę Stelli i jeszcze wykręcił, tak żeby

wyciem przyciągnęła swoją kochającą panią.

- Nikt nie mógłby zrobić czegoś podobnego! - zachnął się

Phillip. - Jesteś szalony.

- Czyżby? Skąd te wszystkie wypadki? Ile razy w zeszłym miesiącu

Rhiannon o mało nie zginęła? Ile razy byłeś w pobliżu?

- Rhiannon, nie wierzysz chyba temu szaleńcowi, prawda?

- Nie! - krzyknęła. - Ash, nie wiem, o co ci chodzi, dlaczego

mówisz takie rzeczy. Phillip nie mógłby tego zrobić. Ma skrzyconą nogę.

Zastanów się!

Ash parsknął szyderczo.

- Taki niewinny. To jest argument, przyznaję, ale sama się zastanów,

Rhiannon. Pułapkę można było przygotować dawno temu. Plan awaryjny, co, Watt?

Phillip podniósł się niezgrabnie. Twarz miał czerwoną z gniewu.

- Puść ją! Nie masz prawa...

- Mam wszelkie prawa i bądź łaskaw poinformować panią Fraiser, żeby nie nasyłała na nas miejscowych stróżów porządku.

Phillip opadł na ławkę.

- Co masz na myśli?

- Mam listy ustanawiające mnie przedstawicielem lorda Carra z prawem działania w jego imieniu. Jako zastępca opiekuna Rhiannon Russell korzystam z tego prawa. Chyba wiesz, Watt, że kobieta nie może wstąpić w związek małżeński bez zgody opiekuna, zanim nie skończy dwudziestu jeden lat. O ile się orientuję, Rhiannon ma

127

mniej.

- Nie! -Każde jego słowo brzmiało jak podzwonne dla jej przyszłości. Ash Merrick odbierał jej przyszłość. Nie pozostawiał żadnego wyboru. Po prostu okradał ją z prawa podejmowania decyzji.

Jak szalona miotła się w jego uścisku.

- Nie!

- Na miłość Boga, człowieku - powiedział błagalnie Phillip. -

Nie widzisz, że ona jest w rozpacz? Wracajmy do Fraiserów.

Porozmawiajmy. Cokolwiek ty i Rhiannon zrobiliście...

- Co zrobiliśmy? - zaśmiał się chrapliwie Ash. - Miałem ją, Watt. Odebrałem jej dziewictwo. Nie rozumiesz? Nie jest już dziewiczą panną młodą. Nie poślubisz jej. Nikt nie będzie oczekiwał, że to zrobisz.

Rhiannon syczała z wściekłości na tę zdradę. Obiecał! Nie tylko złamał słowo, ale specjalnie prowokował Phillipa, obrażał go!

Szarpała się w objęciach Asha, wbijając mu paznokcie w nadgarstki. Nie reagował. Nie było w nim niczego, co mogłaby zranić.

- Jeśli chcesz w ten sposób usprawiedliwić porwanie, to ci się nie uda, Merrick. - Phillip zbladł, szczęka mu drżała. - Nadal możemy się pobrać. Nie wszystkie panny młode były dziewicami.

Zostaw ją, Merrick. Zapewniam cię, że nikt nie odwoła ślubu.

- Nie dajesz mi wyboru - wyszeptał Ash. Jego koń zatańczył w miejscu.

- Nie możesz jej tak po prostu wykraść - powiedział Phillip.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła szyderczy uśmiech Asha, kiedy zawrócił konia i wbił ostrogi w jego boki.

- Ależ mogę.

Późnym popołudniem tego samego dnia w bezimiennej wiosce pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Fair Badden na podwórzu miejscowego kowala wjechał koń. Niósł na grzbiecie ciemnowłosego mężczyznę i dziewczynę o potarganych włosach. Kowal porzucił swoje miechy i wytarł ręce w skórzany fartuch. Nie podobała mu się ta para.

Po pierwsze, to byli ludzie z lepszego towarzystwa. Zakurzeni, spoceni i zmęczeni podróżą, ale z lepszego towarzystwa. W dodatku uciekali, i to, sądząc po spienionym koniu, nie szczczędząc sił.

Dziewczyna wyglądała na wyczerpaną. Mężczyzna nie zwracał uwagi na jej stan. Zsiadł z konia, zostawiając ją skuloną na siodle.

Kowal, kochający ojciec kilku córek, próbował podejść, ale dostrzegł błysk wściekłości w jasnych oczach dziewczyny. Może to kłótnia kochanków, pomyślał. Może jego interwencja nie byłaby mile widziana. Chociaż gdyby jego kochanka patrzyła na niego takim wzrokiem, jak ta dziewczyna na plecy mężczyzny, poszukałby rozkoszy gdzie indziej, nie zwracając uwagi na powab rudawych włosów i pełnych piersi.

Postawa mężczyzny - uważnego, spiętego, jakby gotowego w każdej chwili odeprzeć atak - utwierdziła kowala w przekonaniu, że lepiej pilnować własnych interesów.

- Potrzebuję konia. - Mężczyzna wskazał klacz w zagrodzie obok kowala.

Mowa zdradzała miastowego, tak samo jak obcisłe spodnie i wysadzana perłami rękojeść sztyletu wystająca z cholewy jego buta.

- I siodła. Nie damskiego siodła. Dobrze zapłacę. - Wymienił sumę znacznie przewyższającą wartość konia czy siodła i kowal stłumił rycerskie odruchy, dopuszczając do głosu zmysł praktyczny.

Jego córki lubiły ładnie się ubierać.

Schwycił konia i przywiązał do płotu, a potem zdjął stare siodło z haka.

- Czy mogę zejść? - usłyszał głos dziewczyny. Sądząc po tonie i rumieńcu, jaki zabarwił jej policzki, ta prośba z trudem przeszła jej przez gardło.

Mężczyzna przyglądał jej się chwilę. Uniosła dumnie głowę.

Odważna dziewczyna. Szalona. Mężczyzna zacisnął usta, ale podszedł do niej i bez słowa zdjął ją z siodła.

- Nie. - To jedno słowo zawierało odmowę i spokojny, chłodny rozkaz. - Nie dotykaj mnie.

Na twarz mężczyzny napłynęła krew, ale nie puścił dziewczyny, która zeszywniała w jego ramionach jak kukła.

- Wracaj zaraz - powiedział.

Postawił ją na ziemi cofnął się, zanim zdążyła go odepchnąć.

Dziewczyna uniosła ciężkie spódnice i przeszła obok kowala z szelestem sukien.

- Twoja żona? - zapytał pod wpływem kolejnego odruchu galanterii.

- Nie próbuj się wtrącać, przyjacielu - poradził mu mężczyzna. -

Napytasz sobie biedy.

Kowal nie wątpił w to, ale gdyby dziewczyna potrzebowała jego pomocy...

Pojawiła się minutę później i przyglądała się w milczeniu, jak kowal dopina popręg. Nic się nie dało wyczytać z jej ślicznej buzi. Była nieprzenikniona jak twarz kościelnego aniołka. Gdy tylko koń został osiodłany, mężczyzna przywiązał sznur do wędzidła i zawołał dziewczynę.

Po raz pierwszy na jej twarzy pojawiło się coś innego niż gniew.

Oczy jej zwilgotniały. Mężczyzna zawołał ponownie. Zagryzła wargi, wlokąc się noga za nogą w stronę konia.

Znowu chwycił ją w ramiona. Zesztywniała jak poprzednio, przez jej drobne ciało przebiegł dreszcz. A potem, jakby wbrew woli, otoczyła rękami szyję mężczyzny i z cichym szlochem wtuliła twarz w jego pierś.

Przylgnęła do niego jak mech do skały, jej ciało -przedtem sztywne i niechętne - teraz było bezradne, błagające.

Mężczyzna zamarł na chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca, po czym odsunął ręce dziewczyny i posadziwszy ją w siodle, natychmiast odwrócił się do niej plecami.

Z jej postawy znikła wszelka wojowniczość; wydawała się zagubiona i oszołomiona. A w jej oczach, kiedy spojrzała na mężczyznę,

tych niespokojnych.

Jak można odrzucić taką kobietę?

Ciemnowłosa mężczyzna podszedł do swojego konia. Zamknął oczy, zaciskając mocno powieki, i kował zrozumiał, że za swoją oschłość płacił ogromną cenę.

Cały wieczór wędrowali na północ. Ash zatrzymał się raz przy jakimś gospodarstwie; przyniósł trochę chleba i sera od przestraszonej kobiety, która otworzyła drzwi.

Rhiannon się nie odzywała. Ash także milczał.

Co do niej, nie wiedziała, jakimi słowami zwrócić się do tego...

diabła. Oczarował ich wszystkich gładkimi manierami, wdzięcznym uśmiechem i nieodpartym czarem. Karmili go i udzielali schronienia, nieświadomi, że przygarnęli drapieżnika.

Zastanawiała się z goryczą, czego teraz mógł od niej chcieć. Dała mu już to, na czym zależało mężczyznom. Przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl, że od początku zamierzał nie dopuścić do jej ślubu z Phillipem. Wykorzystał okazję, by sprawić sobie wakacje, a przez cały czas planował zabrać ją do lorda Carra. Jej zadurzenie było tylko przyjemnym urozmaicheniem.

Wyraźnie nie chciał jej już jako kochanki. Dotykał ją, owszem, ale tylko po to, żeby okazać swoją siłę wobec jej słabości, żeby jej pokazać, że może z nią zrobić, co mu się spodoba. Żeby ją przerazić.

Udało mu się.

Pozbawiona lejc, trzymała się kurczowo brzegów siodła. Palce

miała zdrętwiałe, a plecy bolały ją przy każdym stąpieniu klaczy, ale nie chciała prosić o zmiłowanie. Czuła się jak zawieszona między snem a jawą.

Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze będą jechać. Księżyc dawno wzeszedł nad porytą koleinami wiejską drogą. Jego blade światło spowijało krajobraz niesamowitym, nierealnym blaskiem. W trawie cykały świerszcze, od czasu do czasu w pobliżu przebiegał z szelestem jakiś nocny drapieżnik, połyskując w ich stronę pozbawionymi ciekawości oczami. Widział już wiele takich jak oni.

131

Przed oczyma Rhiannon przewijały się obrazy z przeszłości.

Wspomnienia były jak wilki, które czyhają na uchylone drzwi, by wpaść do środka, a z każdym kilometrem drzwi uchylały się szerzej.

Księżyc

wydobywający z mroku ostry grzbiet góry.

Przytłumione głosy szepczące w kryjówce w gospodarstwie członka klanu. Staccato końskich kopyt. Czerwone kurtki, czarne w nocy, nagle oświetlone blaskiem pochodni. Odkrycie. Panika. Krzyki...

Nie!

Jej głowa podskoczyła do góry, czuła ucisk w żołądku i gorzki smak żółci na języku. Rozejrzała się wokół półprzytomna.

Wyjeżdżali zza zakrętu. Przed nimi, przy skrzyżowaniu dróg, przycupnęła gospoda. Z małych okien sączyło się jasne światło, a smuga dymu odcinała się od nieba koloru indygo, Ash zatrzymał się

i czekał, aż do niego podjedzie.

- Zostaniemy tu na noc - rzekł. - Nie wolno ci powiedzieć ani

zrobić niczego, co postawiłoby nas w... trudnej sytuacji.

- Dlaczego nie? - zapytała, otepliała ćmiącym bólem głowy.

- Bo to by ci nie przyniosło niczego dobrego - odparł. - Mam

papiery, które dają mi uprawnienia opiekuna w zastępstwie mojego

ojca. Żaden człowiek z pospólstwa nie sprzeciwi się woli hrabiego

Carra, czy też, póki pozostaję w tym charakterze, mojej. A jeśli

sprawisz, że jakiś pijany wieśniak zobaczy w sobie Galahada, a w

tobie damę, której trzeba śpieszyć na ratunek, pamiętaj, że to z twojej

przyczyny stanie mu się krzywda.

- Nie. Proszę.

Nie, proszę! Wychodźcie! Dym...

- Nie chcesz, aby twoje delikatne sumienie obciążyla jeszcze

większa wina, prawda, Rhiannon?

Zadrzała.

- Przypuszczam, że akurat ten kielich jest już pełen.

- Bękart.

- Niestety całkiem legalny. - Szarpnął sznur jej wierzchowca.

Przed gospodą zsiadł z konia i podszedłszy do niej, podniósł ręce.

Reszką sił uderzyła go w dłonie. Odsunął się i patrzył, jak

wysuwa stopy ze strzemion i zeskakuje na ziemię. Nogi, zdrętwiałe

od długiej jazdy, ugięły się pod nią.

Podniósł ją.

- Nie bądź niemądra. Nawet jeśli coś sobie zrobisz, i tak nie odwiozę cię do Fair Badden.

- A kiedy odwieszysz? - zapytała słabym głosem.

- Nigdy. - Chłopcu, który pojawił się z nienacka koło nich, kazał zająć się końmi. Potem kopnął drzwi gospody i schylił się, wchodząc do środka.

Chuderlawy oberżysta mrugnął zdziwiony na ich widok.

- Potrzebuję pokoju - powiedział Ash. - A pani wanny ze świeżą wodą i ręczników. Zjemy, kiedy to będziecie przygotowywać.

Rhiannon rozejrzała się po pomieszczeniu, modląc się, żeby był tam jakiś przedstawiciel władzy, który powstrzymałby tego szaleńca.

Nie dostrzegła nikogo takiego. Dwóch wędrowców zerknęło z zainteresowaniem na nią, a potem na Asha.

- Widzisz blizny na jego nadgarstkach? To od kajdanów – mruknął jeden do drugiego. - Już takie widziałem. Piętno więźniów.

Kajdany? Więzienie?

- Ruszaj się - warknął Ash na oberżystę.

- Tak, panie! - Mężczyzna znikł za drzwiami.

Uśmiechając się drapieżnie w stronę dwóch podróżnych, Ash przysunął się do ognia. Posadził Rhiannon na stołku i postawił przed nią mały stolik; sam usiadł na krześle naprzeciwko, więżąc ją w kącie.

Nie zwracając na niego uwagi, oparła głowę o ścianę i

przymknęła powieki. Siedziała tak, dopóki nie poczuła w nozdrzach silnego, drażniącego zapachu. Otworzyła oczy. Na stole leżało pół bochenka ciemnego chleba i stały dwie parujące misy oraz butelka wina. Zaburczało jej głośnie w żołądku. Przerazająco znajome uczucie głodu ogarnęło ją z porażającą siłą.

- Na Boga - usłyszała głos Asha. - Jedz.

Nie przejmując się niczym, podniosła drewnianą miskę i piła łapczywie, wielkimi łykami gęsty płyn. Była głodna. Ledwo żywa z głodu. Drżącymi rękami oderwała kawałek czerstwego chleba i wsunęła do ust wraz z kęsem duszonej baraniny.

133

Oddychała za szybko, jadła zbyt pośpiesznie, a wino, które wlewała sobie do gardła po każdym kawałku chleba, pozbawiało ją powietrza.

Wspomnienie stało się teraźniejszością.

Czas pobiegł w drugą stronę.

Głód. Dojmujący głód. Nie jadła od wielu dni. Nic poza jagodami i wodą. Nie ośmielili się upolować królika czy rozpalić ogniska. Czerwone kurtki wypatrzyłyby ich.

Strach i ucieczka. Ścigani na drogach, w nocy. Złośliwy księżyc sprawił, że przejście przez pole równało się samobójstwu. Kulili się w rowach, kiedy żołnierze przejeżdżali, szukając członków klanu, wszystkich tych, którzy odpowiedzieli na wezwanie McClairenów.

Zapach prochu strzelniczego. Odór krwi. Krzyk mężczyzn. Góry.

Szkockie góry.

Patrzyła dzikim wzrokiem na siedzącego naprzeciwko obcego człowieka. Zabierał ją tam, skąd uciekła.

W głowie jej huczało. Szum w uszach sprawił, że przestała słyszeć głosy innych ludzi. Spojrzała w oczy mężczyzny. Blade jak zdradziecki księżyc, zimne jak noc w górach, zachwycające i bezwzględne. Podniosła się chwiejnie, trzymając się krawędzi stołu i straciła przytomność...

Ash zgasił płomień świecy między palcami i pokój pograżył się w ciemności, jeśli nie liczyć cienkiej smugi księżycowego światła, które wpadało przez okno, okrywając jak kapą śpiącą na łóżku kobietę.

Zemdlała parę godzin wcześniej i jeszcze całkiem nie doszła do siebie. Widział taki stan u więźniów, którzy długo głodowali i w końcu dostali pożywienie. Sam doświadczył czegoś podobnego w pierwszą noc wolności po wyjściu z francuskich kazamatów.

Czoło Asha przecięła głęboka zmarszczka. Wśród więźniów coś takiego mogło się zdarzać, ale nie wśród szlachetnie urodzonych młodych panien.

Rhiannon pochłonęła tę nędzną zupę, jakby to była jej jedyna strawa od miesiąca. A kiedy wstała, z jej oczu wyglądał strach, głębszy od tego, który widział u niej wcześniej.

Przysunął krzesło do wąskiej pryczy i przyglądał się Rhiannon.

Spała z otwartymi ustami, pojękując cicho. Była nie tylko wyczerpana, ale również przerażona.

To jego wina. Posunął się za daleko. Powinien był zorientować się wcześniej, ale tak skutecznie opancerzyła się rzekomą odwagą, a on nie miał doświadczenia, jeśli chodzi o strach, bo dawno już się na niego uodpornił. A jednak poczuł ukłucie lęku, gdy zobaczył, co się stało psu, i zrozumiał, że to pułapka zastawiona na Rhiannon. A później, kiedy wyszli z lasu i zobaczyli Watta, to ukłucie wzmocniło się stokrotnie. Okrył ją swoim kubrakiem, gładząc przy tym jej drobną bródkę. Co za wspaniałe zarysy szczęki, taki dumny...

Wyprostował się nagle. Co on, do diabła, miał teraz robić?

Nie mógł pozwolić, by wróciła do Fair Badden, bo tam groziła jej śmierć. Nie widział wprawdzie żadnego powodu, dla którego Watt mógłby chcieć zabić Rhiannon - ale przecież zamachy na jej życie zaczęły się od chwili zaręczyn. Nic innego nie zmieniło ani nie miało zmienić pozycji, jaką zajmowała w Fair Badden przez ostatnich dziesięć lat.

Watt, mimo dobrej wymówki, jaką podsunął mu Ash, nie chciał zrezygnować z małżeństwa z Rhiannon. Nie wynikało to z głupoty czy dumy mężczyzny, który nie potrafi przyjąć do wiadomości, że przyprawiono mu rogi. Phillip był zdesperowany. A to nie miało sensu.

Ale skoro Ash nie pozwolił Rhiannon wyjść za Watta, to nie zamierzał również pozwolić, aby została kolejną żoną ojca. Sam też nie mógł się z nią ożenić. Nawet gdyby znalazł jakieś miejsce, żeby ją ukryć do czasu, aż osiągnie pełnoletniość i pozwolenie Carra na jej

zamażpójście stanie się zbędne. Albo gdyby ją przekonał, żeby wyszła za niego w Szkocji, gdzie zgoda Carra nie była potrzebna.

Nie miał niczego: przyjaciół, majątku, przyszłości. A wszystkie pieniądze, jakie zdobył, przeznaczył dla brata.

Jedyną rzeczą, jaką posiadał, była obietnica złożona matce w dniu jej śmierci: że zadba o bezpieczeństwo Raine'a. Dzięki temu miał jakiś cel. Kiedy ta banda McClairenów złapała Raine'a, walczył i zabijał bez wyrzutów sumienia.

Nie złamie obietnicy. Nie może. To jedyna rzecz, której nie porzucił, straciwszy wiarę, nadzieję i miłość - wszystko, nad czym ronili łzy romantycy, co pobożni szaleńcy głosili z ambon. Nic, co zrobił, nie zwalniało go z tego obowiązku.

135

Nic, dopóki nie spotkał Rhiannon Russell.

Wtuliła policzek w aksamitny kołnierz jego kubraka, mrużąc coś żałośnie. Ujął kosmyk włosów, który spadł jej na usta, i wsunął go za ucho.

Otworzyła oczy. Rozjaśniły się na moment, ale potem światło zgasło, ustępując miejsca strachowi. Odskoczyła gwałtownie.

- Jeśli mnie dotkniesz, zabiję cię.

No tak. Myśl ledwie kołatała, jak echo w jaskini, pusta, oderwana, nie mająca nic wspólnego z ciałem, które straciło zdolność ruchu, z ustami, które nie były w stanie wyrazić sprzeciwu.

Skoro nie uwierzyła, że grozi jej niebezpieczeństwo, tylko taki

powód mógł jej przyjść do głowy. To bolało, bardzo bolało. Jakie to żalosne, że coś tak głupiego jak dziewczęcy strach powoduje taki ból.

Czy ten strach był rzeczywiście nieuzasadniony? Czy tak bardzo się myliła? Przez cały dzień korzystał z byle pretekstu, żeby ją trzymać, obejmować, dotykać, tak cholernie jej pragnął.

A jeśli coś w nim obumarło pod wpływem strachliwego podejrzenia w jej spojrzeniu, to była to słaba, nieistotna część jego natury, część, z której istnienia nie zdawał sobie przedtem sprawy; teraz szczęśliwie mógł ją pogrzebać.

Schylił się, złapał ją za rękę i pociągnął na kolana.

Tak było stanowczo lepiej.

Ash nie odezwał się ani słowem. Stał nad nią jak golem z bajki, trzymając ją jak szmacianą lalkę. Tylko siła jego uścisku zdradzała gniew.

Rhiannon też czuła gniew. Lata posłuszeństwa opadły z niej jak zardzewiałe obręcze. Fair Badden było jak opium, zwiodło ją iluzją dobroci i serdeczności. Wystarczyło przekroczyć jego granice, żeby obudzić się w świecie, który opuściła, świecie zdrady, rozpacz i kłamstwa.

Rozluźnił uścisk. Opadła na łóżko; ręce miała zesztyniałe.

- Czy tak właśnie myślisz? - szepnął.

- A co innego? - rzuciła mu w twarz. Teraz nie była już zmęczona ani zagubiona w labiryncie koszmarnych wspomnień.

Wiedziała, gdzie jest, co robi... co się z nią dzieje. Kiedyś już walczyła i przeżyła. Będzie znowu walczyć.

- Zabieram cię do ojca, żeby nie dopuścić, aby cię zabito.

- Jesteś za dobry. - Nawet kiedy szydziła, gdzieś w głębi serca chciała, by ją przekonał, że wierzy we własne słowa. Gdyby był szaleńcem, obłąd mogła wybaczyć. Nie był jednak szalony ani wprowadzony w błąd. Był po prostu zły.

- Nie wiem, co spodziewasz się osiągnąć, mówiąc mi takie rzeczy - powiedziała wbrew sobie. - Dlaczego ktoś chciałby mnie zranić czy zabić? Dlaczego Phillip chciałby mnie zabić?

Zauważyła, że jego spojrzenie uciekło w bok. Za chwilę usłyszy

kolejne kłamstwo.

- Watt nie chciał tego małżeństwa. Może sam nie wie, dlaczego.

Może ojciec zmuszał go do ożenku, a on nie widział innego sposobu, żeby się wykręcić.

Roześmiała się.

- Nie chciał małżeństwa? Poszłam do niego wczoraj, żeby mu powiedzieć, co zrobiłam. Nie pozwolił mi na to, chociaż z tego, co mówił w lesie, jasno wynika, że coś podejrzewał. Czy tak zachowuje się mężczyzna, który szuka pretekstu, żeby się nie ożenić?

- Zamierzałaś powiedzieć Wattowi? Dlaczego? - Wydawał się wstrząśnięty. - Przecież prosiłaś mnie, żebym mu nie mówił.

- Bo bałam się - odparła - że powiesz to tak, że nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko cię wyzwąć. I dokładnie tak zrobiłeś.

Powiedziałeś mu to w najokrutniejszy możliwy sposób. Nie mogłabym wejść do małżeńskiego łóżka z tym kłamstwem, które by na mnie ciążyło. Nie oszukałabym Phillipa. Ale ty byś tego nie zrozumiał, prawda, panie Lucyferze?

Jęk? Raczej stłumiony chichot.

- Masz rację - przyznał. - Zamierzałem ci poradzić, żebyś ukłuła się w palec, kiedy Watt zaśnie, i rozsmarowała sobie krew na udach.

Krew odpłynęła jej z twarzy, ale teraz była silniejsza.

Zignorowała jego brutalność.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego zadałeś sobie trud, żeby wymyślić tę żalostną historyjkę - powiedziała. - Człowieka o twoim

talencie z pewnością stać na coś mądrzejszego. - Skrzywiła usta w pogardliwym grymasie.

-

Po co więc ta opowieść z tysiąca i jednej nocy o tajemniczych zabójcach? Masz przecież ten przeklęty list mianujący cię pełnomocnikiem mojego opiekuna, czyż nie?

Wyteńczyła wzrok, szukając jakichś oznak ludzkich uczuć za tą maską bez wyrazu. Zobaczyła tylko błysk księżycowego światła w czarnych włosach.

- Nie potrzebowałeś żadnej wymówki, żeby mnie wziąć, prawda?

-

nie dawała za wygraną.

- Nie - odparł w końcu chłodnym, martwym głosem.

Słyszała jego oddech, ciche, rytmiczne wdechy i wydechy, jakby świadomie je kontrolował.

- Więc jeśli nie zamierzasz mnie zgwałcić, a nie łudź się, to jedyny sposób, żebyś zaznał przyjemności między moimi nogami, to czego chcesz?

Z gorzką satysfakcją usłyszała, jak wciągnął gwałtownie powietrze.

Ból czy gniew, wszystko jedno, póki nie było mu z tym dobrze.

Czekała na odpowiedź z uniesioną głową. Minęła dłuższa chwila.

- Nie wiesz? - wykrztusił w końcu.

- Pieniądze - powiedziała bezbarwnym głosem. To było logiczne wyjaśnienie. Patrząc z dystansu, cały jego pobyt w Fair Badden stanowił

starannie zaplanowane oszustwo: czarujący pechowiec przekształcił się

138

nagle w gracza o niesamowitym szczęściu.

- Nie dostaniesz pieniędzy od pani Fraiser - oznajmiła. - Ziemia

i cały majątek należą do jej syna, a on jest poza zasięgiem twoich intryg.

Żadnej odpowiedzi.

Pochyliła się ku światłu padającemu z okna, tak żeby mógł widzieć

jej pogardę.

- Nie możesz na nikim wymusić zapłaty szantażem. - Niewielka sa-

tysfakcja, ale chciała wygrać, ile się dało. - Bez względu na to, czego

chce Phillip, jego ojciec w tych okolicznościach nigdy nie przyjmie

mnie jako synowej.

- Taka jesteś pewna? Ja nie.

Pokręciła głową; długie, potargane kosmyki włosów opadły na jej

policzki i szyję niczym wdowi welon.

- Może się pogodzić z brakiem wiana, ale nie dziewictwa.

- Och, Rhiannon, zapewniam cię, wniosłabyś do tego małżeństwa

więcej niż zwykły nienaruszony kawałek skóry.

- Nienawidzę cię.

- Wiem.

Nie pozwoli się dręczyć ani urazić pogardą którą starała się go

zranić jak nożem. Nic nie poruszy jego duszy i serca, jeśli w ogóle

takowe posiadał. Jak mogła być tak naiwna?

- Ile zarobiłaś na pobycie w Fair Badden?

Postać w cieniu wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok,

rozpływając się jeszcze bardziej w mroku.

- Czterysta funtów. Mniej więcej.

- Przyznajesz to? - spytała zdziwiona.

- Czemu nie? - odparł. - Odkryłaś już, kim jestem. Skoro ty nie mogłabyś „wejść do małżeńskiego łóża z tym kłamstwem, które by na tobie ciążyło”, jakżebym ja mógł okazać się mniej szlachetny? Teraz jesteśmy wobec siebie uczciwi, czy tak? Chyba że - zniżył głos, w którym brzmiało szyderstwo - wolisz sobie darować i tę drobną niewygodę...?

Skurczyła się; ogarnął ją wstręt.

- Nie? To dobrze.

Był tak straszny, jak się obawiała. Co jeszcze ukrywał w zanadrzu?

Musiała poznać rozmiary własnej głupoty.

139

- Ballada? - zapytała. - Czy jest prawdziwa?

- Jaka ballada?

- O dzieciach Szatańskiego Hrabiego.

- Widzę, że St. John o mało nie połamał nóg, spiesząc się, żeby ci powtórzyć tę opowiadkę.

- Czy to prawda? Czy ty...?

- Dlaczego pytasz? Chcesz wiedzieć, jakiego rodzaju szatańskie nasienie dostałaś?

Wciągnęła gwałtownie powietrze, wstrząśnięta jego brakiem

uczuć i chłodnym spokojem, z jakim ją obrażał.

- Jest prawdziwa - rzekł głucho. - Przebiłem się przez szereg mężczyzn uzbrojonych w piki. Mój miecz spływał ich krwią. Tratowałem ich pod kopytami mojego konia.

Otoczyła się ramionami.

- Pomogłem czerwonym kurtkom zabijać szkockich wieśniaków

- ciągnął Ash, a potem, tak cicho, że ledwie go usłyszała, dodał: -

Uratowałem mojego brata.

Podniosła oczy, usiłując przebić ciemność, za którą się ukrywał.

- Ci wieśniacy to był mój klan. McClairen był moim wodzem.

Uwiódł ją w przeddzień ślubu, wymordował członków jej klanu i

wykradł z domu, który z takim trudem zdobyła, z życia, które sobie z

takim staraniem stworzyła.

Cóż, pomyślała, już nie musi być ostrożna. Nikomu już nie musi

starać się przypodobać.

- Nie możesz czuwać przez cały czas - szepnęła. - Ale lepiej, że-

byś spróbował, Ashu Merricku. Bo gdy tylko zaśniesz, odejdę i

będziesz miał szczęście, jeśli nie wbiję ci tego twojego srebrnego

sztyletu między żebra.

- Wymieniamy groźby? - rzekł cicho. - Cóż, teraz moja kolej.

Posłuchaj uważnie. Masz rację. Nie mogę czuwać, dopóki nie

dotrzemy do Rumieńca Ladacznicy. Ale jeśli złapię cię na próbie

ucieczki albo skłonienia jakiegoś głupca, żeby się wtrącił w nasze

sprawy, ukarzę cię. Surowo. -W jego głosie nie było ani odrobiny

ciepła.-A co do twojego „zabiję cię, jeśli mnie dotkniesz”... -

Pokręcił głową i zauważyła błysk w jego ciemnych oczach. -

Kiedykolwiek zechcę, gdziekolwiek zechcę.

140

Burzliwa pogoda przez trzy dni utrudniała im podróż. Ściagała ich

na prawie zatartych starych pasterskich drózkach, na wysokich

pastwiskach i schowanych przed ludzkim okiem łąkach,

tradycyjnych kryjówek rozbójników i złodziei.

Ash nie próbował przerwać milczenia Rhiannon. Jej uparta

niechęć zmusiła go w końcu do przyjrzenia się własnym motywom.

Przypuszczenie, że Watt chciał ją zabić, ponieważ wolał

towarzystwo mężczyzn, wydawało się żałośnie bezpodstawne.

Kierował się nie jej dobrem, tylko pragnieniami własnego ciała.

Oszukiwał się, i to mu najbardziej dokuczało. Ze sobą, jeśli już nie z

innymi ludźmi, zawsze był uczciwy.

Straciwszy dobrą opinię w oczach Rhiannon, ukarał się, szukając

jej wzgardy - czegoś, na co bez wątpienia zasłużył. To była bolesna

tortura.

Co do Rhiannon, to patrzyła na jego wyprostowane plecy

nadaśana i wroga. Nie wątpiła, że Ash spełni swoją groźbę, że ją

ukarze, jeśli spróbuje uciec. Ale nie to powstrzymywało ją od

ucieczki. Po prostu nie miała dokąd iść.

Każdej nocy podnosiła dumnie głowę, kiedy uśmiechał się do

niej kpiąco i wstrzymywała oddech, dopóki zwinąwszy się w koc,

nie sadowił się plecami do drzwi oberży, gdzie nocowali. Nie zwracał na nią uwagi, każąc jej się zastanawiać, co skłania go do wykonania planu, jaki powziął.

Mało ją to obchodziło. Jeśli nawet czasami na jego surowej, zmęczonej twarzy pojawiał się przelotnie wyraz smutku i rezygnacji, który kiedyś mógłby wzbudzić jej niepokój, gorycz nie dopuszczała do żadnych rozważań na ten temat. Ból Asha sprawiał jej radość. Bo Ash zrujnował jej życie.

Podczas wędrówki rozglądała się ciekawie. Wszystko było jej tak dobrze znane ze wspomnień: dotyk wilgotnego, chłodnego powietrza; ciemne, soczyste barwy; zapach krzemienia i upajająca woń drzew iglastych. Ten zaczarowany świat czekał na jej powrót przez dziesięć lat.

Wiatr szeptał obłudne powitanie, a chłodna mgła muskała mlecznymi palcami jej nogi w szyderczym hołdzie. Tutaj McClairenowie oraz wszyscy ci, którzy przysięgli ich wspierać -

141

łącznie z Russellami - szukali schronienia, wróciwszy po krwawej bitwie pod Culloden. Tutaj znaleźli ich dragoni lorda Cumberlanda.

Tu na nich polowano. Tu dokonano masakry.

Nawet w świetle księżyca góry wydawały się spływać krwią, ziemia, splamiona śmiercią szkockich górali, stała się na zawsze niegościnna i jałowa. Tysiąc hektarów skalistego cmentarza.

Zadrżała, przymykając oczy. Zamienili jej dom w puste pole.

Podróżowali jeszcze cztery dni i cztery noce. Piątej nocy przekroczyli wysokie wzgórze, z którego widać było morze. Pod nimi, w odległości paru kilometrów, wąski pas ziemi łączył półwysep z dużą wyspą w kształcie księżyca. Wyłaniała się z morza najeżona skałami. Na samym szczycie stał zamek.

Trudno było dopasować nazwę do tej budowli, stwierdzić, czym była kiedyś, i czym się potem stała, tyle miała wieżyczek i przypór, kopuł i kolumn, fryzów i frontonów. Obląkane dzieło szalonego architekta.

Rzędy okien rzucały smugi światła na tarasowate trawniki i wysokie schody. Przy podstawie potężnej fortecy chwiały się światelka - latarnie - niczym bajeczne stworki tańczące z zapalonym przy spódnicy jakiejś rozłoszczonej matrony olbrzymki.

W otwartych drzwiach, w smugach światła i plamach cienia, pojedynczo i w grupkach na ciemnej trawie pokazywali się panowie i panie, dziesiątki ludzi.

Zdumiona i oszołomiona tym widokiem Rhiannon spojrzała na Asha. Uśmiechnął się cierpko i wyciągnął rękę w przesadnie kurtuazyjnym geście.

- Witaj na wyspie McClairenów - powiedział - i w Rumieńcu Ladczyńcy.

Zostawili konie służącemu w liberii i weszli frontowymi schodami do wielkiego, rzęsiście oświetlonego, pełnego luster i złocen holu.

Pod łagodnym spojrzeniem gipsowych aniołków wysoko nad głowami w pomieszczeniu kręciły się dziesiątki ludzi. Kosztowali ciastek, rozlewali mrożony poncz na perskie dywany, śmiali się, przybierali rozmaite pozy i pocili się w bogatych strojach i piętrowych perukach.

Ash prowadził Rhiannon między grupkami gości. Niewielu zwracało na nich uwagę. Całymi dniami obywali się bez snu, słońca czy świeżego pożywienia. Opuchli od wina, oszołomieni z podniecenia, otepiali, grzęzli w bagnie niskich rozrywek, jakie przeznaczył dla nich jego ojciec... żeby przestali uważać na pieniądze. Rumieniec Ladacznicy był najbardziej luksusowym hazardowym piekłem, miejscem największej rozpusty i wyuzdania na Wyspach Brytyjskich.

Wreszcie wyrwali się z tłumu w głównym holu i stanęli w wąskim korytarzu za rzeźbioną klatką schodową. Z najbliższych drzwi wypadła roześmiana kobieta, a trzech podnieconych mężczyzn o dzikim wzroku wypadło za nią w pościgu.

Ash podniósł Rhiannon, usuwając ją z ich drogi. Słonawy zapach spoconego ciała wypełnił mu nozdrza. Jej bliskość rozpałała pragnienie, nad którym dotąd panował, w płomień pożądania. Spojrzał na nią.

Odwróciła wzrok.

Co go to obchodzi? Bez jej niechęci też wiedział, kim jest.

- Ha! Carr nie mówił, że dziś wieczorem będzie bal maskowy!

Ash podniósł głowę. O framugę drzwi opierało się przybrane różowymi wstążkami, odziane w satynę stworzenie w lawendowej peruce.

- Ale tak jest, musi tak być, bo oto zjawił się tu sam Czerwony Kapurek! - Wyskubane, wyrysowane ołówkiem brwi mężczyzny uniosły się nad pustymi, pozbawionymi rzęs oczami.

Ash postawił Rhiannon na podłodze. Nie cofnęła się. Oczywiście, że nie. Nie sprawi mu satysfakcji, okazując strach. Nie odezwała się też ani słowem, nie ofuknęła go w żaden sposób. Nie musiała. Milczenie było dostatecznie wymowne. Podejrzewała, że wykradł ją Wattowi, żeby zaspokoić własną żądzę.

Spojrzenie fircyka w lawendowej peruce przeniosło się z Rhiannon na Asha, odnotowując brud po podróży, pięciodniowy zarost i potargany ogon czarnych włosów.

- A to jest albo człowiek z lasu, albo wilk. Kimże ty jesteś, człowieku?

- Drzyj, Hurley, mówisz do Merricka. - Za plecami pulchnego Hurleya ukazała się piękna dziewczyna. Jej gładka twarz nie zdradzała śladu żadnych uczuć. Szara, starannie upudrowana peruka kontrastowała z jej młodością, w jakiś sposób robiąc pośmiewisko z jednego i drugiego.

- Merricka? - spytał zaniepokojony Hurley.

- To mój brat - odparła dziewczyna.

- Fia. - Ash skłonił głowę. Miała piętnaście - czy szesnaście? -

lat i, prawie nie znając matki, znajdowała się całkowicie pod wpływem ojca. Ash ufał jej mniej niż komukolwiek innemu, może dlatego, że czuł więź krwi, jaka łączyła go z siostrą, i nie chciał tego zaakceptować.

- Merrick? Syn Carra? - wyjąkał Hurley.

- Jeden z nich - potwierdził Ash chłodno.

- Ten bezwzględny - dodała Fia z lekkim uśmiechem. Przysunęła wysmarowane balsamem usta do różowego ucha Hurleya i szepnęła głośno:

-

Ten niebezpieczny. Pasjonat.

Niepokój znikł z twarzy Hurleya, zastąpił go wyraz lubieźności.

Wyciągnął rękę, chcąc połaskotać Fię pod brodą. Zdzieliła go wachlarzem po palcach, więc cofnął gwałtownie dłoń, urażony.

- Odejdź, lordzie Hurley, zanim Merrick błędnie zinterpretuje uwagę, jaką okazujesz jego małej siostrzyczce. - Jej twarz pozostała gładka jak u porcelanowej lalki, ale usta wygięły się w kpiącym uśmiechu.

Biały puder nie ukrył rumieńca na twarzy Hurleya; uciekł, wymamrotawszy *adieu*. Fia nie zwróciła uwagi na jego odejście.

- Coś ty przywiózł ze sobą, bracie? - mruknęła, patrząc na

Rhiannon. - Coś dla Carra? Nową zabawkę?

- Jego podopieczną- odparł Ash sucho.

Rhiannon stała z pochyloną głową, wpatrując się w podłogę.

Sprawiała wrażenie, jakby ją pobito.

Fia przyjrzała jej się uważniej.

- To on teraz ma podopieczną, tak? - odezwała się głosem

cichym i groźnym jak jadowity wąż prześlizgujący się po suchej trawie.

Ash stanął pomiędzy nimi. Fia spojrzała na niego zaskoczona. - Kto by pomyślał?

- Ja - oznajmił głęboki męski głos ze szkockim akcentem.

Ash się odwrócił. W jego stronę szedł wysoki mężczyzna o szerokich ramionach. Światło kandelabru nadawało jego ciemnym włosom metaliczny połysk.

- Donne. - Ash zdziwił się, widząc go w Rumieńcu Ladaczniczy. Carr starannie dobierał gości, a Donne, choć niewątpliwie wystarczająco bogaty, żeby znaleźć się w ich gronie, nie przejawiał upodobania do picia, hazardu i rozpusty.

Donne uśmiechnął się do Asha, ale jego przymrużone oczy wpatrywały się w Fię. Wyprostowała się gwałtownie, kiedy się pojawił, teraz jednak patrzyła na Szkota z niewzruszonym spokojem, który stanowił rys jej charakteru od dzieciństwa.

Rhiannon, niczym martwa figura, tkwiła bez ruchu u boku Asha.

Musiał zaprowadzić ją na górę, nim Carr odkryje ich obecność.

Zmęczony i zirytowany, nie miał ochoty na spotkanie z ojcem. Ale, skoro Donne do nich dołączył, to może przyniósł ze sobą interesujące wieści.

- Co ty tu robisz, Donne? - spytał. Szkot wzruszył ramionami.

- Przyjechałem z całą grupą. Z gośćmi Hurleya. Miałem ochotę

trochę pograć i, rzecz jasna, poprzebywać w tak czarującym towarzystwie. – Przy ostatnich słowach skłonił się w stronę Fii, ale wyraźne znużenie pozbawiło ten ukłon elegancji, zamieniając w okrutnie obojętny gest aktora.

Ogromne oczy dziewczyny pociemniały jak obsydian na dnie strumyka.

Donne odwrócił się ku Rhiannon i ukłonił ponownie, tym razem z szacunkiem.

- Skoro Ash nie chce być grzeczny, pozwól, że ja będę pełnił honory domu. Thomas Donne, do twoich usług, panienko.

Spojrzała na przystojną twarz Donne'a.

145

Bieg jej myśli był dla Asha żałośnie łatwy do odczytania. W strojnym, przystojnym Szkocie szukała bohatera i obrońcy.

Kiepski wybór, pomyślał. Donne był ostatnim człowiekiem, który przyszedłby jej z pomocą. Niewiele wiedział o Donnie, ale to, co wiedział, było oczywiste. Donne wyjechał za granicę i tam, w jakimś tajemniczym miejscu, wygrał, zarobił czy ukradł ogromną fortunę, którą zachowywał w nienaruszonym stanie dzięki wybiegowi polegającemu na tym, żeby nie dawać niczego żadnemu głupcowi, który przychodzi do niego na żebry.

Takie postępowanie nie znalazło uznania w oczach jego szkockich kuzynów, którzy - co sam przyznawał i co go w ogóle nie obchodziło - już dawno wykreślili go z rodzinnej Biblii. Donne, tchórz i sybaryta, po

prostu unikał klanu, który się go wyparł.

Szukać w nim sprzymierzeńca było zwykłą stratą czasu. Ash zmusił się, żeby oderwać spojrzenie od Rhiannon. Będzie mieszkać w Rumieńcu Ladacznicy. Bardzo szybko dowie się, że tu nie ma bohaterów.

Każda z osób, które tu przebywały, została dobrana ze względu na cechy, jakich brakowało bohaterom: chciwość, egoizm, tchórzostwo, bezczelność i próżność.

Jego własna siostra stanowiła znakomity przykład.

- Merrick sprowadził nam niemowę - powiedziała Fia. - Czy musiałeś, bracie, wyrwać jej język, żeby cię nie wydała?

Rhiannon posłała jej gniewne spojrzenie.

- Zapewniam cię, że jest zdolna do tego, by mnie zadenuncjować

- powiedział Ash. - Zechciej się uklonić, panno Russell. Jeden z twoich szkockich baronetów właśnie ci się przedstawił.

Równie dobrze mógłby się zwracać do kamienia. Nie zamierzała zniżać się do tego, żeby go zauważać. Czy kogokolwiek z nich. Porwał ją przecież z domu, od rodziny pod błahym pretekstem. Odebrał jej dobre imię i dziewictwo.

Dwa razy próbował ją przekonać o szczerości swoich intencji i dwa razy nie chciała mu wierzyć. Jakże więc mógł - on, który tak niewiele wiedział o uczciwości - nie przyjąć wyroku kogoś, kto miał w tym względzie tak bogate doświadczenie?

On skończył już z poprawianiem własnej natury. Był tak zepsuty, jak sobie wyobrażała.

- Nie zechce z tobą rozmawiać, Donne - powiedział.

- Być może jeszcze nie teraz - odparł Donne. - Jednak z pewnością, jako dwoje Szkotów w domu pełnym Anglików, znajdziemy w swoim towarzystwie odrobinę pociechy, co, panno Russell?

Jego szkocki akcent, którego wyzbywał się. równie łatwo jak pary kapci, stał się teraz wyraźny. Rhiannon zerknęła na Donne'a i tym razem jej wyczerpanie, blade usta i podkrążone oczy uwidoczniły się w jasnym świetle. Zachwiała się na nogach.

Musi być bliska zemdlenia, pomyślał Ash. Trzeba ją stąd zabrać.

Gdzieś, gdzie będzie mogła się umyć i wyspać.

- Jeszcze nie? - powiedział Donne, a Ash nie mógł sobie przypomnieć, żeby słyszał tak łagodny ton w jego głosie. - Mogę poczekać.

- Boję się, że będziesz czekać na próżno ~ odezwała się Fia. - Może dama zastanawia się nad wyborem towarzystwa i okazuje swój dobry smak. Gdyby to dotyczyło również jej stroju...

Wzmianka o ubraniu spowodowała, że Rhiannon dotknęła niepewnie ciężkich, ubłoconych spódnic.

- Wygląda na to, że Ash porwał cię po jakimś szczególnie zaciekłym polowaniu.

- Tak było - potwierdziła i obrzuciła Fię takim spojrzeniem, że dziewczyna cofnęła się o krok, zmieszana tak otwartą wrogością.

- Pozwól, że pošlę służącego po twoje kufry.

- Ona nie ma kufrów - powiedział Ash. - Nic nie ma.

- Dziwne to wszystko - rzekła Fia. - Po co tutaj przybyła?

- To proste, panno Fio - odezwał się Donne, ale patrzył nie na nią, tylko na Rhiannon. - Carr cię uwielbia, więc sprowadził ci siostrę, z którą będziesz mogła wymieniać dziewczęce zwierzenia.

Dopatrywanie się w Fii, pomimo jej młodego wieku, czegoś dziewczęcego, dziecinnego było absurdalne i Donne dobrze o tym wiedział. Fia nie pozwoliła jednak kpić z siebie. Wbiła chłodne oczy w baroneta.

- Słusznie czyni - powiedziała - że usunąwszy jedno dziecko, zastępuje je innym.

Wspomnienie Raine'a ukłuło Asha boleśnie. Z trudem zachował obojętny wyraz twarzy, zastanawiając się, czy Fia chciała zranić jego, czy też dać nauczkę Donne'owi.

147

- Jednakże, siostra czy nie, Carr nie znosi brzydoty. Przerazi się, widząc ją w takim stanie - ciągnęła Fia. - Wydaje się mniej więcej mojej figury, mogłabym więc pożyczyć jej suknię. Jeśli ma się spotkać z Carrem, musi zebrać całą pewność siebie, na jaką ją stać.

Ash o tym nie pomyślał. Siostra miała rację. Pozory były dla lorda rzeczą najwyższej wagi, rozsądek zaś nakazywał zyskać jego życzliwość. Pozostawało pytanie, co Fia miała nadzieję osiągnąć, oferując pomoc.

Na jej twarzy malował się spokój Madonny, z ciemnych oczu nie dało się niczego wyczytać. Po chwili zastanowienia Ash uznał, że to nie

ma znaczenia, czego chce jego siostra.

Znajdowali się w Rumieńcu Ladacznicy, a tu obowiązywały tylko

dwie zasady: bądź zawsze choć odrobinę sprytniejszy od przeciwnika i

zawsze pamiętaj, że wszyscy są twoimi wrogami.

Skinął głową.

- Przekaż ją pod opiekę Gunnie - powiedział, wymieniając imię siwowłosej kobiety, która zajmowała się Fią od dzieciństwa, i jedynej osoby, u której zaznali ciepła po śmierci matki.

- Dobrze.

- Nie ma potrzeby przyspieszać audiencji - dodał swobodnym tonem. - Może spotkać się z Carrem jutro.

Dobrze - powtórzyła Fia. Podeszła do Rhiannon i wsunęła jej rękę pod ramię. - Proszę, chodź ze mną. Zarządzę kąpiel i znajdziemy ci jakieś ubrania. Coś, w czym będziesz się czuła niepokonana - powiedziała, ciągnąc dziewczynę ze sobą.

- Nie uciekniesz, co? - spytała jeszcze po chwili.

- Nie - odparła Rhiannon, nie oglądając się za siebie. - Nie mam dokąd pójść.

Słońce było wysoko, kiedy Fia wślizgnęła się do urządzonej z przepychem sypialni, którą przeznaczono dla Rhiannon. Chociaż weszła cichym, lekkim krokiem, Rhiannon obudziła się natychmiast. Oddychała miarowo, przyglądając się dziewczynie spod lekko uchylonych powiek.

Tym razem Fia zrezygnowała z jaskrawych kolorów, jakie nosiła poprzedniej nocy, na rzecz pięknej żółtej sukni o szokująco nieprzyzwoitym kroju. Ciasny stanik wypychał jej młode piersi wysoko ponad dekolt. Szczupłą szyję i płatki uszu zdobiły perły. Maleńka czarna muszka flirtowała z gładkim białym policzkiem, a usta powlekał różany balsam.

Wygląda jak manekin krawiecki, pomyślała Rhiannon obojętnie.

U krawca, z którego usług korzysta klientela z półświatka.

Tydzień temu widok istoty tak egzotycznej jak Fia odebrałby jej mowę. Ale dla więźnia takie sprawy, jak czyjś wygląd czy zachowanie, nie są istotne. Ani interesujące.

Poza tym, myślała, uśmiechając się do siebie w duchu, wręcz rzuca się w oczy, że Fia chce ją wyprowadzić z równowagi - podobnie jak wszyscy inni. Zeszłej nocy Fia usadowiła się w nogach łóżka i patrząc, jak służąca ściąga brudny strój podróżny z Rhiannon, opowiadała sprośne historyjki o Carze i Ashu oraz o drugim bracie imieniem Raine. Kiedy jej opowieści przestały wywoływać choćby westchnienie, wyraźnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Zmarszczyła niespokojnie gładkie białe czoło i w końcu sobie poszła.

Rhiannon uznała, że Fia musi być znacznie młodsza, niż jej się początkowo wydawało. Przyszły jej do głowy słowa wuja, który zwykł mawiać, że trzeba „dobrze poznać swoich wrogów”.

Teraz, kiedy zmęczenie przestało ją otumaniać, pamięć wróciła, dręcząc Rhiannon poczuciem winy. Uległa czarowi Asha. Szukała jego towarzystwa, flirtowała z nim, płonąc z ciekawości, jak by smakował jego pocałunek. A gdy już się tego dowiedziała, nadal nie miała dość. Ta wiedza tylko podsyciła pragnienie, które nie dawało jej spokoju, aż poczuła, że musi poznać namiętność -jego namiętność. Cóż, myślała z goryczą, posiadała i tę wiedzę.

Gdyby chociaż miała poczucie, że to grzeszne, złe przeżycie, którym przecież było. Ale czuła co innego. To nie była żądza czy akt wyuzdania, tylko coś, co wypłynęło z nakazu jej duszy. Coś... cudownego.

Gdyby tak nie było, nie czułaby teraz do niego takiej nienawiści.

Nie chodziło tylko o to, że ją oszukał, ale również o to, że ona oszukała Phillipa, że Ash odebrał jej możliwość wyznania czegoś, czego nie potrafiła wytłumaczyć. A chociaż zdawała sobie sprawę, że obciążanie go jeszcze tą winą nie było uczciwe, przestała o to dbać.

Nie było uczciwe, że wtargnął w jej życie zaledwie trzy tygodnie przed ślubem. Nie było uczciwe, że miał ciemne oczy, naznaczone

bliznami nadgarstki, a duszę rozdartą i połataną jak płaszcz Cygana -

i że ona rozpoznała jego krój.

Bezwzględny, jak powiedziała Fia. Niebezpieczny. Cóż, szkockie góry wykształciły rzadki gatunek takich ludzi. Czyż ona nie była bezwzględna w dążeniu do tego, czego pragnęła, nie sięgając nigdy myślą poza następny dzień ani nie zastanawiając się, do czego ją doprowadzi oddanie się przyjemności duszą i ciałem? Ją czy też kogoś innego. Wtuliła policzek w poduszkę, przygnieciona poczuciem winy. Pomyślała o pięknych oczach Phillipa pełnych rozczarowania i bólu... Usiadła raptownie na łóżku.

Przestraszona nagłym ruchem Fia obróciła się na pięcie.

- Nie śpisz.

Rhiannon szerzej otworzyła oczy.

- Nie. Jestem pewna, że zauważyłaś to wcześniej. Inaczej byś tu nie stała, prawda?

Fia skinęła głową.

- Oczywiście.

- Chciałaś mnie zobaczyć? - Rhiannon oparła się o poduszki.

Wczoraj była ofiarą, ale dzisiaj nie musi.

- Pod drzwiami jest Gunna. Ona chce cię zobaczyć.

- Gunna? - zdziwiła się Rhiannon. - Dlaczego twoja niania chce mnie zobaczyć i dlaczego miałyby cię prosić, byś uprzedziła mnie o

- Przyniosła ci parę sukien do przymierzenia, a ja... Cóż, Gunna

jest bardzo... nieładna. Wygląda okropnie. Ale,.. - Fia zawahała się.

Cokolwiek chciała powiedzieć, postanowiła zachować to dla siebie. -

Służyła mi wiernie. Nie chciałabym, żeby poczuła się urażona.

Uśmiechnęła się krzywo na widok niedowierzającej miny

Rhiannon.

- Nadal mi służy - dodała.

- Wprowadź ją.

Fia lekko zmrużyła oczy, słysząc ten rozkaz. Rhiannon się

uśmiechnęła. Jest Rhiannon Russell, a jej daleki kuzyn był wodzem

McClairénów. Ash ściągnął ją tutaj z powrotem i przypomniała sobie

rzeczy przedtem głęboko uspięne w jej umyśle. Niech się przekona,

co obudził. U tej angielskiej dziewczyny wszystko było poza.

Rhiannon odziedziczyła wojowniczą naturę po licznych pokoleniach

dumnych, bitnych przodków.

- Teraz, Fio. Zanim znowu zasnę.

Dziewczyna się uśmiechnęła, tym razem szczerze i z tak

ujmującym wdziękiem, że Rhiannon, chociaż instynkt podpowiadał

jej, żeby się strzec, poczuła, jak serce jej topnieje.

Fia odplynęła - trudno byłoby inaczej określić jej sposób

poruszania się - bez słowa i otworzyła drzwi.

- Gunna!

Chwilę później do pokoju wkroczyła pokraczna postać w czerni,

niosąc z pół tuzina sukien na rękach. Jej głowę i lewą część twarzy

przykrywała koronkowa chusta. Z odkrytej strony widać było zdeformowaną szczękę, zaropiałe oko i powykřęcana karykaturę nosa.

Jeśli nieszczęsna Gunna wybrała tę część twarzy, żeby ją pokazywać światu, to Rhiannon mogła tylko odczuwać litość, wyobrażając sobie, co skrywała pozostała część chusty. Kobieta odwróciła się do Fii, która kręciła się u jej boku, jakby chcąc zapewnić jej ochronę.

- Jamie mówi, że ojciec cię szuka. - Głos Gunny zdradzał silny szkocki akcent. - Lepiej idź. No, dalej. Szybciej pójdiesz, szybciej wrócisz.

151

Z niechętnym pomrukiem Fia odeszła. Stara niania zachichotała rozbawiona, a dopiero potem spojrzała na Rhiannon.

- W kuchni mówią, żeś Szkotka. Z jakiego klanu? - zapytała, kuśtykając bliżej. Jej ton był obcesowy, a spojrzenie pełne niechęci.

Rhiannon przerzuciła stopy nad brzegiem łóżka i zeskoczyła lekko na zimną podłogę.

- McClairen.

Odślonięta część twarzy Gunny drgnęła ze zdumienia.

- McClairen? Nie wyglądasz jak McClairenowie. Oni mają czarne włosy i bladą cerę.

Rhiannon ściągnęła koc z łóżka i zarzuciła go sobie na ramiona.

Nie chciała, by jej przypominano o tych dawnych sprawach.

Porzuciła je dziesięć lat temu.

Minęła starą kobietę, podchodząc do okna. W dole stalowoszare morze tłukło się o brzegi wyspy.

- Wybacz, panienko - usłyszała głos Gunny. - Nie pamiętam, gdzie moje miejsce, taka jest prawda.

Duma i chłód zastąpiły jej poprzednie niechętnie zainteresowanie.

Rhiannon się zawstydziła. Gunna nie była winna, że ją tutaj sprowadzono.

- Nie jestem z McClairenów - powiedziała. - Mój ojciec był wodzem własnego klanu, ale kiedy McClairenowie wezwali mężczyzn na wojnę w czterdziestym piątym, odpowiedział na wezwanie. - Zamknęła oczy. - I moi bracia. I wujowie.

- Jesteś zatem sierotą - mruknęła Gunna, wyraźnie łagodniejąc. -

Nikt nie ocalał?

- Nie. Polowano na nich i zamordowano wszystkich. Tam -

wskazała ponury krajobraz za oknem. Wpatrywała się w niego niewidzącymi oczami. - Dobry Boże, jak nienawidzę być tutaj.

Poczuła lekkie dotknięcie na rękawie. Gunna stanęła obok niej.

Miała zniszczoną skórę na dłoniach, paznokcie poobgryzane do kości, ale jej długie palce sprawiały zadziwiające wrażenie elegancji.

- Naprawdę?

- Oczywiście - powiedziała Rhiannon. - Jak może być inaczej?

To miejsce roi się od duchów, i to krwawych.

Gunna westchnęła, patrząc na morze.

- Moim zdaniem - rzekła powoli - najbliżej nas są duchy, przed którymi uciekamy.

Rhiannon zerknęła na nią, marszcząc brwi.

- Tam, skąd przybyłam, nie było duchów.

To nie było całkiem zgodne z prawdą, ale tam zjawy bladły w świetle dziennym. Tutaj nie. W ciągu jednego poranka przypomniała sobie więcej ze swojego życia w Szkocji, niż pamiętała - czy też pozwalała sobie pamiętać - przez ponad dziesięć lat w Fair Badden.

Odslonięty kącik ust Gunny podniósł się w uśmiechu.

- Nie wszystkie duchy sprawiają ból.

Chciała okazać życzliwość, co Rhiannon doceniła, chociaż wątpiła w jej rozum.

- Mam nadzieję.

Gunna pociągnęła ją za rękę, prowadząc z powrotem w stronę łóżka, na którym rozłożyła suknie. Podniosła zwój połyskującego zielonego adamaszku.

- Będiesz w tym piękna. Carr będzie zadowolony.

Rhiannon nie obchodziło, jak Carr oceni jej wygląd. Gunna widocznie zauważyła jej brak zainteresowania, bo pokręciła głową i powiedziała:

- Chyba ci nie zależy, żeby się spodobać swojemu przyszłemu.

- Mojemu przyszłemu? - powtórzyła Rhiannon, otwierając szeroko oczy, w miarę jak docierało do niej znaczenie tych słów. Na

koniec parsknęła śmiechem. - Nie zamierzam poślubić lorda Carra.

- Naprawdę? - spytała Gunna.

- Naprawdę - potwierdziła Rhiannon.

- Mówią, że pan Ash cię przywiózł - powiedziała Gunna po chwili wahania.

To imię sprawiło, że przez twarz Rhiannon przepłynęła fala gorąca.

- Tak.

- Chłopiec na posyłki Carra. - Obie kobiety odwróciły się, słysząc głos Fii. Stała w drzwiach, opierając się o framugę. - Biedny Ash.

Gunna nie zwróciła uwagi na gładki, fałszywy ton głosu swojej podopiecznej, reagując raczej na treść słów.

153

- Carr powinien uważać - powiedziała Gunna, odkładając suknię na łóżko. - Myślę, że lord straci swojego chłopca na posyłki, chyba że da mu jedną z marchewek, którymi macha przed jego dumnym nosem. Pozwól mi, panienko, zabrać ten koc. Lepiej, żebyś już się ubrała.

- Ash zrobi wszystko, co będzie musiał - odparła Fia, podchodząc bliżej, podczas gdy Gunna podreptała po dzban z wodą i miskę. - Wszystko, żeby pomóc Raine'owi.

- Raine'owi? Młodszemu synowi lorda Carra? - zapytała

Rhiannon, nie mogąc się powstrzymać. - Temu, który podobno

zgwalił zakonnicę?

- Pewnie chcesz wiedzieć, prawda, panno Russell? - Gunna

zamoczyła miękki ręcznik w wodzie i namydliwszy go, wręczyła dziewczynie. - O Ashu i Rainie.

- Nie - odparła Rhiannon cierpko, głosem przytłumionym przez ręcznik, którym wycierała twarz.

- To interesująca opowieść - ciągnęła Gunna. Zabrała zużyty ręcznik i dołała wody do miski, żeby Rhiannon mogła się umyć dokładniej.

- Ale w tej chwili nie mamy na nią czasu - wtrąciła Fia. - Carr chceją zobaczyć w galerii jeszcze w tej godzinie.

- Co?! - Rhiannon rzuciła okiem na zegar stojący na półce nad kominkiem. Do pełnej godziny brakowało zaledwie kwadransa.

Fia wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam mu, że moim zdaniem tak będzie dobrze.

Rhiannon spuściła wzrok. Nadal miała na sobie tę samą brudną koszulę, którą nosiła od pięciu dni. Nie zdąży się wykapać i Fia wiedziała o tym. To tyle, jeśli chodzi o jej troskę, żeby Rhiannon zrobiła dobre wrażenie,

Fia należała wszak do Merricków. Bez wątpienia miała własne plany. Cóż, niech będzie i tak.

Rhiannon nie była tutaj od dziesięciu lat, ale to, że urodziła się na polu bitwy, jakie stanowiła Szkocja, przygotowało ją do walki - na wszystkich frontach.

Na końcu długiego korytarza lokaj otworzył drzwi. Rhiannon

ujęła fałdy zielonej sukni i weszła do pokoju.

154

Na środku pomieszczenia stał Ash Merrick z rękami założonymi z tyłu i patrzył na nią w skupieniu. Na jego widok zabrakło jej na moment tchu. Nie spodziewała się go, a jego uroda wciąż ją oszołamiała.

- Twój ojciec po mnie posłał. Gdzie on jest? - Jej głos brzmiał gniewnie. Lepiej, żeby nie zdradzał zachwytu.

- Fia powiedziała, że będziesz miała audiencję u Carra. I tak będzie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Z trudem opanowała paniczny ton, - Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Tęsknię za tobą. - Słowa były ciche, ledwie słyszalne.

Podniosła głowę zaskoczona. Wszystkiego mogła oczekiwać, ale nie tego.

Wyznanie? Kłamstwo. Był zatwardziałym oportunistą. Chciał z niej zrobić potulnego więźnia, który nie będzie sprawiał kłopotów.

Czy nie przekonał się już, jak wielki potrafi wywierać na nią wpływ?

Dosyć tego.

Spojrzała gniewnym wzrokiem w jego nieprzeniknione oczy.

- Jakież to musi być dla ciebie przykre.

- Wet za wet, co? — Wykrzywił kpiąco usta. - W mojej rodzinie to przyjęta praktyka. Mam naprawdę duże doświadczenie, jeśli

chodzi o odpłacanie pięknym za nadobne. - Kpiący uśmiech znikł.

Spojrzał na nią uważnie. - Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić,

Rhiannon. Wykorzystać? Tak, przyznaję. Posiąść? Zdecydowanie

tak. Ale nigdy nie chciałem, żebyś cierpiała.

Nie spuszczał z niej oczu, próbując ją przekonać o prawdzie

swoich słów. I nawet częściowo mu uwierzyła. To jednak nie miało

znaczenia. W Fair Badden jej miękkie serce stopiłoby się jak wosk

po takim oświadczeniu. Ale w szkockich górach nie rodzą się ludzie

o miękkich sercach i chwiejnych umysłach. Warunkiem przeżycia

jest walka o przetrwanie, a nie przyznanie wyższości wrogowi.

- Za późno. - Szukała jakiegoś znaku, że przebiła jego twardą

skorupę. - Trzeba było odjechać. Mogłabym jakoś wynagrodzić

Phillipowi to, co się stało.

- Mówiłem ci. Ktoś specjalnie znęcał się nad tym twoim

cholernym psem.

155

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Ten sam człowiek, który zostawił bliznę od kuli na twoim

policzku i który rzucił w ciebie nożem na balu u Harquistów -

ciągnął chłodnym, cierpkim tonem.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Mylisz się co do tego wypadku ze Stellą - stwierdziła. - A co

do innych? Bzdura. Dobrze o tym wiesz.

Uciekł wzrokiem w bok; drobny, mimowolny gest, który

potwierdził jej podejrzenia. Ale zamiast pragnienia zemsty, czuła w sobie jedynie pustkę i gorycz.

Wymyślił to wszystko z powodów, których nie chciał wyjawić.

- Nie jest za późno - usłyszała własny szept. - Możesz mnie odesłać do Fair Badden.

Twarz mu się ściągnęła. Parsknął kpiąco.

- Bez względu na to, co twierdził Watt, skończyłabyś jako wyrzutek. Byliśmy kochankami i Phillip o tym wie. Nigdy by cię nie przyjął.

Jak mógł o tym mówić tak obojętnie? No tak, dla niego liczył się tylko akt fizyczny.

- Nie dałeś mi wyboru, prawda? Ani Phillipowi - rzuciła oskarżycielsko. - Powiedziałaś mu o mojej zdradzie, jakbyś dał mu w twarz. W tym też mnie okłamałeś.

Oczy mu się zamgliły.

- Myślałem, że dzięki temu zapewnię ci bezpieczeństwo. Że uniemożliwię...

- Moje małżeństwo z Phillipem? - dokończyła zimno. - Cóż, udało ci się.

- Chciałem dać mu wymówkę, żeby nie musiał cię poślubić.

- Nadal chcę wrócić - powiedziała, ignorując jego słowa. -

Wystarczy, żebyś odstawił mnie do zajazdu, gdzie są dyliżanse.

Pokręcił głową.

-Nie ma dla ciebie miejsca w Fair Badden. To koniec.

Powietrze parzyło ją w nozdrzach, ale odezwała się tonem chłodniejszym od lodu:

- Nie wiem, dlaczego zmusiłeś mnie, żebym tu przyjechała, ani dlaczego mnie posiadałeś. Czyżby myśl o bezimiennej sierocie,

156

mającej wejść do arystokratycznej angielskiej rodziny tak bardzo cię obrażała?

Ku jej zdumieniu, wybuchnął śmiechem.

- To najbardziej fascynujący motyw, żeby pozbawić dziewczynę dziewictwa, jaki w życiu słyszałem.

Chciała go zawstydzić, a on z niej kpił. W jego ciemnych oczach błysnęło rozbawienie, chociaż usta pozostały zacięte. Te usta, które z taką czułością pieściły jej ciało, dając jej tyle rozkoszy.

- Staralam się znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie twoich czynów. Nie mam żadnej wymówki, która mogłaby usprawiedliwić zdradę narzeczonego.

Jego nozdrza rozszerzyły się lekko.

- Uważasz, że żądza to nie jest wystarczający powód?

Zapewniam cię -

powiódł wzrokiem po jej twarzy, ustach, szyi i piersiach - to wyjątkowo silny imperatyw.

Nie poruszył się, ale nagle poczuła się, jakby stanął tuż obok.

Cofnęła się o krok. Serce zabiło jej żywiej.

- Ale po co mnie tu sprowadziłeś? Nie z powodu żądzy. Jeśli

gwałt na kobiecie sprawiłby ci przyjemność, okazji przecież nie brakowało.

Zmarszczył gniewnie brwi.

- Nie polegałbym zanadto na takich przypuszczeniach.

Widziała, że usiłuje zapanować nad emocjami, ale nie starała się go zrozumieć

- Powiem ci, żeby podtrzymać tę rozmowę - wykrztusił - że nie znalazłbym zadowolenia, gdybym cię zmusił. A teraz na minutę, jedną minutę, przyjmij do wiadomości, że jestem dość mądry, by zdawać sobie sprawę, że porywając cię z Fair Badden, mogłem zyskać jedynie twoją nienawiść.

-

Mówił z taką pasją, że musiała go słuchać. - Postaraj się mi uwierzyć choć na chwilę.

Podniósł prosząco rękę - nie sądziła, aby ten człowiek mógł kiedyś o coś prosić - i ogarnęły ją wątpliwości.

- Uwierz, że przywiozłem cię tu z powodu, jaki ci podałem.

Bąłem się, że twojemu życiu grozi niebezpieczeństwo, i podejrzewałem, że Watt jest za to odpowiedzialny. Skoro nie

157

potrafisz sobie wytłumaczyć mojego postępowania, dlaczego nie możesz przyjąć, że ten, choć pozornie dziwaczny, powód, jest prawdziwy?

Mówił z akcentem szczerości w głosie i patrzył na nią błagalnym

wzrokiem. Ale myśl, że Phillip mógłby chcieć ją skrzywdzić i że ktoś w ogóle może go podejrzewać o coś podobnego, była nie do przyjęcia.

- Proszę, Rhiannon. - Takiego tonu przedtem u niego nie słyszała. - Proszę.

Ash nie znał Phillipa tak dobrze jak ona. Mógł się pomylić co do niego...

Wpatrywała się w niego z przejęciem, starając się odczytać ukryte myśli. Słyszała jego urywany oddech; była tak skupiona, że ledwie do niej dotarł szelest za plecami.

Odezwał się jakiś obcy głos - należący do człowieka wykształconego, znudzonego, przywykłego do rozkazywania.

- Cóż, Ash, skoro ją przywiozłeś, przypuszczam, że chcesz dostać pieniądze, jakie ci za to obiecałem.

Ash zobaczył, jak w oczach Rhiannon gaśnie iskierka niepewności. Szukała wyjaśnienia jego czynów, Carr je dostarczył. Nienawidził ojca. Ojciec pozbawił go wszystkiego. Wszystkiego poza resztkami dumy, których nie chciał stracić tutaj, na jego oczach. Stracił Rhiannon. Zrobił dokładnie to, czego się spodziewała.

Niemal zdołał ją znowu oszukać.

Ale nadal musiał myśleć o bracie. Zawsze będzie miał Raine'a.

Carr wkroczył do pokoju i zaczął wolno okręzać Rhiannon, podniósłszy w skupieniu starannie wymanikiowany palec do ust.

- Dwa tysiące funtów, o ile pamiętam - powiedział Ash bezbarwnym tonem.

Carr nie zwrócił na niego uwagi, nadal przyglądając się Rhiannon w pożyczonej sukni.

Suknia Fii, tak jak suknie wszystkich dam w Rumieńcu

Ladacznicy, została zaprojektowana po to, żeby podniecać i uwodzić, prowokować i zachęcać. Rhiannon nosiła ją z królewską godnością.

Ciężki zielony jedwab z Chin, upięty na specjalnej obręczy, lśnił od złocistych szklanych paciorków. Od łokci w dół opadały kaskadą marszczone koronki.

Leciutki rumieniec zabarwił szczupłą szyję dziewczyny i

wypukłość jej piersi, które odsłaniał głęboki kwadratowy dekolt.

Odmówiła założenia peruki. Włosy miała upięte w wysoki kok.

Na widok ojca przyglądającego się Rhiannon Ashowi zaschło w

gardle.

- Co ja mam z tobą zrobić? - mruknął Carr.

Asha uderzyło, że mimo spokojnego tonu ojciec wydawał się przygnębiony. Zmarszczki w kąciach jego oczu pogłębiły się, podobnie jak dwie pionowe linie po bokach orlego nosa, a wargi zagryzł z niezadowoleniem. Carr, którego życie obracało się wokół piękna i wyglądu, klasy i pozycji, zwykle starannie ukrywał tego rodzaju uczucia.

Najwyraźniej żałował, że obiecał synowi pieniądze. Pewnie podejrzewa, jak niewiele mu brakuje do zebrania okupu za Raine'a.

Kiedy Raine wyjdzie z więzienia, straci jednego ze swoich najlepszych agentów. To mu nie odpowiadało.

- Odeślij mnie, panie. - Głos Rhiannon wyrwał lorda z zamyślenia. Ash się uśmiechnął. Carr nie przywykł, żeby młode kobiety odzywały się do niego tym tonem. To musiało pogorszyć jego i tak nie najlepszy humor. Rzeczywiście, linie wokół ust pogłębiły się w niechętnym grymasie, ale potem szybko wygładziły.

- Moja droga - powiedział słodko. - Dopiero co przyjechałaś.

- Nie chcę tu być, lordzie Carr. - Nie patrzyła na Asha; mówiła podniesionym głosem. - Jestem tutaj wbrew swojej woli.

- Jakże to? - Carr uniósł brwi.

- Twój syn wykradł mnie w przeddzień mojego ślubu! Carr jęknął melodramatycznie:

- Nie!

- Tak, panie! - zapewniła Rhiannon, kiwając energicznie głową.

Asha ogarnęła litość, gdy dziewczyna posłała mu triumfalne spojrzenie. Myślała, że Carr stanął po jej stronie. Że przeraziła go opowieścią o podłości syna.

- Nikczemnik! - zawołał Carr z emfazą, ale gdy odwrócił się w stronę Asha, oburzenie na jego twarzy natychmiast ustąpiło miejsca obojętności.

Nie musiał ukrywać swoich prawdziwych uczuć przed Ashem.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę? - zapytał potępiająco, lecz jego twarz nadal nie zdradzała zainteresowania.

Ash nie miał ochoty się bronić. To by tylko rozbawiło Carra, a Rhiannon i tak już myślała o nim wszystko, co najgorsze.

- Posłałeś mnie po nią. Oto ona. Jesteś mi winien dwa tysiące funtów.

Carr ponownie przywołał na twarz wyraz stosownego niezadowolenia i odwrócił się do Rhiannon.

- Moja droga, proszę o wybaczenie. Gdybym wiedział, że wychodzisz za mąż, nigdy bym nie pomyślał, żeby cię zabrać z przybranego domu. Jestem zdumiony gorliwością Asha. Wierz mi, to do niego niepodobne.

Ash patrzył, jak Rhiannon obserwuje Carra, zauważył więc, kiedy dotarł do niej jego fałsz i jej zapał ustąpił nieufności. Carr również to

zauważył; przez chwilę zmrużył oczy, stwierdziwszy, że nie dała się

zwięź jego fałszywemu współczuciu.

- Dlaczego wysłałeś po mnie syna po tylu latach? - zapytała nagle.

- Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Dowiedziałem się całkiem niedaw-

no, a i to przypadkiem. Człowiek, który przybył do Rumieńca

Ladacznicy z grupą moich przyjaciół, ktoś z twoich stron, wymienił

twoje nazwisko, a ja rozpoznałem je jako należące do kuzynki mojej

drogiej żony.

- Której żony? - zapytał Ash szyderczo. Ojciec posłał mu

mordercze spojrzenie.

- Mojej drugiej żony.

- Dlaczego ktoś miałby mnie wspominać? - dopytywała się

Rhiannon. Carr podniósł ręce do oczu, jakby biorąc ją w ramki.

- Moja droga... taka skromność jest jak najbardziej stosowna, choć

odrobinę, zaledwie troszeczkę, *jeune filie**.

Rhiannon zarumieniła się i spuściła wzrok. Punkt dla Carra.

Uśmiechnął się złośliwie, ale nie zauważyła tego.

- To prawda - powiedział Carr. - Jesteś najpięk...

- Dlaczego nie chciałeś mnie przyjąć przed wielu laty? -

przerwała mu, ignorując pochlebstwo. Nie zdobył jej sympatii. W

najmniejszym stopniu. - Przyszliśmy pod twoje drzwi - ciągnęła. -

Stara niańka i ja. Miała list, dała go służącemu i tamten go zabrał.

Kiedy wrócił, nie chciał nas wpuścić...

- Czy tak?

Ash musiał przyznać, że wyraz zaskoczenia na twarzy Carra był do-

skonały, zwłaszcza że chwilę później zastąpiła go mieszanina

oburzenia i smutku.

- Doprawdy... nie miałem pojęcia! Przysięgam na wszystko, co

święte, że aż dotąd nie wiedziałem, że kiedyś stanęłaś już u mych drzwi. -

Carr podszedł do dziewczyny i ująwszy jej dłoń, zaczął lekko gładzić. -

Słyszałem, rzecz jasna, o poczynaniach Cumberlanda. Wiedziałem, że

twoja rodzina zostanie ukarana za to, że dała się wciągnąć w walkę po

stronie pretendenta...

** jeune filie (tran.) - w tym kontekście: dziecinna.*

161

- Moja rodzina oddała za niego życie, dobrowolnie! - wybuchła

Rhiannon. - Nie zmuszano ich do niczego. Poświęcili się, walcząc dziel-

nie, z honorem i dumą. A Jakub Stuart nie jest pretendentem!

Ten wybuch przestraszył ją tak samo jak Carra. Zagryzła wargi,

a lord przez chwilę nie wiedział, co ze sobą zrobić, lecz widząc

zmieszanie Rhiannon, uśmiechnął się współczująco.

- Oczywiście, moja droga. Oczywiście - powiedział słodkim

głosem. Kiedy dowiedziałem się, że Cumberland zaspokoił swoją żądzę

zemsty, wysłałem ludzi na poszukiwanie kuzynów mojej drogiej żony,

zwłaszcza zaś ciebie, jej podopiecznej, a zatem i mojej. Niestety,

wrócili z niczym. Czubkami palców uniósł jej brodę do góry, zmuszając

ją, żeby spojrzała mu w oczy.

Ash musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby nad sobą zapanować,

gdyby bowiem zdradził słowem czy gestem, że Rhiannon znaczy dla

niego więcej niż obiecane dwa tysiące funtów, ojciec wykorzystałby to do swoich celów. A to z całą pewnością oznaczałoby coś złego dla Rhiannon. Tak więc Ash nie ruszył się z miejsca, mimo że krew pulsowała mu w skroniach, a dłoń drżała nad rękojeścią ukrytego w bucie sztyletu.

- Co to jest? - zapytał nagle Carr. - Co to za blizna na twojej twarzy?

- To nic - odparła Rhiannon, odrzucając głowę do tyłu. -

Rozbójnik na drodze strzelił do powozu, którym jechałam. Kula drasnęła mnie w policzek.

- Przeklęty drań! - Głos Carra drżał z gniewu.

Ash otworzył szeroko oczy, szczerze zdumiony. Znał każdy gest i wyraz twarzy z repertuaru ojca, wiedział więc, że wywołanie rumieńca na szyi i policzkach przewyższało nawet jego talent aktorski. Carr był naprawdę wściekły.

- Uciekłam, panie - powiedziała Rhiannon spokojnie.

- A on? - parsknął Carr. - Ten rozbójnik?

- Też.

- Do diaska! - warknął Carr. - Żeby tak skonał w mękach!

- Doprawdy, panie. Nie poniosłam wielkiej szkody - zapewniła zdziwiona.

Carr wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je powoli.

162

- Tak. Trzeba się pogodzić z tym, czego nie możemy zmienić. Teraz

jesteś tutaj. Tu będziesz bezpieczna.

- Byłam bezpieczna w Fair Badden. - Rhiannon nie spuszczała wzroku z Carra. - Pragnę tam wrócić.

Skrzywił się, puścił jej brodę i założył ręce za plecami.

- Wrócić? Jak by to wyglądało? Do zmroku wszyscy w Rumieńcu

Ladacznicy dowiedzą się, że tu jesteś, że jesteś pod moją opieką. Co pomyślą, jeśli nie spełnię swojego obowiązku i odeślę cię z powrotem?

- Odesłanie mnie do Fair Badden nie przyniesie ujmy twojemu dobremu imieniu, panie.

Biedna Rhiannon, pomyślał Ash, stanowczo za uczciwa. Nie zdołała stłumić szyderstwa w głosie i Carr to zauważył. Spojrzał na nią błyszczącymi oczami. Niezrażona, mówiła dalej:

- Zwrócisz narzeczoną przyszłemu mężowi. Lord skubnął w zamyśleniu wargę.

- Proszę - nie ustępowała.

- Cóż, może - zgodził się Carr.

Ash zamarł. Jeśli ktoś nastawał na życie Rhiannon, to właśnie w Fair Badden. Nie może tam wrócić.

- Tak, to każdy powinien zrozumieć - ciągnął lord.

- Właśnie!

Naprawisz

krzywdę

wyrządzoną

niewinnej

dziewczynie...

-

Nie takiej niewinnej - powiedział Ash. - Nie, nie sądzę, żeby to się udało. Chyba rozumiesz, ojcze, że raczej pośpieszny wyjazd panny Russell w przeddzień ślubu musiał zrodzić rozmaite niepoehlebne przypuszczenia. Obawiam się, że jej reputacja legła w gruzach. A co do jej drogiego narzeczonego - przerwał, kręcąc melancholijnie głową - wątpię, żeby teraz ją zechciał.

- Łajdak! - syknęła Rhiannon.

Spojrzenie Carra wędrowało z jednego na drugie. Przemierzył pokój i podszedł do Asha. Szeptem, tak żeby Rhiannon go nie słyszała, spytał:

- Czy tak jest w istocie? Bo wydaje się, że ona za tobą nie przepada.

Może zabrakło ci wyczucia? Co powiesz, Ash? Nie była dobra? Czy ty nie byłeś?

163

Ash wiedział, że to zwykły podstęp, by odkryć, ile Rhiannon dla niego znaczy. O mało się nie zdradził, tak bardzo chciał uciszyć Carra.

Zachował jednak kamienną twarz.

- Przypuszczenia, jakie snują ludzie w Fair Badden, mają niewiele wspólnego z prawdą. . - wzruszył ramionami. - Zrujnowanie reputacji panny Russell było potrzebne ze względów taktycznych. Nie chciała jechać, a wątpiłem, by narzeczonej ją puścił bez wyraźnego powodu.

Dostarczyłem więc takiego powodu. Pamiętaj jednak, że można

zniszczyć

reputację,

nie

zadając sobie trudu, żeby zniszczyć cokolwiek innego.

- Zniszczyć! - Carr, wciąż odwrócony tyłem do Rhiannon,

uśmiechnął się szyderczo. - Co za próżność. Zdradzę ci sekret: damy

uwielbiają, żeby je niszczyć, i w gruncie rzeczy czują się urażone, jeśli

poprzestanie się na ich reputacji. Dowodem gniew panny Russell.

- Nie dbam o to - odparł Ash znudzonym tonem. - Bardziej

interesuje mnie zapłata.

Dobry humor Carra ulotnił się w jednej chwili. Cofnął się.

- Dopilnuję, żeby ci zapłacono przed końcem dnia - powiedział. -

Potem możesz jechać, dokądkolwiek się wybierasz.

- Nie ma pośpiechu - rzekł Ash, modląc się do Boga, w którego

dawno stracił wiarę, żeby ojciec nie odesłał go z Rumieńca Ladacznicy.

Zrobi wszystko, żeby tu zostać i czuwać nad Rhiannon, dopóki się nie

dowie, jakie Carr ma wobec niej plany.

- Widziałem twoich gości, ojcze - powiedział. - Grube sakiewki, za-

chłanny apetyt. Wyobrażam sobie, że grają wysoko.

- Jesteś niepoprawnym pijakiem, Ash. A do tego gwałtownym.

Mógłbyś sprawić kłopot mnie albo moim gościom.

Ash roześmiał się gorzko.

- Twoim gościom? Twoi goście zapłacą żywym złotem za

dreszczyk emocji, jakiego dostarczy im moje towarzystwo. Ludzi tego

pokroju pociągają nieszczemne rozrywki.

Carr patrzył na syna spod zmrużonych powiek.

- Dobrze - mruknął w końcu. - Możesz zostać. Ale, na Boga, znajdź sobie jakieś przyzwoite odzienie. Nie obrażaj moich oczu swoim wyglądem.

- Tak jest, ojcze.

164

- A teraz zostaw nas samych - powiedział Carr. - Mamy z panną Russell wiele spraw do omówienia.

Zawahać się teraz byłoby katastrofą.

Ash wyszedł z pokoju równym, spokojnym krokiem, nie patrząc na Rhiannon.

- Droga panno Russell - powiedział Carr - zechciej usiąść.

Rhiannon wahała się chwilę, zanim usiadła na wskazanym krześle.

Niepewnie poprawiła suknię, wyraźnie nieprzyzwyczajona do tego rodzaju strojów. Ale brak doświadczenia towarzyskiego nie oznaczał, że można było ją lekceważyć. Bystre spojrzenia, jakimi go obrzucała, wskazywały, że jest pojętna.

- I cóż, moja droga? Popatrzyła na niego nieufnie.

- Proszę.

Kiedyś taka nieufność stanowiłaby dla niego wyzwanie, któremu nie zdołałby się oprzeć. Uwodzenie kobiety, która miała się na bacności, stanowiło pierwszorzędną rozrywkę.

Niestety, nie był już podatny na podobne gierki. Nawet

przyjemność przespania się z dziewczyną, której pragnął jego syn, nie stanowiła dostatecznej podniety, żeby się do niej umizgiwać. To nie znaczyło, że nie zrobi tego w przyszłości, gdyby miał wyciągnąć z tego jakąś korzyść.

Dziewczyna może się okazać użyteczna w manipulowaniu opornym starszym synem. Chwilowo jednak uwiedzenie jej nie dawało żadnych korzyści, a on nie był już taki młody, żeby ta perspektywa go podniecała.

Tylko jedno wciąż obchodziło go tak samo jak kiedyś: pragnienie, żeby odzyskać dawną pozycję w towarzystwie - pozycję, którą utracił przed dwudziestu pięciu laty. Jeśli nie odzyska jej szybko, za bardzo się zestarzeje, żeby cieszyć się triumfem.

Podał dziewczynie kieliszek. Przyjęła go i pociągnęła mały łyk sherry; w jej orzechowych oczach dostrzegł uznanie. Dzięki Bogu, nie miała oczu koloru wina.

Tak jak tamta.

Wiedział, że w żyłach Rhiannon płynie krew McClairenów, i bał się... że będzie miała oczy McClairenów. Jak Janet.

165

Na szczęście Fia nie odziedziczyła oczu po matce. Błękitnooki Ash też nie przypominał Janet. Tylko Raine był podobny do matki, z wyglądu i charakteru.

Ta myśl rozczuliła go. Niektórzy twierdzili, że nie ma serca. Gdyby wiedzieli, jak wciąż tęskni do zmarłej żony, gdyby znali prawdę o

uwięzieniu Raine'a, nie spotwarzaliby go.

To podobieństwo młodszego syna do matki, a nie chciwość ojca -jak powiadano - powstrzymywała Carra od zapłacenia okupu. Cóż, gwoli uczciwości musiał przyznać, że przydatność Raine'a w okiełznaniu starszego syna przyczyniała się do przedłużenia jego niewoli - ale głównym powodem było jego podobieństwo do Janet.

Czy to nie romantyczne? Czy nie świadczy o sile jego namiętności to, że pozwalał gnąć synowi w więzieniu, bo jego widok był dla niego zbyt bolesny?

Janet by się z nim zgodziła. Ona jedna naprawdę go rozumiała. Wyj-
rzał na trawniki pod oknem. Pokoje, które zajmował i w których prze-
bywał, znajdowały się od frontu. Nie lubił patrzeć na urwisko, z którego
spadła Janet. Prawie się nie zapuszczał do pomieszczeń wychodzących
na morze. Kiedyś tuż przed świtem, gdy goście jeszcze spali, znalazł
się w bibliotece na tyłach, od strony ogrodów na tarasach. Wydawało mu
się, że słyszy śpiew Janet, jej cichy, łagodny głos...

- Panie?

Podniósł wzrok. Rhiannon patrzyła na niego, jakby odzywała się
już po raz kolejny.

Zebrał myśli. Miał inne sprawy na głowie. Chociażby ta
dziewczyna. Dziewczyna, która, jeśli coś pójdzie nie tak, jak powinno,
mogła sprawić mu kłopot.

- Twój syn myli się w ocenie mojej sytuacji - powiedziała. – Jestem
pewna, że pani Fraiser nie wymówi mi domu, w którym gościła mnie

przez ponad dziesięć lat.

Czekała na odpowiedź.

Chciał jej wierzyć. Jeśli jednak Ash zniszczył dziewczynie reputację, odesłanie jej do Fair Badden, uznano by za akt okrucieństwa. List, który dostał od premiera po śmierci trzeciej żony, jasno sugerował, że nie wolno mu zaniedbywać obowiązków wobec żadnej kobiety pozostającej pod jego opieką.

166

Carr znał ten fragment na pamięć:

Jego Wysokość ze zdumieniem i głębokim żalem stwierdził, że trzy z jego poddanych, damy z najlepszych rodzin, umarły, przebywając pod Twoją pieczęcią, lordzie Carr. Pewni ludzie podsuwają Jego Wysokości sugestie, że kolejne żaloby przyniosły Ci korzyść materialną. Jego Wysokość nie przyjmuje do wiadomości podobnych oszczerstw. Jest przekonany, że już nigdy żadna kobieta w Twoim otoczeniu nie dozna krzywdy ani żadnej szkody. W rzeczy samej, Jego Wysokość bardzo na to nalega.

Carr zerknął na Rhiannon, nie starając się nawet ukryć niechęci.

Nie tylko nie może odesłać jej do Fair Badden, ale musi też dopilnować, żeby przebywając w jego domu, cieszyła się najlepszym zdrowiem. To zaś oznaczało, że musi trzymać ją z dala od swoich gości, którzy jej świeżość i niewinność uznaliby za zachętę do zabawy.

A co do innych rzeczy — będą musiały poczekać. Miał jeszcze czas.

Coś się wydarzy. Zawsze tak było.

Plasnął dłońmi o poręcz fotele i wstał.

Rhiannon zamrugała, zaskoczona gwałtownym ruchem.

- Lordzie Carr?

- Nie, panno Russell. Dla twojego własnego dobra muszę ci odmówić. Zostaniesz tutaj.

- Ale...

- Może później będziesz mogła tam wrócić. Muszę to starannie przemyśleć, zastanowić się nad okolicznościami twojego powrotu i jego alternatywami.

- Alternatywami? Proszę! - Podniosła rękę. - Nie chcę tu zostać. Jestem tutaj obca!

- Panno Russell - Carr poklepał jej dłoń gestem, który wydawał się zarówno niezręczny, jak i nienaturalny - najlepsze, co mogę zrobić, to zapewnić cię, że nie zostaniesz tutaj długo.

Ash wygląda jak jeden z tych rosyjskich wampirów - powiedziała Fia.

W ciągu ostatnich dziewięciu dni, odkąd Rhiannon zjawiała się w Rumieńcu Ladacznicy, przychodziła do jej pokoju tuż przed świtem i siadała na brzegu łóżka, które Rhiannon właśnie opuściła.

Błada ze zmęczenia, w strojnych sukniach pogniecionych podczas nocnych zabaw przychodziła, żeby opowiadać Rhiannon o swoich wyczynach. Aż za często wspominała przy tej okazji Asha.

- Nigdy nie słyszałam tego określenia - powiedziała Rhiannon.

Na twarzy Fii zagościł rzadki u niej uśmiech.

- To z ludowej rosyjskiej bajki. W zeszłym roku do Rumieńca

Ladacznicy przyjechał pewien hrabia. Chyba mnie. . polubił, a nie będąc pewnym, czy bardziej mi się przypodoba bajkami czy opowieściami o dworskich intrygach, bawił mnie jednymi i drugimi. - Pochyliła się, jej ciemne oczy zabłyśły. - Wolałam bajki. Wiesz, Rosjanie to dzicy ludzie.

- Co to dokładnie jest ten wampir, do którego porównujesz swojego brata? - zapytała Rhiannon.

- Wampir, droga panno Russell-wyjaśniła Fia, prostując się-to martwa istota, która wstaje w nocy i raczy się krwią żywych.

- Odrażające - powiedziała Rhiannon chłodno. Zdjęła nocną koszulę i zaczęła wkładać halki. Nawet nie próbowała wypraszać Fii z pokoju, wiedząc, że i tak zignorowałyby prośbę. Poza tym Fia była jedyną osobą, z którą Rhiannon mogła porozmawiać, Carr bowiem nadal „zastanawiał się”, co z nią zrobić, a Ash wprawdzie śledząc ją

wzrokiem, trzymał się jednak z daleka.

Fia wzruszyła ramionami.

- Ja tylko powtarzam, co mi powiedziano, i stwierdzam, że Ash może stanowić model dla takich potworów.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ... - Fia podniosła wzrok na ozdobny gipsowy sufit, szukając odpowiednich słów - ...ponieważ wygląda jak drapieżnik. A kiedy widzę, jak noc po nocy poluje wśród gości Carra, muszę przyznać, że jest drapieżnikiem. Damy nie mają mu tego za złe. Przypuszczam, że wszystkie chętnie dałyby się poturbować mojemu bratu.

Rhiannon nie zareagowała na tę uwagę, chociaż nie wątpiła, że to prawda. Widziała kobiety, które odwiedzały Rumieniec Ladacznicy.

Chciwe, zachłanne, patrzyły na niego z takim samym wyrazem, jaki widziała w jego oczach wieki temu, w innym życiu.

- On sprawia wrażenie... sama nie wiem - ciągnęła Fia. - Jego oczy... - Zatoczyła kółka dłońmi przed swoją twarzą. - Są puste, bez wyrazu, jakby działał powodowany instynktem, a nie celem wyznaczonym przez rozum. Za dużo pije. Rzadko jada.

Rhiannon wciągnęła gwałtownie powietrze. Nie to, żeby martwiła się o Asha; po prostu nie znosiła takiej bezmyślności.

- Naprawdę będzie trupem, jeśli nie zejdzie z tej drogi - mówiła Fia.

-

Spala się od środka. To ciekawe widowisko. Powinnaś wyjść z

tej swojej wieży, panno Russell, choćby po to, żeby być świadkiem ostatnich godzin Asha.

- Nie mów tak! - burknęła Rhiannon. - Jak możesz mówić w ten sposób o własnym bracie?

- Panna Russell ma rację! - rozległ się głos Gunny stojącej w drzwiach. Fia odwróciła się do niani. - Nie powinna panienka tak mówić. Panna Russell nie zna i nie rozumie waszej rodziny.

- Nie dziwię się - rzekła Fia spokojnie, chociaż jej policzki poczerwieniały. - Sama jej nie rozumiem. Szkoda, że tego nie widziałaś, Gunno. O mało nie urwała mi głowy tylko dlatego, że powiedziałam, co się dzieje z Ashem...

- Nie życzę sobie o nim rozmawiać - powiedziała Rhiannon stanowczo, próbując wyrzucić z myśli obraz wyczerpanego, zniszczonego hulaszczym życiem Asha.

- Zatem nie będziemy - oświadczyła Gunna, idąc w stronę wysokiej komody, na której leżały grzebień i szczotka. - Wybierasz się jak zwykle na poranny spacer, panno Russell?

- Tak - odparła Rhiannon z wdzięcznością.

- To pozwól mi rozczesać ten kołtun. A ty lepiej idź do łóżka, panienko - dodała, zwracając się do Fii. - Sama nie wyglądasz za dobrze.

To nie zrobiło na dziewczynie wrażenia. Dziewczyna nie przejawiała cienia próżności. Mniej dbała o swój wygląd niż

ktokolwiek spośród osób, które Rhiannon знаła, a zdarzało jej się nawet działać na szkodę własnej urody.

- No, dalej, panienko - ponagliła Fię Gunna. - Możesz porozmawiać z panną Russell wieczorem, zanim zejdziesz na dół.

- No dobrze. - Fia zeskoczyła lekko z łóżka i przepłynęła z wdziękiem przez pokój. Nie odwróciła się, wychodząc, ani nie wykonała żadnego pożegnalnego gestu.

Gunna patrzyła za Fią, a Rhiannon przyglądała się staruszce.

Gunna naprawdę kochała to dziwaczne stworzenie.

- Nie zaznała tego dobrego co ty, panienko - mruknęła, nie spuszczać oczu z drzwi, za którymi znikła Fia. - A i tak jest lepsza, niż można by oczekiwać, i lepsza, niż ktokolwiek sobie wyobraża.

Rhiannon zawstydziała się własnego braku zrozumienia. Kto wie, kim by się stała, gdyby się wychowywała w tym dziwnym pałacu rozpusty?

- Zawstydzasz mnie, Gunno. Chodziło mi tylko o to, że Fia wydaje się pozbawiona współczucia dla... innych, i uważam to za nienaturalne.

- Zna współczucie i czuje ból - mruknęła Gunna. - Tak jak ty, panienko. Dla niego.

Rhiannon pokręciła głową.

- Tak samo troszczyłabym się o wściekłego psa.

- Takie masz miękkie serce? - Gunna zachichotała. - Musiałas się tego nauczyć w tej twojej wiosce, bo żadnemu Russellowi, o

jakim słyszałam, nie zarzucano, że ma miękkie serce.

- Znałaś Russellów na tyle dobrze, żeby oceniać ich charakter? -

Rhiannon chętnie podchwyciła nowy temat.

- Trochę - odparła Gunna.

Już parę razy robiła jakieś wzmianki na temat jej rodziny, a z

każdą taką uwagą ciekawość Rhiannon rosła. Kolejne imiona

wywoływały obrazy z dzieciństwa: Ross z Tilbridge o gęstych,

krzaczastych brwiach; Jamie Culhane, rudowłosy starzec; lady

Urquardt, koścista dama, wielbicielka spanielków.

Rhiannon słuchała tych opowiastek i przypominała sobie

przeszłość, której się wyparła.

- Mój ojciec. - Słowa wymknęły jej się bez zastanowienia.

170

- Co z nim? - zapytała Gunna, czesząc jej włosy.

- Czy... czy go znałaś?

- Słyszałam o nim.

- Jaki był?

- Porządny człowiek - odparła Gunna lakonicznie.

Począpała do komody w nogach łóżka i wysunęła szufladę.

Grzebała chwilę w środku, zanim wyjęła jasnoniebieską wełnianą

suknię.

- W tym będzie ci ciepło na spacerze, panienko. Jest zimno.

Powinnaś poprosić panienkę Fię o płaszcz, jeśli chcesz koniecznie

włóczyć się nad morzem. - Zadrzała lekko. - Nie wiem, co cię tam

ciągnie.

Rhiannon wstała, pozwalając Gminie włożyć sobie gorset i zasznurować.

- Jaki był? Prawie go nie pamiętam.

- Myślałam, że nie chcesz pamiętać. Niczego. Tyle mi powiedziałaś, kiedy tu przyjechałaś, a to już ponad tydzień.

- Ja nie... - szepnęła Rhiannon - nie sądzę, bym go znała na tyle, żeby coś zapamiętać.

Znowu usłyszała we własnym głosie szkocki akcent swojej matki. Drażniło ją to. Jej miejsce było w Fair Badden, nie tutaj. A jednak, czuła, jak zmienia się z każdym dniem. Na miejscu dawnej Rhiannon pojawiła się nowa istota, rezolutna panna ze szkockim akcentem, która - o ile można wierzyć Fii Merrick - niczego nie owijała w bawełnę.

- Och, to co innego - mruknęła Gunna, podtrzymując Rhiannon, kiedy wstępowała w rozłożony na podłodze wełniany krąg.

- Proszę, Gunno - powiedziała Rhiannon, gdy Gunna naciągała suknię na jej halki, jako że dziewczyna nie chciała nosić obręczy.

Stara niania westchnęła głęboko.

- Był godnym szacunku, uczciwym człowiekiem, panno Russell.

Kiedy McClairen rzucił wezwanie, twój ojciec odpowiedział na nie, zabierając ze sobą tylu ludzi, ilu zdołał.

- Ale jaki był? - naciskała Rhiannon.

- Nie znałam go. - Gunna pokręciła głową.

Trudno było spodziewać się czegoś innego. Jak i gdzie stara służąca miała poznać jednego z wielu szkockich wodzów klanów?

- Czy w Rumieńcu Ladacznicy jest ktoś, kto mógłby pamiętać jego albo moją matkę czy brata? Ktoś, kto mógłby mi coś o nich opowiedzieć?

Gunna zaprzeczyła.

- To nie była ziemia Russellów, moja droga. To była ziemia McClairenów.

Rhiannon chwyciła staruszkę za rękę.

- Ale moja rodzina była lojalna wobec McClairenów. Może jest wśród nich ktoś, kto znał moją rodzinę?

Gunna się zawahała.

- Gunno? Proszę. Kiedy przyjechałam, myślałam, że będą mnie nawiedzać duchy pomordowanych podczas represji. Ale jeśli nawet są tu duchy, to należą do tych nieśmiałych i trzeba je wywabić z kryjówek, żeby opowiedziały swoje historie.

- McClairenowie zostali wyjęci spod prawa, panienko - odparła

Gunna, wycofując ostrożnie rękę z lekkiego uścisku Rhiannon.

- Po prostu chcę posłuchać jakichś opowieści. - Kiedy to nabrało dla niej takiego znaczenia? - Historii, których matka nie miała okazji mi opowiedzieć.

Gunna przyglądała jej się przez chwilę, po czym odchrząknęła.

- Czy będziesz spacerować z panem Donnem?

Rhiannon spuściła wzrok, rozczarowana. Gunna uznała

widocznie, że nie można jej ufać. Mogłaby przysiąc, że stara kobieta znała jakichś McClairenów. Cóż, jeśli chce zdobyć jej zaufanie, nie powinna jej do niczego zmuszać.

- Nie - odparła. - Nie dzisiaj.

Thomas Donne zwykł spotykać się z nią po wczesnym śniadaniu i towarzyszyć w spacerze po tylnych ogrodach. Był przystojny, uprzejmy, okazywał jej serdeczną troskę. Dziś jednak nie miała ochoty na spacer po ogrodzie. Chciała pójść ścieżką, którą wypatrzyła przy furtce w głębi, wąziutką dróżką nad urwistym brzegiem morza.

172

Gunna nie odezwała się więcej. Dopięła suknię w pasie, a potem umocowała ozdobny trójkąt materiału, sięgający od brzucha po pierś.

Odsunęła się, przyglądając krytycznie swemu dziełu.

- Uważaj, panienko - powiedziała. - Nie podoba mi się, że będziesz tam sama.

- Ależ nie będę - odparła Rhiannon, myśląc o Ashu, zawsze pilnie śledzącym ją z okna.

Rhiannon otworzyła furtkę i ruszyła ostrożnie wąską dróżką nad urwiskiem. Szła jakiś czas, aż dotarła do skalnego występu zwieszającego się nad morzem. Nie przejmując się pożyczoną suknią i cienkimi pantofelkami, wdrapała się na niego.

Wiał silny wiatr; kosmyki włosów chłostały ją po policzkach i

szyi, gwałtowne porywy targały suknię. W dole fale rozbijały się na poszarpanych skałach brzegu, wywołując wilgotną mgiełkę lśniąca w promieniach słońca. Nad nią kołowało stado śnieżnobiałych mew.

Rhiannon zamknęła oczy i uniosła ramiona, wyobrażając sobie, że ona też potrafi latać. Miała wrażenie, że robiła to już przedtem!

Stała gdzieś wysoko nad tym samym morzem, rozpościerając ramiona i marząc o lataniu.

Zadrzała, ale nie ze strachu, jaki poczuła, patrząc na morze po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała. Zadrzała z emocji. Kiedyś kochała morze. Zapomniała...

- Cofnij się.

Otworzyła gwałtownie oczy na dźwięk jego głosu i obróciła się, ale obcas bucika uwiął w skalnej rozpadlinie i zaczęła się zsuwać...

Silne ręce uniosły ją do góry i przycisnęły plecami do twardej piersi.

- Dobry Boże, co ty sobie myślisz? - Głos Asha, niski i ciepły, rozległ się tuż koło jej ucha, jego wargi dotykały włosów na jej skroni.

Nie zwolnił uścisku. Między łopatkami czuła uderzenia jego serca, na pośladkach nacisk mięśni jego ud.

To wystarczyło, by wzbudzić w niej tak potężną tęsknotę, że niemal odwróciła się w jego ramionach, aby objąć go za szyję.

Czyżby była tak zepsuta jak kobiety, które, według opowieści

Fii, dyszały na jego widok?

- Nie wolno ci! - warknął gniewnie. - Nie wolno. Boże, nie tutaj.

Ani nigdzie!

Poruszyła się, zaskoczona tymi słowami. Próbowwała się uwolnić, ale trzymał ją mocno, sprawiając ból. Nagle zdała sobie sprawę, co właściwie powiedział, Mój Boże, myślał, że ona chce się rzucić do morza, podczas gdy ona tęskniła za jego ciałem! Zachichotała mimo woli.

Ash potrząsnął nią gwałtownie.

- Do diabła z tobą! Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że uciekniesz mi w taki głupi sposób.

Szarpnęła się, ale nadal jej nie puszczał. Zamiast tego obrócił ją twarzą do siebie i znowu zamknął w żelaznym uścisku. Ujął ją za brodę i podniósł głowę do góry, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy. Odślonił zęby we wściekłym grymasie.

- Przywiążę cię do łóżka i będę ci siłą podawał jedzenie i picie.

Mogę cię tak trzymać całą wieczność, ale nie pozwolę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

Jego gwałtowność przeraziła ją. Człowiek, który przyjechał kiedyś do Fair Badden, znikł bez śladu, a zamiast niego pojawił się ten obcy mężczyzna o płonących oczach.

- Nie zamierzałam rzucić się ze skały - powiedziała. -

Przysięgam.

Patrzył na nią przez pełną minutę, zanim palce, które wbijały się w jej skórę, rozluźniły się. Przestała się bać.

Ale ogarnął ją gniew. Ash Merrick uważał ją za żalostną istotę, która wolałaby się zabić niż tu mieszkać. Myślał, że jego zdrada tak nią wstrząsnęła, iż życie straciło dla niej znaczenie.

Cóż, może nigdy nie zdoła zapomnieć tego, co zaszło między nimi, ale nadal miała swoją dumę. Wciąż była Rhiannon Russell.

- Nic, co ty albo twoja rodzina możecie mi zrobić, nie zmusi mnie do odebrania sobie życia - powiedziała drżącym głosem.

Przyglądał jej się badawczo.

-

Widziałam, jak mojego ojca zakłuto bagnetami, bo wolał umrzeć niż zdradzić, gdzie są jego ludzie. Widziałam, jak wujowi strzelono w głowę; do ostatniej chwili okazywał wrogom pogardę, mimo że leżał bezradny na zmarzniętym wrzosowisku. Mam w

174

żyłach ich krew. Jak śmiałeś pomyśleć, że mogłabym się zabić z powodu kogoś takiego jak ty?

- Błagam o wybaczenie - wykrztusił przez zdrętwiałe wargi. -

Powinienem był się domyślić.

- Tak. - Patrzyła na niego z odrazą. - Zabierz ręce ode mnie! Są brudne. Nie jestem jedną z tych twoich wyuzdanych ladacznic, które drżą z niecierpliwości, żeby się przekonać, czy twoje uściski są równie dzikie jak twój wygląd!

Cofnął ręce i odwrócił wzrok, jakby jej widok sprawiał mu ból.

Spojrzał na wzburzone morze, oddychając ciężko.

Czarne włosy opadające na chude policzki i szczękę pokrytą ciemnym zarostem były matowe i niechlujne. Pod oczami miał fioletowe plamy, a koło brwi siniaka.

Już miała odejść, kiedy zauważyła, że ręce spuszczone wzdłuż boków drżą mu lekko. Spojrzała ponownie na jego odwróconą profilem twarz, tym razem z większą uwagą.

Stwierdziła, że jego bladość nie była chorobliwa, tylko krew po prostu odpłynęła mu z twarzy. Jego policzki z wolna się zabarwiały, postawa zaś wskazywała na nagłe, bardzo gwałtowne przeżycie, a nie złość. On się bał, uświadomiła sobie ze zdumieniem. Był przerażony. Z jej powodu.

Zmieszana, nie potrafiła się połapać we własnych uczuciach.

Chciała go dotknąć, wygładzić zmarszczki na czole i w kącikach oczu. Chciała krzyknąć i złorzeczyć z powodu tego, co jej zrobił- co im zrobił.

Nie zdobyła się na nic takiego. Odwróciła się i zaczęła mijać

Asha, kiedy na skale za jego plecami zobaczyła kolorową płachtę materiału, pled w fioletowo-złotą-zieloną kratę. Podniosła go i ponownie odwróciła się do Asha. Patrzył na nią.

- Co to jest?-zapytała.

Kąciki jego ust uniosły się w kpiącym uśmiechu.

- Gunna powiedziała, że wyszłaś bez okrycia. Nie dam ci zginąć,

Rhiannon. Ani z własnej ręki, ani przez surowość przyrody. To jest pled McClairenów.

Spojrzała na pled, a potem na Asha, coraz bardziej oszołomiona.

- Dlaczego? - szepnęła.

175

- Gunna powiedziała, że pytałaś o swoją rodzinę. Historie twojej rodziny i rodziny mojej matki przeplatają się. - Mówił beznamiętnym tonem.

-

Weź ten pled. Ale nie pozwól, żeby Carr go zobaczył. Wszystko, co przypomina McClairenów, wprawia go we wściekłość.

Podarował jej fragment jej historii, fragment przeszłości. Nie mogła mówić ze wzruszenia. Owinęła się pledem jak cenną relikwią.

- Dziękuję. - Musnęła jego dłoń w spontanicznym geście wdzięczności.

Skrzywił się szyderczo.

- Nie dziękuj mi. To tylko stara szmata. I nie przychodź tu więcej.

-

Jego wzrok powędrował w stronę gładów u podstawy urwiska.

Policzek drgnął mu nerwowo. - Tu nie jest bezpiecznie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, minął ją i odszedł. Nie obejrzał się za siebie.

Ash usłyszał głos Carra w holu za drzwiami. Szybko zdjął kubrak, wyciągnął koszulę z bryczesów i opadł na jeden z rzeźbionych foteli stojących przy biurku.

Nie ośmieliłby się wejść do gabinetu ojca, gdyby nie zauważył, że

Carr odchodzi od stołu gry w sąsiednim pokoju i kieruje się do holu.

Drzwi gabinetu pozostały otwarte.

Przeszukiwanie biurka wiązało się z dużym ryzykiem, ale odkąd tu wrócił, po raz pierwszy nadarzyła się okazja, żeby odkryć, dlaczego ojciec zainteresował się Rhiannon.

Teraz, kiedy Carr otworzy drzwi, znajdzie syna rozpartego na jednym ze swoich cennych importowanych foteli, z głową zwieszoną na piersi, jedną ręką wiszącą bezwładnie z boku, a drugą zaciśniętą na opróżnionej do połowy butelce z winem. Ash poczuł na dłoniach zimny powiew od drzwi.

Uchylił lekko powieki, obserwując ojca. Spojrzenie Carra obiegło pokój i zatrzymało się nieco dłużej na półce nad kominkiem.

A więc to tam trzymał swoje skarby. Wreszcie Carr dostrzegł syna.

- Co ty tu robisz? - zapytał,

- Co mówisz? - wybełkotał Ash. - Wygrałem?

176

- Co ty tu robisz? - powtórzył Carr.

Ash spojrzał na ojca nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki. Uniósł się trochę w fotelu i rozejrzał po pokoju.

- Czy to wychodek?

- Co?! - zagrzemiał Carr.

Zamroczenie na twarzy Asha ustąpiło miejsca zrozumieniu, a następnie pijackiemu rozbawieniu.

- Do diabła - wykrztusił, śmiejąc się. - Tak mi przykro. Trochę mnie zmogło. Musiałem odejść w połowie gry. Pomyślałem, że ten fotel to wychodek. W Londynie siedziałem na paru takich. - Pochylił się i przyjrzał rzeźbionym nogom krzesła. - Przysięgam, nigdy nie widziałem lepszego kandydata na wychodek.

Carr poczerwieniał z wściekłości.

- Ty świnió! Sprowadziłem ten fotel z Maroka! Jeśli go pobrudziłeś, to...

Złapał syna za ramię i postawił go na nogi. Ash zwiśł bezwładnie w uścisku ojca. Uśmiechał się głupawo.

- Nie. Myślę, że najpierw zasnąłem.

Z pomrukiem obrzydzenia Carr odepchnął syna. Ash opadł z powrotem na fotel. Z twarzy lorda znikła podejrzliwość; stała się gładka i nieprzenikniona jak u gada.

Dlaczego miałby coś podejrzewać? - pomyślał Ash. Spędził prawie dwa tygodnie na przekonywaniu ojca, że odkrył nowe wymiary zepsucia - że przyjmie każdy zakład, zrobi wszystko, byleby zdobyć pieniądze na wykup Raine'a. Odbicie w lustrze ukazywało szarą twarz i oczy podkrążone z niewyspania. Podczas gdy inni mężczyźni używali perfum i pudru, Ash namaszczał się stęchłym piwem i potem.

- Znowu chlejesz, Merrick - burknął Carr. - Ale doceniam twoje wysiłki. Zebrałem całkiem sporą sumkę, zakładając się, ile butelek wydudlisz, zanim wieczorem stracisz przytomność.

- Chcesz się podzielić zyskiem? - zapytał Ash beczelnie. - Nie?

Tak myślałem. - Poruszył się w fotelu. - Jak na krzesło, które nie jest wychodkiem, jest cholernie niewygodne.

- Jest bezcenne.

- Wątpię - odparł Ash. - Założę się, że potrafisz bardzo dokładnie

177

określić jego cenę. - Otoczył ramieniem oparcie, przechylając się w tę stronę całym ciałem. - Nowe, prawda? Mnóstwo nowych ozdóbek w naszej rodowej siedzibie... no, niezupełnie naszej rodowej, ale kto wie?

- Odnawiam wszystko - stwierdził Carr chłodno. - Nigdy nie rozumiałeś, czego próbuję tutaj dokonać. Jakżebyś mógł?

Staął za fotelem, pieszcząc palcami oparcie.

- Potrzebuję piękna, tak jak ty potrzebujesz picia, Merrick. Życie to zwykły proces zwierzęcego przystosowania, ale sztuka to mutacja pod kontrolą, którą tylko koneser jest w stanie pokierować...

Ash wiedział, że kiedy Carr dawał się porwać potokowi własnej wymowy, nic nie mogło go powstrzymać. Nie odrywał więc oczu od twarzy ojca, ale pozwolił myślom pójść własnym torem.

Miał mało czasu, żeby przeszukać biurko. Przejrzał pobieżnie księgę przychodów i rozchodów, odkrywając w starannie prowadzonych kolumnach dwie rzeczy: po pierwsze, renowacja Rumieńca Ladacznicy pochłonęła dużo więcej pieniędzy, niż znajdowało się w posiadaniu Carra; po drugie, co kwartał na rachunek wpływała znaczna suma niewiadomego pochodzenia.

Co do listów, okazały się mało interesujące. Supliki w sprawie

przedłużenia spłaty długów przewyższały liczebnie prośby o zaproszenie do Rumieńca Ladacznicy. Przeplatały się z nimi szczegółowe plany gipsowych sufitów i marmurowych fryzów; oferty i specyfikacje architektów, rzemieślników i projektantów ogrodów; żądania zapłaty od kamieniarzy za cięcie marmuru i od tkaczy.

Tylko jeden list zwrócił uwagę Asha, związała wiadomość od jednego z dłużników ojca - lorda Tunbridge'a. Lord pisał o przebitej dłoni, błagał o jeszcze parę miesięcy, żeby móc spłacić dług, a kończył w ten sposób: *Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby przekonać Jego Wysokość, żeś się rzeczywiście zmienił na lepsze. To zajmie trochę czasu i podczas gdy będę działał w Twojej sprawie, proszę Cię, abyś zachował ostrożność.*

Zanim Ash zdążył poszukać innych listów z pieczęcią Tunbridge'a, usłyszał głos ojca:

- ...Donne

mógłby

mnie

od

niej

uwolnić.

Podniósł głowę i napotkał czujny wzrok Carra.

Ash chwycił butelkę wina i pociągnąwszy długi łyk, spytał:

178

- Uwolnić od kogo? Od Fii?

Wiedział, że ojciec nie mówi o Fii, tylko o Rhiannon. Nawiedzała go w snach i mąciła rozum. Nawet w trakcie najbardziej szalonej zabawy łapał się na tym, że po raz kolejny przeżywa chwilę, kiedy Carr powiedział Rhiannon, że obiecał mu pieniądze za sprowadzenie jej do Rumieńca Ladacznicy. Widział, jak kruche zaufanie w jej oczach zniknęło i zastąpiła je gorycz cynizmu.

Najbardziej jednak prześladowało go wspomnienie chwili nad urwiskiem, kiedy żalсна wdzięczność za podarty pled matki pokonała jej dobrze zrozumiałą odrazę, tak że wyszeptała podziękowanie, dotykając jego dłoni. Nadal czuł ten dotyk, niczym wypalone piętno.

Jak gorączka, której nie sposób zwalczyć, żyła w nim, niszcząc jego postanowienia i kpiąc z zamiarów. Powinien skupić się na tym, żeby wygrać jak najwięcej pieniędzy na okup za brata, tymczasem siedział tu i szukał wyjaśnienia, dlaczego Carr po nią posłał.

- Nie od Fii. Od mojej nowej podopiecznej - usłyszał głos ojca.

- Donne poprosił o rękę Rhiannon Russell? - wymamrotał, podnosząc butelkę i przyglądając się smętnie resztce wina, jakie w niej zostało.

- Jeszcze nie - odparł Carr. - Ale łązi za tą dziewczyną jak cień.

Nic ci o tym nie wiadomo?

Nie, nie wiedział, a powinien był wiedzieć. Dobrze płacił za informacje na temat Rhiannon Russell i otrzymywał szczegółowe raporty: o której wstawiała, w co się ubierała, jaką książkę czytała. Ale nie o tym, że Donne się do niej zaleca. Ash wzruszył ramionami.

- Dlaczego chcesz się pozbyć Rhiannon Russell? - zapytał. -

Dopiero co dałeś mi grubą sakiewkę za to, że ją przywiozłem.

- Trudno wszystko przewidzieć - stwierdził Carr jedwabistym głosem. - Po prostu rozważam możliwości.

- Nigdy nie zdarzyło ci się napisać pierwszego słowa w liście, nie wiedząc, jak go zakończysz - mruknął Ash z sarkazmem. - Jestem ciekaw, jakie miałeś plany, posyłając mnie po Rhiannon Russell.

Carr spojrzał mu w oczy.

- Tak cię to ciekawi, Merrick? A to dlaczego? Ash dobrze znał taktykę ojca; nie pozwolił odwrócić swojej uwagi tym pytaniem.

179

- Czego

chcesz

od

Rhiannon

Russell?

-

naciskał.

Carr usiadł i wygładził satynowe bryczesy.

- Naprawdę nie wiedziałem, co się z nią dzieje, aż do niedawna -

wyjaśnił znudzonym głosem. - Jakiś mężczyzna wymienił jej imię i

powiedział, że mieszka w jego wsi. Zapytałem go o nią. Okazało się, że

to ta sama dziewczyna, której mój służący nie wpuścił do domu w

Londynie lata temu.

Ash się roześmiał.

- Nie mów mi, że gryzło cię sumienie.

- Oczywiście, że nie - parsknął Carr. - Powiedziano mi, że jest ładna. Wiedziałem, że jest dziedziczką bogatej niegdyś rodziny. Uznałem, że w jej posiadaniu mogą się znaleźć pieniądze, kosztowności i co tam zdołali zebrać. Postawiłem na to.

- Fascynujące. - Ash łyknął wina. - Zechciej kontynuować.

- Reszta wydaje się teraz nieciekawa. Jednak na moją obronę muszę dodać, że czułem się zmuszony do pośpiechu. Wysłałem cię, mając nadzieję przeszkodzić jakiemuś prowincjuszowi w poślubieniu jej i zgarnięciu spadku. Gdyby panna Russell okazała się dziedziczką, byłbym bardzo niezadowolony, jeślibyś wrócił z wieścią o jej ślubie.

Ash trochę się zdziwił, że Carr powiedział mu aż tyle. Z reguły nigdy nikomu niczego nie wyjaśniał.

- Niestety - ciągnął - dziewczyna nie ma nic. Jest nędzarką, jak zapewne wiesz.

- Tak. - Ash otarł usta rękawem. - A co to za mężczyzna powiedział ci, że ona jest w Fair Badden?

- Jakiś młody Goliat nazwiskiem Watt. Przyjechał tutaj ze swoimi przyjaciółmi ze wsi, spragnionymi rozrywek. - Carr się uśmiechnął.

-

Koszt ich raczej zaskoczył.

Watt? Ash pamiętał, że St. John wspominał o spotkaniu z jego ojcem, ale nikt nie powiedział, że Phillip też tu był. Skąd to

przeoczenie?

- Twoje zainteresowanie tą dziewczyną wydaje mi się niezrozumiałe

- rzekł Carr.

Ash był na to przygotowany.

180

- Dlaczego? - odparł gładko. - Potrzebuję pieniędzy. Myślałem, że ona je ma, podjąłem więc pewien wysiłek, żeby jej się spodobać.

Szkoda, że poszedł na marne.

- Uwiodłeś ją.

Ash machnął ręką.

- Nie. Chociaż ona może myśleć, że została uwiedziona. Wiesz, jakie są te niewinne panienki trzymane pod kloszem. Wystarczy pogrzebać chwilę przy ich spódnicy, a już myślą, że nie wiadomo co się stało.

- Cóż, jeśli Thomas Donne ulegnie patriotycznemu porywowi i oświadczy się o tę dziewczynę, z pewnością doceni twoją powściągliwość. - Spojrzenie Carra spoczęło na dłuższą chwilę na twarzy syna.

Ręka Donne'a pieszcząca jedwabiste ciało Rhiannon. Jej usta rozchylające się pod dotykiem jego ust. Jej gładkie uda ciasno owinięte...

- To się świetnie składa, nieprawdaż? - Ash zdołał uśmiechnąć się obojętnie.

- Jak długo zamierzasz zostać w Rumieńcu Ladacznicy, Merrick?

Ash poczuł ucisk w gardle. Carr nie może go odesłać. Wzruszył

ramionami.

- Nie wiem. A dlaczego pytasz? Żałujesz mi pokoju?

- Pokoju nie, ale wygrywasz więcej, niż tracisz, i to kosztem moich gości.

Ash parsknął rozbawiony.

- Nie chciałem ci odbierać terenów łowieckich.

- Ale zrobiłeś to - powiedział Carr. - Obawiam się, że nie widzę żadnej korzyści w trzymaniu cię tutaj.

- Nie mam dokąd pójść - odparł Ash.

- Jeśli zamierzasz zostać, lepiej, żebyś przynosił korzyści. Mnie.

Ash przez chwilę wpatrywał się w podobne do klejnotów niebieskie oczy ojca. Rozkaz był wyraźny.

- Sądzę, że będę w stanie cię zabawić... i wzbogacić. - Pozwolił, aby głowa mu opadła na oparcie i zamknął oczy.

- Oby tak się stało - rzekł Carr.

Ash nie odpowiedział, udając nadąsanie. Minęło pięć minut, zanim usłyszał oddalające się kroki ojca. Drzwi się otworzyły i zamknęły.

181

Uchylił powieki i podniósł się z trudem. W głowie miał wate, język mu wysechł, żołądek buntował się przeciwko nadmiarowi wina i niedostatkowi jedzenia. Oblepiał go brud po nieprzespanych nocach; śmierdział.

Spalał się.

Powinien odejść. Ale nie zrobi tego, nie może jej tutaj zostawić.

Najzabawniejsze w tym wszystkim, że zostając, niczego nie zyskiwał. Nawet uśmiechu z jej strony. Dla Rhiannon nie był człowiekiem, lecz pożądanym, ogłupiałym od alkoholu zwierzęciem. Inaczej jednak ojciec nigdy by mu nie pozwolił zostać w Rumieńcu Ladacznicy. Dopóki Ash zachowywał się jak zwierzę i sprawiał wrażenie pijanego, tolerował go. W innym wypadku nie czułby się bezpiecznie.

Marzył, żeby powiedzieć o tym Rhiannon, ale wiedział, że nie może. Była zbyt naiwna, zbyt niedoświadczona. Nie rozumiała całej tej obłudy i kłamstw, które stanowiły część życia w Rumieńcu Ladacznicy. Poza tym nigdy by mu nie uwierzyła. Carr był przystojny, czarujący, pełen troski.

A on... on był potworem.

Tylko za tę cenę mógł z nią tu być. Ale dopóki nie widział u Rhiannon odrazy, był gotów ową cenę płacić. Z tą smętną myślą powlókł się do drzwi i otworzywszy je, zamrugał oczami jak jakieś podziemne stworzenie, które wyszło na światło dzienne. Uniósł rękę, szukając ściany, żeby się oprzeć.

Wtedy ją zobaczył. Światło słońca lśniło w jej włosach i ukazywało z niezwykłą wyrazistością wyraz jej twarzy. Niechęć.

Litość. Obrzydzenie.

Tego mu było za wiele.

- Wynoś się stąd - warknął chrapliwie. - Natychmiast!

- Wstawaj, cuchnący psie!

Ash przewrócił się na materacu, szukając po omacku czegoś,

czym mógłby rzucić; nie znalazłszy niczego, burknął:

- Wynoś się, Gunno! Twoje czułości nie są mi potrzebne!

Drzwi się zatrzasnęły. Ash skrzywił się z bólu, głowa mu pękała od

hałasu. Dobrze. Chciał tylko, żeby go zostawiono w spokoju. Zniósł już

wszystko, co musiał znieść...

Zdumiewająco silna dłoń chwyciła go za włosy.

- Cholera, wiedźmo! Czy chcesz mi urwać głowę? -jęknął.

- Nie chcę jej -parsknęła Gunna. -Jeszcze parę dni takich jak ostat-

nio i twoja głowa tak się ukisi, że będzie służyła tylko za ozdobę. -

Zachichotała.

- Jesteś czarownicą.

- A ty hułtajem. Co ty sobie myślisz, panie Ash? Postępując w ten

sposób, nie zdobędziesz uznania dziewczyny.

Ash znieruchomiał. Gunna zawsze w zdumiewający sposób

potrafiła odgadnąć jego myśli i motywy.

- Niepotrzebne mi jej uznanie - mruknął.

Usłyszał, jak Gunna mlasnęła językiem.

- Chcesz zatem jej serca, chłopcze. I nie staraj się zaprzeczyć, bo ci

nie uwierzę.

- Robisz się cholernie sentymentalna na starość, Gunno. - Gniew

mu przeszedł, ogarnęło go straszliwe zmęczenie. Uśmiechnął się lekko. -

Chociaż ty we wszystkim zawsze dopatrywałaś się czegoś dobrego.

Dziwne po tylu latach służby u niego.

- Nie jest całkiem zły - powiedziała Gunna, a potem dodała

trzeźwo: - Choć przyznaję, że jest głównie zły.

Roześmiał się cicho. Gunna patrzyła na niego z czułością.

- Poradzisz sobie, paniczu, jeśli dasz sobie szansę. Jesteś silny i twardy, wykuty w ogniu i lśniący jasno jak ten sztylet, który nosisz.

Człowiek pełen namiętności. Ale to żaden wstyd.

Śmiech zamarł mu na ustach.

- Boże! Spójrz na mnie; pomyśl, co zrobiłem. Nie jestem „lśniący”!

- Ależ jesteś - odparła cicho, gładząc go po głowie.

- Pewnie myślisz, że Raine też jest święty.

- Też? - powtórzyła Gunna. - Nie pamiętam, żebym cię nazwała świętym, Ashu Merricku. Co to, to nie. Pana Raine'a też nie uważam za świętego. Jest ryzykantem i daje się ponosić emocjom, tak jak ty ukrywasz swoje.

- Raine jest diabłem - rzekł, zerkając na Gunnę. Stała spokojnie w nogach łóżka z rękami złożonymi na brzuchu. - Jeśli ktoś poświęca życie, żeby bronić diabła - zapytał - to kim jest? Demonem?

Gunna puściła te słowa mimo uszu.

- Boję się najbardziej o panienkę Fię. Jest taka wrażliwa.

Ash usiadł na materacu.

- Nie musisz martwić się o Fię. To zapatrzony w siebie manekin. W starciu między moją siostrzyczką a światem postawiłbym

na nią i dał światu dziesięciopunktowe fory. Carr ją rozpieszcza.

- Tak - mruknęła Gunna. - Jeszcze się nie przekonała, jaki

naprawdę jest jej ojciec. Kiedy to nastąpi, boję się, jak biedaczka to znieśie.

- Podejrzewam, że wzbudzi w niej podziw dla grzechu.

Zdeformowane usta Gunny wykrzywiły się z dezaprobatą. Uraził ją.

Szczerze i głęboko troszczyła się o Fię. Czasami jednak dobre serce widziało tylko to, co chciało zobaczyć.

- Zapytaj pannę Rhiannon Russell o rzeczywistość, i to, jak ją widzimy - mruknął.

- Pannę Russel? - Gunna podeszła bliżej łóżka. - Coś ty jej zrobił, paniczu, że tak z tego powodu cierpisz?

Po co zaprzeczać? Gunna i tak nie uwierzy.

- Pozbawiłem ją paru złudzeń - odparł. - Uwiodłem, a potem naopowiadałem bajek o tym, że narzeczony próbuje ją zabić. Porwałem ją w przeddzień ślubu i przywiozłem tutaj. - Wzruszył ramionami. - Coś w tym rodzaju.

- Paniczu Ash.

- Jasno lśniące ostrze, co, Gunno? - zapytał spokojnie. Nie zdziwił się, słysząc szuranie jej stóp, kiedy wychodziła z pokoju.

-

- Chodź, dziewczyno. Nic nie możesz zrobić. Carr wydał polecenie, a lepiej mu się nie sprzeciwiać - powiedziała Gunna.

- Nie chcę widzieć jego gości - odparła Rhiannon, kręcąc głową.

Było późne popołudnie. Kilka poprzednich godzin Rhiannon spędziła, wędrując po pokojach od strony morza. Większość nie była zajęta, zarastały pajęczyną.

Gunna znalazła jawn najstarszej części zamku, w wieży, która uniknęła renowacyjnych zabiegów Carra. Ściany były gołe, podłoga odsłonięta, ale ławka pod oknem wyłożona miękkimi poduszkami.

Słońce grzało przyjemnie.

- Nie możesz się tu chować w nieskończoność, panienko - powiedziała łagodnie stara niania.

- Nie chowam się - odrzekła Rhiannon, w pełni świadoma, że było dokładnie na odwrót. - Dlaczego miałabym to robić?

- W pokoju służby gadają różne rzeczy.

- Naprawdę? A co takiego mówią?

- Nie chciałabyś wiedzieć. - Wzięła dziewczynę za rękę, próbując ją podnieść. - Głupie gadanie. Szkoda otwierać ust, żeby pleść trzy po trzy.

Rhiannon nadal siedziała. W dole morze lśniło w słońcu.

- Chciałabym wiedzieć.

Zapadłe oko wyglądające spod wełonu patrzyło na nią nieufnie.

Rhiannon nie mogła oprzeć się wrażeniu, że stara Szkotka zastanawia się, co o niej myśleć.

- W pokoju służby mówią - odezwała się w końcu - że pan Ash cię wykorzystał i dlatego nie chcesz mieć z nim nic wspólnego i trzymasz

się na uboczu, Ze strachu przed nim.

Rhiannon wysunęła rękę z uścisku Gunny. Wszyscy wiedzieli.

Wiedzieli tak dużo i tak mało.

- Ale inni - ciągnęła Gunna ostrożnie - mówią, że pęka ci serce z miłości do niego. Nie chcę cię urazić, panienko, ale wiem, jak to bywa.

Moja świętej pamięci siostra kochała mężczyznę, który złamał jej serce.

Wziął od niej wszystko, co kobieta może dać, a potem ją porzucił. Czy tak właśnie postąpił z tobą Ash Merrick?

Rhiannon patrzyła na starą nianię szeroko otwartymi oczami. Sio-

stra Gunny i ona przeżyły podobne historie, ale mężczyzna, który wykorzystał ją, nie porzucił jej, tylko zrobił coś gorszego: wykradł ją - i jej serce.

185

Uświadomiła sobie nagle, że pragnie zwierzyć się Gunnie. Tak

tęskniła za Edith. Nigdy wprawdzie nie zamęczała jej swoimi

troskami, ale ukochana przybrana matka pocieszała ją samą swoją obecnością.

Rhiannon zerknęła na Gunnę. Minęły długie lata, odkąd się

komuś zwierzała. Ash był najbliższy zburzenia murów, za którymi

ukrywała się przed innymi i przed swoją przeszłością.

- Czy tak właśnie było? - powtórzyła cicho Gunna.

Może nadszedł już czas.

- Jeśli przez „wykorzystał” masz na myśli, że posiadał mnie siłą

- odparła Rhiannon powoli - to nie. Jednakże ukrył swoją prawdziwą

naturę i nie widziałam obłudy za jego piękną twarzą. Zdradziłam samą siebie.

Pobrużdżone czoło Gunny zmarszczyło się jeszcze bardziej.

- I tego nie mogłaś mu... wybaczyć.

- On nie prosi o wybaczenie - odparła. - Zrobiłby to samo jeszcze raz. Tak mi powiedział.

- A ty? - spytała Gunna. - Dałabyś się oszukać po raz drugi?

Rhiannon spuściła wzrok na swoje dłonie, nie będąc w stanie odpowiedzieć. Chciałaby powiedzieć: „Nie, oczywiście, że nie”, ale uczciwość nie pozwalała jej kłamać.

Prawda była taka, że dawała się oszukać za każdym razem, kiedy na niego patrzyła. Nadal ją pociągał, jego męskość wciąż miała dla niej nieodparty urok.

- Kochasz go? - Pytanie było tak ciche, że mogło je zadać własne serce Rhiannon.

- Zafascynował mnie. Ale nie jest tym, za kogo go wzięłam. -

Mówiła do Gunny czy do samej siebie? Staruszka pociągnęła ją za rękę i dziewczyna wstała.

Opierając się na ramieniu Rhiannon, Gunna podreptała w stronę stromych schodów wieży.

- Jakże to?

- Jest okrutny. I bezwzględny. Dostaje to, czego chce. A chciał mnie. Na jedną noc.

Gunna zaczęła ostrożnie schodzić. Nie odrywała oczu od

schodów, ale po chwili odezwała się:

186

- Jestem tu od wielu lat i też nie znam dobrze Asha Merricka.

Był już prawie mężczyzną, kiedy przyszedł, żeby zajmować się panią Fia. O ile jednak mogę się zgodzić, że jest bezwzględny, o tyle myślę, że nie mógł być inny. Gdy czegoś chciał, to nie pamiętam, żeby się do tego przyznawał. Nigdy by nie dał ojcu takiej przewagi nad sobą. Carr ma i bez tego wiele sposobów, żeby nagiąć panicza Asha do swojej woli.

- Dlaczego? - zapytała, chcąc zrozumieć człowieka, który miał nad nią taką władzę.

Gunna zatrzymała się na podeście schodów.

- Goście Carra powiadają, że Ash Merrick jest najlepszym hazardzistą w Szkocji, Anglii i wszędzie indziej. A musisz też wiedzieć, że panicz Ash potrafi posługiwać się tym ostrzem, które przy sobie nosi. Ludzie boją się go. Myślisz, że taki człowiek nie przydaje się, by szepnąć wrogowi groźbę do ucha? Albo kogoś wyzwać? Albo zrobić w Londynie coś, czego Carr sam nie może załatwić, bo musi przebywać tutaj?

Mimo gorąca w wąskiej, spiralnej klatce schodowej Rhiannon zadrżała.

- Wiedziałaś, że Ash jest bezwzględny. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest zły.

- Zły? - powtórzyła Gunna. - Panicz Ash nie jest zły. Myśl o nim

jak o świetnej hiszpańskiej szpadzie, która ma równie wielki wpływ na to, jak używa jej właściciel.

- Carr.

- Tak - przyznała Gunna. - A Carr nie chciałby stracić tej broni.

Tak. Mogła myśleć tak o Ashu. Wczoraj burza znad oceanu zatrzymała ją w domu. Właśnie schodziła na dół, żeby poszukać sobie zajęcia, kiedy jakieś drzwi otworzyły się nagle.

Wypadł przez nie Ash. Nie miał kamizelki ani kubraka. Zza rozpiętej do połowy koszuli widać było nagą pierś. Na szyi, jak pętla, wisiała mu brudna pończocha.

Podniósł głowę, mrużąc oczy w słabym świetle. Potknął się i zachował równowagę tylko dzięki temu, że przytrzymał się w porę ściany.

187

Wtedy ją zobaczył. Zmrużył oczy, jakby nie widział wyraźnie,

Uświadomiła sobie, że jest kompletnie pijany.

- Wynoś się stąd - powiedział chrapliwie. - Natychmiast!

Nie musiał tego powtarzać. Uciekła jak łania przed psami, ale nie mogła wyrzucić z pamięci jego postaci. Wracała myślami do tych paru chwil, wcale nie chciała ich zapomnieć.

- Lepiej się pośpiesz, dziewczyno - powiedziała Gunna i delikatnie pogładziła ją po policzku.

Rhiannon zaczerwieniła się, wzruszona.

- Jesteś za dobrą słuchaczką, Gunno - szepnęła.

- A ty za dobrą niemową - odparła stara niania. - Carr chce cię widzieć, a jego nie wolno lekceważyć. Zwłaszcza że, jak twierdzi jego lokaj, przez parę ostatnich dni był w okropnym humorze.

Rhiannon uśmiechnęła się smutno.

- Wątpię, czy lord zauważył moją nieobecność.

- Nie liczyłabym na to - powiedziała Gunna, otwierając drzwi na szeroki, zalany słońcem korytarz. - Carr musi się interesować taką pięknością jak ty. Jak myślisz, co on dla ciebie planuje?

- Nie wiem - odparła szczerze Rhiannon. - Nie rozmawiałam z nim, odkąd przyjechałam.

- Ha! - Gunna wyprostowała się, unosząc odsłoniętą brew. - W ogóle się tobą nie zajmuje?

- Ani trochę.

- To dziwne - mruknęła Gunna. - Dlaczego więc chce cię widzieć akurat dzisiaj? - Zagryzła fragment obwisłej wargi, idąc w stronę pokoju Rhiannon. - Dlaczego chce, żebyś zobaczyła Asha Merricka w takim stanie? A może zależy mu, żeby to panicz Ash ciebie zobaczył...

- O czym ty mówisz? - zapytała Rhiannon, przyspieszając kroku, żeby nie zostać w tyle.

- Carr może chce cię użyć, żeby odzyskać panowanie nad swoją... hiszpańską szpadą. Wie, że paniczowi na tobie zależy.

Rhiannon straciła zainteresowanie. Stara niania była romantyczką lubującą się w miłosnych opowieściach. Ona nie zamierzała powtarzać jej błędu.

- Ash mnie nie kocha.

Gunna zerknęła na nią z ukosa,

188

- Nie leżałby z tobą, gdyby czegoś do ciebie nie czuł.

We wspomnieniach Rhiannon odżyła pełna tęsknoty twarz Asha.

Noc Beltaine. Pokręciła głową, odganiając wspomnienia.

- Bierze, co mu się podoba.

- Nie śpi z żadną z tutejszych dam. Wczoraj w nocy pani Quinton

dała mi klucz do swojej sypialni, żebym wsunęła go do ręki panu

Ashowi, a on mi go natychmiast oddał - powiedziała Gunna. - Jest w

tobie coś, co go pociąga, i myślę, że to mu się nie podoba tak samo jak

tobie.

- Dlaczego jesteś taka pewna, że się po prostu mną nie bawił?

Gunna spojrzała na nią z politowaniem.

- To oczywiste - powiedziała. - Ash Merrick nienawidzi ojca. Nigdy

więc nie wykorzystałby kobiety dla zabawy, bo właśnie tak postępuje

lord Carr.

189

Tłum zebrany w głównym holu drżał z podniecenia. Damy chichotały nerwowo, zasłaniając usta wachlarzami. Nowość polegająca na wczesnym wstawaniu w ciągu ostatnich paru dni wciąż fascynowała tę zaprawioną we wszelkich rozrywkach gromadę. Zwłaszcza że po zakończeniu widowiska nic nie stawało na przeszkodzie, by wrócili do łóżek, co często robili.

Thomas Donne stał u dołu marmurowych schodów. Podniósł głowę, dostrzegłszy błysk brązowego atłasu wysoko na piętrze.

Szkockie piskłę wymknęło się ze swojej złotej klatki, pomyślał.

Może kiedy goście Carra przeniosą się na podwórze przy stajniach, zejdzie na dół, ale na pewno nie wcześniej. Była płochliwa jak sarenka.

Donne nie miał o to do niej pretensji. Nie pasowała do tego szamba.

Po sekundzie wahania ustawił się tuż pod schodami i czekał, zły na siebie za uczucia, których nie potrafił stłumić.

Rhiannon Russell poruszyła jego serce, a Thomas Donne sądził, że od dawna całkowicie panuje nad tym organem. Lecz jej dzika i zarazem delikatna uroda przypominała mu inne dziewczyny o kasztanowych włosach i urzekającym wdzięku. Nawet angielskie maniery narzucone przez jakąś matronę nie były w stanie zamaskować szczeroci w jej oczach i bystrego umysłu.

Szkoci inaczej wychowywali swoje córki. W Rhiannon nie było fałszu. Miało się wrażenie, że dostrzega wszelkie oszustwo, jakiego człowiek dopuszcza się wobec innych... i wobec samego siebie. To

było fascynujące i niepokojące zarazem. Miał dość rozsądku, żeby nie rozwodzić się nad przeszłością.

Jednak w Rhiannon Russell widział to, co najlepsze w Szkocji. Patrzył na nią i przypominał sobie walecznych górali, zabitych albo uwięzionych, albo zesłanych do angielskich kolonii karnych. Tak, przyglądanie się Rhiannon Russell budziło słodko-gorzkie uczucia, ale nie mógł się od tego powstrzymać.

Tydzień temu odkrył, że wstawiała wcześniej i wędrowała po zamku, gdy reszta gości jeszcze spała. Ponieważ rzadko znajdował spokój we śnie, a w Rumieńcu Ladacznicy jeszcze rzadziej, nabrał zwyczaju, żeby jej towarzyszyć.

Nic nie wskazywało na to, by miała coś przeciwko temu. Podczas tych krótkich paru godzin stwierdził, że Rhiannon, poza urodą i szczerością, ma jeszcze inne interesujące cechy. Z dnia na dzień zdawała się nabierać więcej tej szczególnej siły, która wynikała z poddania się losowi i przewyciężenia strachu. Znał to doskonale z własnego doświadczenia. On i Rhiannon mieli wiele wspólnego.

Oparł się o słupek balustrady, obserwując rzędniejący tłum. Twarze pod wysokimi perukami wydawały się zwiędłe od bezmyślnych hulank. Gdyby krew żywiej krążyła mu w żyłach, zabrałby stąd Rhiannon jeszcze tego wieczoru. Nikt by jej nie szukał aż do świtu. Wieczorami zawsze trzymała się na uboczu, a Carr nigdy o nią nie pytał... No tak, Carr. To była wielka, niebezpieczna niewiadoma.

Donne nie był jedynym, który tak myślał. Wiele razy podczas chwi-

lowej przerwy w rozrywkach Ash Merrick trzeźwiał i przyłączał się do niego. Zamęczał Donne'a pytaniami o rodzinę Rhiannon i jej rzekomego brata. Mimo skłonności do rozpusty - a ostatnio nurzał się w niej bez opamiętania - Merrick odznaczał się subtelną inteligencją.

Myśl o Ashu zabiła w Donnie chęć odegrania roli błędnego rycerza.

Nikt by nie zauważył, gdyby zabrał Rhiannon Russell - nikt poza Ashem Merrickiem. Człowiekiem pozbawionym skrupułów, któremu mądrze było nie wchodzić w drogę.

A Thomas Donne był mądry.

- Czy nadal tęsknisz za swoim sielankowym domem? - Fia

spojrzała nad ramieniem Rhiannon, napotykać jej wzrok odbity w lustrze.

- Tak - usłyszała w odpowiedzi. - Bardzo tęsknię za Fair Badden.

- Cóż, moja droga, nie wydaje się, żeby ta tęsknota ci szkodziła.

Wyglądasz znakomicie.

Rhiannon skończyła upinać włosy w węzeł i wstała od toaletki.

- Dziękuję.

- Z czego to wynika, jak sądzisz? - zapytała Fia łagodnym

głosem. - Może nie byłaś aż taka szczęśliwa w Fair Badden, jak twierdzisz? Może nie zaangażowałaś się całym sercem, choć tak ci się wydawało?

191

Mała czarownica, pomyślała Rhiannon, rzucając Fii ostre spojrzenie.

Złagodniała, widząc, że jej gniew wprowadził dziewczynę w zmieszanie. Na

tym polegał kłopot, jeśli chodzi o Fie: jej charakter kształtował się pod wpływem znajomości świata, ale też dziewczęcej niewinności.

Rhiannon nie była w stanie odgadnąć, czy pytania Fii są prowokacyjne i złośliwe, czy też niewinne i szczerze. Może gniewała się na nią, bo Fia w jakimś stopniu miała rację.

- Nie wątpię, panienko Fio, że szczerze kochałam panią Fraiser. Codziennie o niej myślę, bardzo za nią tęsknię i mam nadzieję, że nie cierpi z mojego powodu.

Fia przyglądała się jej z uwagą, marszcząc brwi w skupieniu.

- Ale być może - ciągnęła Rhiannon - Fair Badden nie zajmuje w moim sercu takiego miejsca, jak myślałam. Może żadne miejsce nie jest niczym więcej niż tym, co czynią z niego pamięć i doświadczenie.

Fia popatrzyła Rhiannon w oczy i skinęła krótko głową.

- Powinnaś napisać list do pani Fraiser.

- A mogę? - spytała Rhiannon.

- Oczywiście - odparła Fia chłodno. - To nie jest szpital dla obłąkanych, panno Russell, to jest zamek. Napisz list, a ja go każę dostarczyć.

Niezrażona wielkopańską wielkodusznością Fii Rhiannon uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Zrobię to. Twoja uprzejmość...

- Naprawdę powinnaś powiedzieć Gunnie, żeby ci dopasowała perukę. Przy twoim kolorze oczu blade srebro dawałoby niezwykły efekt.

Rhiannon powstrzymała uśmiech. Fia, zmieszana i zaskoczona

swoją propozycją, starała się to ukryć.

- Nie lubię peruk - powiedziała Rhiannon. - Wszy.

- Nie mam wszy! - zawołała Fia.

Rhiannon uniosła brwi.

- Oczywiście, że nie.

Fia zmarszczyła czoło.

- Pudru też nie? Żadnego pieprzyka?

- Nie. - Rhiannon przeszła obok niej i wyszła na zewnątrz.

Uśmiechnęła się, słysząc pospieszny stukot bucików Fii, która ruszyła za nią. Była taka drobna.

192

- Ojcu nie spodoba się twoja suknia - szepnęła Fia, zrównując się z Rhiannon. - *Za bardzo jeune filie.*

Rhiannon nie obchodziła opinia Carra o jej sposobie ubierania się.

Myślała o Ashu Merricku i o zainteresowaniu Fii jej rodziną w Fair Badden.

- Masz jeszcze jednego brata, prawda? - spytała.

- Tak. Raine'a. Jest parę lat młodszy od Asha. Duży chłopak o groźnym wyglądzie.

- Nie sędzę, żebym go poznała.

- Cóż, moja droga, nie mogłaś, chyba żebyś się kręciła w pobliżu francuskiego więzienia - oznajmiła Fia beztróska.

Rhiannon stanęła gwałtownie.

- Więzienia?

Fia westchnęła.

- Myślałam, że wiesz. Myślałam, że wszyscy wiedzą. Ash też był w więzieniu. Dopóki Carr go nie wykupił prawie rok temu.

Więzienne kajdany. Blizny, jakie nosił, pochodziły od kajdan.

- Co... Ale... dlaczego...

Fia cmoknęła lekko.

- Carr nie toleruje jąkania się - ostrzegła.

- Dlaczego twoi bracia zostali wtrąceni do więzienia we

Francji?- spytała Rhiannon.

Fia wzruszyła ramionami z elegancką nonszalancją.

- Wiesz, moja matka była Szkotką. Jakobicką lojalistką, jak słyszałam. Chciała wciągnąć Carra w te sprawy. Udawał, że zgadza się na wszystko.

Czy dziewczynie nie przyszło do głowy, że ona też jest Szkotką? -

zastanawiała się Rhiannon.

- Jej krewni - ciągnęła Fia - okazali się użyteczni podczas rebelii w czterdziestym piątym. Carr dostarczył księciu Cumberland informacje, jakie od nich uzyskał. W zamian za to otrzymał na własność Rumieniec Ladacznicy.

Rhiannon ledwie usłyszała ostatnie zdanie. Cumberland. Rzeźnik z Culloden. Podłoga zaczęła jej uciekać spod stóp. Podniosła głowę, oszołomiona, i stwierdziła, że Fia przygląda jej się ze zdumieniem.

- Mów dalej - poprosiła słabym głosem.

- Po Culloden ci spośród krewnych mojej matki, którzy zostali przy życiu, odkryli prawdziwe sympatie Carra.

Jego zdradę, pomyślała Rhiannon.

- Zawiązali spisek, żeby go wciągnąć w pułapkę i zgładzić. Tylko że zamiast niego złapali moich braci. - Delikatne ramiona Fii znów uniosły się w lekceważącym geście. - Ci, którzy ich schwytali, nie wiedzieli, co z nimi zrobić. Moi bracia prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu mieli powód, żeby błogosławić swoją szkocką krew. Bo chociaż moja matka nie przyniosła swojej rodzinie żadnego pożytku, ci ludzie brzydzili się myślą, żeby zabić jej synów. Oddali ich więc swoim francuskim sprzymierzeńcom jako zakładników, chcąc złamać Carra finansowo. Ash i Raine znaleźli się we francuskim więzieniu.

Spiskowcy, nawiasem mówiąc, zostali wkrótce ujęci i straceni.

- Dlaczego Raine nadal jest w więzieniu? - zapytała zdumiona Rhiannon. - Twoje stroje, klejnoty, ten przepych... Lord Carr z pewnością może sobie pozwolić na wykupienie syna.

- Nawet nie próbował. - Fia uniosła kształtną bródkę. - Uleganie takim żądaniom zachęciłoby tylko do dalszych praktyk tego rodzaju.

Ojciec mi to wyjaśnił.

Dobry Boże, myślała zszokowana Rhiannon, cóż to za gniazdo os?

Ojciec, który nie wykupuje własnego syna długo potem, jak ustały działania wojenne. Zimna, pozbawiona uczuć dziewczyna, która akceptuje tak potworne postępowanie.

- Ale Ash jest wolny-zauważyła.

- Tak... - Fia zmarszczyła czoło w konsternacji. - Ojciec go

wykupił. Muszę przyznać, że nigdy mi tego nie wyjaśnił... -

Podniosła wzrok na Rhiannon i jej czoło się wygładziło. -Ale to bez znaczenia. Jestem pewna, że miał doskonałe powody. Najważniejsze to właściwie oceniać sytuację i nie pozwalać, by sentymenty mąciły jej obraz.

- Czy miłość ojcowska jest sentymentem, który mąci obraz sytuacji?

- Nie rozumiesz.

- Nie brakuje ci brata?

Pod warstwą pudru na twarzy Fii wykwitł rumieniec.

- Nie znam go. Nie znam żadnego z nich. Ojciec twierdzi, że w

194

dzieciństwie byli pod silnym wpływem matki, i to się na nich odbiło.

Uważa, że nie stanowią dla mnie dobrego towarzystwa. Poza tym

Ash i Raine nigdy nie okazywali mi zainteresowania. - Nutka

goryczy zakłóciła słodycz jej głosu.

- Ale przecież są twoimi braćmi - nalegała Rhiannon. - Nie

chcesz wiedzieć, co się dzieje z Rainem? Na pewno cierpi, i to

podwójnie, wiedząc, że ojciec odmawia zapłaty za jego uwolnienie...

- Nie zastanawiam się nad tym. Jaki pożytek mogłyby przynieść

takie rozważania? - Fia zwolniła kroku, jakby chciała odejść. - Jesteś

zbyt uczuciowa. Niefortunna cecha, która, jak twierdzi ojciec,

występuje powszechnie u szkockich górali. Poza tym Ash dopilnuje,

żeby Raine wyszedł w końcu na wolność. Ma obsesję na tym punkcie. Dlaczego, twoim zdaniem, zgodził się stracić tyle czasu, żeby cię tu sprowadzić?

Rhiannon nie potrafiła odpowiedzieć. W głowie miała chaos.

- Dla pieniędzy. Na okup za Raine'a - oświadczyła Fia.

Rhiannon popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Jesteś pewna?

Fia znowu wzruszyła ramionami.

- Tak przypuszczam. A na co innego miałby wydawać pieniądze? Z pewnością nie na stroje!

- Panno Russell! - odezwał się głęboki męski głos.

Thomas Donne biegł po schodach po dwa stopnie naraz; jego surowa twarz złagodniała na widok Rhiannon.

Fia cofnęła się, jakby nie chciała, by zobaczył ją zaczerwienioną i z błyszczącymi oczami. Ale Donne nawet nie rzucił okiem w jej stronę.

- Chyba nie idziesz oglądać walki, panno Russell? - zwrócił się do Rhiannon.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym pan mówi -

wymamrotała, poruszona tym, co usłyszała od Fii. - Lord Carr nalegał, żebym uczestniczyła w jakimś widowisku. Nie wspominał o żadnej walce. Mam nadzieję, że nie chodzi o walkę kogutów. Albo niedźwiedzi. Nie znoszę ani jednego, ani drugiego.

- Nie, panno Russell. To męska walka, brutalna walka na pięści.

Dama nie powinna tego oglądać.

195

- Ojciec prosił, żeby przyszła - powiedziała Fia. - Wiele dam będzie obecnych. Te walki nie są takie okropne, jak to przedstawiasz, lordzie Donne. Nie sędzę, żeby panna Russell była wrażliwsza niż reszta z nas.

- Będą inne damy? - zapytała Rhiannon. Nie miała ochoty patrzeć, jak dwaj mężczyźni się biją, jeśli jednak mogłaby porozmawiać z Carrem o swoim wyjeździe albo dowiedzieć się czegoś więcej o Ashu i Rainie, skorzysta z okazji.

- Tak - przyznał Donne. - Ale nie zgódź się na to, pani - nalegał.

- To widowisko może cię tylko przygnębić.

- Stałeś się pruderyjny, lordzie Donne - powiedziała wyniośle Fia.

-

To tylko zajmujące przedstawienie. Wprawdzie zgadzam się z tobą, że powinno się je odwołać, lecz tylko dlatego, że z tego powodu on tak okropnie wygląda przy stole w jadalni. Ale dlaczego to miałyby obchodzić pannę Russell? Jeśli rzeczywiście została porwana, jak głosi plotka, to może nawet ucieszy się, widząc, jak dostaje porządne lanie.

Donne zwrócił się do Fii z uśmiechem na ustach, ale z oburzeniem w oczach.

- Nie mierz jej przyzwoitości miarką, jaką przykładasz do

innych. Nie wyobrażam sobie, żeby panna Russell życzyła sobie być

świadkiem okaleczenia Merricka.

- Merricka?

-

powtórzyła

Rhiannon z mimowolnym

niepokojem.

-

Jak to?

Donnę spojrział na nią zdziwiony.

- Czy Fia albo Carr nie powiedzieli ci, pani?

- Czego mianowicie?

- Że Ash Merrick jest jednym z walczących.

196

Panie i panowie w pogniecionych jedwabiach, o ziemistej cerze i opuchniętych oczach, widocznych w bezlitosnym świetle poranka, tłoczyli się w oknach wychodzących na stajnie i krążyli wokół podwórza. Panował nastrój karnawałowej zabawy. Stawiając arystokratę przeciwko człowiekowi z gminu, Carr wywołał skandal. I to nie jakiegoś tam arystokratę, lecz własnego syna, Merricka, i nie w byle walce, ale w pojedynku na gołe pięści. Zmagania ciągnęły się już trzeci dzień.

Nie darowaliby sobie uczestnictwa w tym widowisku, bez względu na koszt - a koszt był wysoki. Londyn od dziesięciolecia nie oferował czegoś równie haniebnego. A chociaż nie mogli się doczekać powrotu do miasta, żeby plotkować o tym, co już widzieli, nie śmieli odjechać, by nie przepuścić czegoś jeszcze bardziej odrażającego.

Rozmowy ucichły, kiedy na dziedziniec wkroczył stajenny barona Pughvilla. Był obnażony do pasa i posmarowany oliwą, wraz z ogoloną głową, tak żeby przeciwnik nie mógł go przytrzymać. Powiadano, że walczył na kontynencie. Ponadto był Szkotem. Okazja, żeby pogruchotać angielskie kości i wymłócić pięściami ciało, stanowiła wystarczającą zachętę i bez sutej sakiewki, jaką Carr obiecał zwycięzcy.

Ash Merrick stał przy ogrodzeniu, gawędząc z tłumem.

Zachowywał się swobodnie. Zerknął ukradkiem na silne ramiona stajennego, jego krótkie, krzywe nogi i lekkie pochylenie ciała w przód.

Trudno będzie zbić Szkota z nóg i powalić na ziemię, gdzie kończyły się uliczne - i więzienne - bójki.

Trzy dni wcześniej Ash nie martwiłby się o wygraną. Na jego korzyść działał element zaskoczenia. Jego przeciwnicy, ściągnięci ze stajni i pól, byli zwykłymi chłopami. Nie spodziewali się, że arystokrata może walczyć tak brutalnie i tak skutecznie.

Nie tylko zaskoczenie dawało mu przewagę. Nauczył się walczyć bez skrupułów i bez strachu. Był w stanie bić się, nawet kiedy czuł ból, skupiając się wyłącznie na sobie i przeciwniku.

Ale dzisiejszy dzień różnił się od poprzednich. Ash wiedział, że fizycznie nie będzie już w stanie sprostać wyzwaniu. Choć mógł walczyć, kierując się jedynie instynktem, instynkt nie rekompensował skutków paru dni brutalnego bicia.

Podjeżdżał, że pękło mu żebro. Dwa palce lewej ręki miał złamane. Lewe oko spuchło mu po wczorajszym bliskim kontakcie z obcasem przeciwnika, a fioletowy tatuaż sińców zdobił jego tors.

Dzisiaj miał stoczyć ostatnią walkę, bez względu na „życzenia” ojca.

Ash uśmiechnął się na myśl o Carze.

Ojciec stracił dużo pieniędzy, obstawiając jego przeciwników, podczas gdy on zebrał sporą sumę. Dzisiaj jednak.. dzisiaj chciał po prostu przeżyć i skończyć z tym.

- Co robimy? - Szkot skierował to pytanie do tłumu. Wszedł na pusty środek stajennego podwórza, patrząc wyczekująco na przeciwnika. - Czy jest ktoś, kto to zacznie albo skończy?

Ash rozejrzał się, szukając w tłumie Donne'a, który przez ostatnie dni zbierał jego zakłady. Nie mogąc go dostrzec, poklepał po ramieniu najbliższego fircyka. Zaskoczony młodzieniec cofnął się odruchowo.

- Bez obawy...-uspokoił go Ash.-Boże, ależ to Hurley! -wykrzyknął. - Hurley, mój drogi, bądź dobrym kompanem i zbieraj zakłady! Powiedzmy, pięćdziesiąt funtów na moje zwycięstwo. - Ujął dłoń Hurleya, odgiął sztywne, pachnące lawendą palce i wsunął między nie grubą sakiewkę, ponownie je na niej zacisnął. - Dobry chłopiec. A skoro jesteś taki miły, udzielę ci rady. Nie jestem dzisiaj w formie. Zakłady to tylko rodzaj zachęty, rozumiesz.

- Nie-e-e - wyjąkał Hurley. - To znaczy... ta-ak. To znaczy, jestem pewien, że pan wygra, panie Merrick.

- Ostrzegałem cię, -Ash odwrócił się i natychmiast zapomniał o Hurleyu. Lepiej będzie już zacząć.

Jednym ruchem ściągnął kubrak, a potem batystową koszulę.

Usłyszał zachwycone szepty kobiet i pomruk męskiej aprobaty. Zwrócił się w stronę Szkota, który nadal stał w kręgu pięknie odzianych dam i panów.

- Nikt nie zaczyna i nie kończy - wyjaśnił, podchodząc do niego - poza nami dwoma. Nie ma żadnych reguł. Wygrać można tylko w jeden sposób, mianowicie wychodząc stąd na własnych nogach. - Zatrzymał się tuż poza zasięgiem rąk rywala. - Cudownie proste, *n'est-cepas!*

- Rozumiem - warknął stajenny, rzucając się do przodu.

Ash nie mylił się; ten człowiek miał doświadczenie. Pochylał się, celując w kolana, chcąc przewrócić rywala, zamiast tłuc przypadkowo -i mało skutecznie ~ w głowę. Ash złożył pięści i grzmotnął stajennego w odsłonięty kark.

Ból połamanych palców obezwładnił na moment całą rękę. Szkot zachwiał się i przewrócił na ziemię. Ash zatoczył się do tyłu, klnąc i potrząsając ranną dłońią. Wtedy poczuł, że przeciwnik łapie go za łydki. Niech go diabli, był przytomny.

Ash szarpnął się, ale ręce na jego nogach tylko wzmogły uścisk. Z gardłowym jękiem Szkot podniósł się, wyrzucając rywala w powietrze. Ziemia uderzyła Asha w plecy jak młot kowala. Ból przeszył go niczym rozpalony do czerwoności metal, pozbawiając powietrza w płucach, zaciemniając obraz przed oczami. Sapnął, przetaczając się na bok i zwijając, żeby osłonić złamane żebra. Szkot zauważył jego cierpienie i zatrzymał się z błyskiem w oku, pewien zwycięstwa. Trwało to sekundę, ale właśnie o tę sekundę za długo.

Ash kopnął z dziką gwałtownością, wbijając obcas w rzepkę stajennego. Nad pełnymi uznania okrzykami tłumu rozległ się głośny, odrażający trzask. Szkot zawył z bólu, łapiąc się za złamane kolano i zataczając w przód.

Ash podniósł się na czworaki, kręcąc głową, żeby odgonić niebezpieczną mgielkę sprzed oczu; w uszach szumiały mu gwar głosów wokół oraz szloch i przekleństwa przeciwnika.

Zachować koncentrację. Dwieście funtów. Cztery do jednego.

Musiał pozbawić stajennego przytomności, zanim drań zrobi to jemu.

Stanął na nogach i obrócił się, zdumiony, że Szkot również stoi.

Stajenny starał się ulżyć zranionej nodze, kołysząc się z boku na bok.

Jego usta poruszały się w potoku milczących przekleństw, z kącików rozbitej wargi kapały drobiny czerwonej piany.

Zaatakował ponownie z zaciekłością zwierzęcia, pozornie nieczuły na ciosy, jakimi Ash okładał jego twarz. Raz po raz Szkot rzucał się na niego, nadrabiając brak umiejętności wytrzymałością. Ash uskakiwał przed potężnymi pięściami, raz za razem zadając serię ciosów.

Teraz już obu mężczyznom brakowało tchu, obaj byli brudni i spoceni. Tłum ryknął z zachwytu, kiedy Ash ponownie umknął przed potężnym uderzeniem w szczękę, zużywając energię, której już prawie

199

nie miał. Zadawał ciosy, ale nie dość silne, żeby skończyć walkę.

Uderzenia wydawały się tylko rozwścieczać Szkota.

Musiał przegrać.

Ash sądził, że Szkot walczy dla pieniędzy, ale teraz zaczął podejrzewać, że gra toczy się o coś odrobinę cenniejszego... o jego życie.

Stajenny bez wątplenia zabiłby go, gdyby zdołał.

- Czy skończymy już, *mon amiel* - wysapał Ash. - Pewna dama czeka na mnie i wolałbym...

Ze zduszonym okrzykiem wściekłości Szkot jeszcze raz rzucił się do ataku. Tym razem Ash czekał na to. Ugiął kolana, napiął mięśnie ramion. Kiedy rywal, niczym rozpędzony byk, wpadł na niego, nie

próbował odeprzeć ataku. Pochylił się i złapał Szkota za ramiona, wzmacniając jego impet własnym ciężarem. Z głośnym jękiem Ash pociągnął rywala na siebie.

Twarz stajennego grzmotnęła o twardy grunt, ciężkie ciało przekoziółkowało nad głową Asha i padło z głuchym łoskotem dalej na ziemię, wzbijając tuman kurzu.

Z zębami zaciśniętymi z bólu Ash leżał płasko, czekając, aż Szkot znowu wstanie jak jakiś cholerny feniks i zabije go. Nie mógłby mu przeszkodzić. W jego ciele nie pozostało ani krztyny energii. Jedyne, na co mógł się zdobyć, to oddychanie; jego pierś poruszała się ciężko w górę i w dół, oczy wpatrywały ze zdumieniem w bezwstydnie niebieskie niebo; na drżącym z wysiłku ciele osiadał kurz niczym popiół.

Szkot się nie poruszył.

Przez dłuższą chwilę panowała absolutna cisza. Potem tłum zaczął mruzczyć. Ash usłyszał lekki stuk obok głowy i spojrzał w tamtą stronę.

Uśmiechnął się z goryczą. Rzucali w niego monetami. Złotymi monetami. Dobry Boże.

Potem usłyszał znajomy głos.

- Na Boga, Merrick, wstawaj albo będziemy musieli ogłosić, że walka nie została rozstrzygnięta - powiedział ojciec - a sądząc po jej minie, moja droga podopieczna raczej nie zniosłaby kolejnej rundy.

Ból w rękach i piersiach ulotnił się pod wpływem przerażenia.

Myślał, że rozumie grę Carra. Nawet nie zaczął jej rozumieć.

Odwrócił głowę. Zobaczył ją natychmiast. Stała między lordem a Thomasem Donnem. Carr trzymał ją za rękę, gładząc długimi palcami jej dłoń i szepcząc coś do ucha.

Nie słuchała go. Jej ciemne loki kontrastowały z twarzą bladą jak płótno. Każdy rys jej twarzy zdradzał przerażenie.

Ash opuścił powieki. Oczyma wyobraźni zobaczył siebie samego takim, jakim ona go widziała, zakrwawionego, pokrytego śmierdzącym końskim łajnem i stęchłym tłuszczem, z człowiekiem, którego pozbawił przytomności - albo gorzej - leżącym w poprzek jego nóg. Obok nich leżało coś, co stanowiło przyczynę pobicia tego człowieka. Parę złotych monet.

- Cóż, trzeba przyznać chłopakowi, że walczył sprytnie – powiedział Carr.

Rhiannon była tak przejęta straszliwym widowiskiem, że nie zauważyła, kiedy ujął ją za rękę. Cofnęła ją teraz.

Bez względu na to, jak bardzo w jej mniemaniu staczał się Ash, zawsze udawało mu się upodlić jeszcze bardziej. Tłum rzucał monety w dwa nieruchome ciała. Jakaś rudowłosa dziewczyna wpadła na prowizoryczną arenę i uklękła przy Szkocie. Złapała go za bary, usiłując podnieść, chowając jednocześnie gwinee i szylingi w spódnicę. Tłum ryczał ze śmiechu.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie ohydneho - powiedziała Rhiannon,

- Śmiem twierdzić, że Ash by się z tobą zgodził - odparł Carr. –

Ale w Rumieńcu Ladacznicy każdy musi płacić za przywilej bycia tutaj w taki sposób, w jaki potrafi.

- Chcesz powiedzieć, panie, że prosiłeś go, aby walczył?

Ryzykowałeś życie swojego syna, stawiając go naprzeciwko tej góry mięsa?

- Prosiłem? - prychnął Carr. - Panno Russell, ja nigdy nie

proszę. - Nie próbował jej dzisiaj oczarować. W gruncie rzeczy

wydawało się, że stara się ją do siebie zniechęcić. - Ja rozkazuję.

Król Jerzy może rządzić w Londynie, ale tutaj rządzą ja. Nawet

będąc wygnanym, mam swój dwór. - Zamaszystym gestem wskazał

tłum. - Nie sądzę, żebym jutro mógł pozwolić Merrickowi walczyć.

Kto by na niego postawił? - Skrzywił się, ale po chwili twarz mu się

201

wygładziła. - Gdyby jednak jakimś cudem zwyciężył, pomyśl o tych

zakładach! Co najmniej dwadzieścia do jednego...

- Jesteś odrażający. - Kiedy to mówiła, zobaczyła, jak Ash

odwraca głowę w jej stronę i otwiera oczy. W jego wzroku było tyle

bólu, że nie mogła znieść tego spojrzenia. Kiedy znowu na niego

popatrzyła, dźwigał się na czworaki ze zwieszoną nisko głową.

- Czy nikt do niego nie pójdzie?! - zawołała Rhiannon.

Carr rzucił jej obojętne spojrzenie.

- Co za troska. Masz miękkie serce, moja droga. A

odpowiadając na twoje pytanie: nie. W tych zawodach obowiązuje

niewiele reguł, ale według jednej z nich zwycięzca musi opuścić

arenę o własnych siłach.

- Potrzebuje pomocy — upierała się.

- Doprawdy? Cóż, nie wiem, gdzie ją znajdzie. O ile się orientuję, w zamku nie ma medyka.

Rhiannon popatrzyła na Donne, ten jednak zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy. Spojrzała na Fię, nie spodziewając się niczego z jej strony, i stwierdziła ze zdumieniem, że dziewczyna pozieleniała, zerkając ze zgrozą na brudną ziemię, na której leżał jej brat.

- Pójdę do niego - szepnęła.

Carr gwałtownie odwrócił głowę.

- Co?

- Mogę go umyć. Jeśli każesz służącym...

- Nie zrobisz tego! - syknął Carr. - W żadnym wypadku. Nie zapominaj, że jesteś tutaj gospodynią. Nie mogę pozwolić, żebyś zjawiała się przy stole, śmierdząc wymiocinami i - spojrzał na Asha - innymi ekskrementami, w których wytarzał się Merrick.

Był takim potworem, jak go opisała Gunna, a co Fia wbrew swoim intencjom potwierdziła. Za urokiem, jaki roztoczył przed nią przy pierwszym spotkaniu, krył się bezduszny łajdak. Nawet Fia wydawała się przestraszona zjadliwym tonem ojca. I chociaż Rhiannon nie mogła zrozumieć, dlaczego właśnie teraz Carr odsłania przed nią swoje prawdziwe oblicze, to zbyt martwiła się o Asha, żeby się nad tym zastanawiać.

Jej uwagę zwróciły okrzyki tłumu. Ash podniósł się na nogi i zatoczył niepewnie w stronę kręgu widzów. Rozstąpili się przed nim, żeby go pochłonąć chwilę później. Teraz, kiedy już było wiadomo, kto zwyciężył, podniósł się gwar - zaczęto sprawdzać i oddawać wygrane.

- Pójdę do niego - powiedziała Rhiannon. - Nie możesz mi zabronić, panie. Możesz panować w Rumieńcu Ladacznicy, lordzie Carr, ale nie panujesz nade mną.

- Tego się obawiałem. - Carr westchnął. - Jak sobie życzysz, panno Russell. Chodźmy, lordzie Donne.

Ujął Szkota pod ramię i poprowadził przez tłum.

- Postawiłeś, jak sędzę, na mojego syna? Jak przewidująco...

Rhiannon spojrzała na Fię.

- Gdzie znajdę Gunnę?

- W moich pokojach - mruknęła dziewczyna swobodnym tonem. -

Jakie dziwne...

Rhiannon jednak nie została, żeby się dowiedzieć, co Fia uważała za dziwne.

Carr wydawał się zanadto spokojny. Niewielu ludzi poza Fią zwróciłoby na to uwagę. Rhiannon właśnie sprzeciwiła się jego nakazowi. Jej nieposłuszeństwo powinno go rozjuszyc, tymczasem odszedł spokojny. Tylko nerwowy krok mógł wskazywać, że jest niezadowolony.

To nie miało sensu. Od paru dni zły humor lorda narastał. Słyszała

wiele razy, jak ojciec chodzi po swoim gabinecie. Kiedyś uchyliła drzwi, chcąc zaproponować mu swoje towarzystwo, i zastała go piszącego coś nerwowo, niemal drącego piórem kartkę papieru. Tak go ta czynność pochłonęła, że nawet nie zauważył jej wejścia. A Carr zauważał wszystko.

W końcu rzucił pióro, zwinął papier w kulkę i cisnął go na podłogę.

- Jak? Pod jakim pretekstem? Po prostu zmienić zdanie i odesłać?

Nie. Ktoś musi ją zabrać tam czy gdzie indziej. Albo w ogóle gdziekolwiek, byle nie tu.

Fia za długo przebywała pod kuratelą Carra, żeby lekceważyć taki rzadki wybuch, podobnie jak miała dość rozumu, by nie dać ojcu poznać, że go słyszała. Zamknęła drzwi najciszej, jak się dało, i pobiegła do swojego pokoju.

203

Teraz, patrząc, jak Rhiannon odchodzi w przeciwną stronę niż Carr, po raz pierwszy w życiu poczuła rozdarcie.

Problem polegał na tym, że Fia lubiła Rhiannon. Ze wszystkich znanych jej osób tylko ta Szkotka - nie licząc Gunny - traktowała ją tak, jak według wyobrażeń Fii traktowano inne piętnastoletnie dziewczyny. Nie traktowała jej jak przedwcześnie dojrzałej, światowej kobiety, za którą wszyscy pozostali uważali córkę lorda Carra.

Odkąd ukończyła dwunasty rok życia, zawsze przedstawiano ją nie jako dziecko, ale dziwną hybrydę-pół kobietę, pół lalkę.

Przekupywano ją zabawkami, na które była za duża, i oferowano

przeżycia, do których nie dorosła.

Rhiannon Russell nie pochlebiała jej ani nie usiłowała jej patronizować. Co prawda nie ufała Fii ani też specjalnie jej nie lubiła, lecz nawet to było dla dziewczyny świeżym, przyjemnym doświadczeniem.

Nie chciała, żeby Rhiannon stało się coś złego. Wiedziała, że Carr ma opinię diabolicznego drania. Zawsze ją to bawiło. Ojciec nie był potworem. Był geniuszem, który nie pozwalał, aby zawładnęły nim irracjonalne emocje czy głupie prawa stworzone przez małych ludzi dla małych ludzi. To wszystko miało sens.

Czy raczej, myślała Fia z niepokojem, miało sens aż dotąd.

Ash nie był w stanie wejść po schodach dla służby i nie pozwolił wnieść się na górę uśmiechającym się złośliwie lokajom. Z zaciśniętymi zębami, mobilizując resztkę sił, zdołał schronić się w jednym z małych pokoików za głównym holem - nieużywanym obecnie i w związku z tym pozbawionym i mebli, i światła.

Osunął się z ulgą na podłogę i oparł plecami o ścianę. Z żeber promieniował tępy ból. Zmusił się, żeby wykręcić się na bok, i stwierdził z zadowoleniem, że nie boli bardziej niż poprzednio, być może więc zebra nie są złamane. Marna pociecha, ale jedyna, jaką miał w tej sytuacji. Ręka bolała, jakby zmiażdżyło ją imadło. Skóra piekła go tam, gdzie brud i pot wżarły się w niezliczone obtarcia.

Chętnie poleżałby na podłodze, zapadając w słodki niebyt, ale ilekroć przymykał oczy, widział jej twarz i malującą się na niej zgrozę. Cierpienie fizyczne słabło w porównaniu z bólem, jaki zadawało mu to wspomnienie.

Od najmłodszych lat rozumiał, kim jest. Nigdy nie tracił czasu na uzalanie się nad sobą z tego powodu. Mądry ojciec może znać własne dziecko, ale ważniejsze jest, żeby dziecko знаło nie tylko swojego ojca, ale również te swoje cechy, które po nim odziedziczyło.

Jakoś tak się stało, że o tym zapomniał. Zagubił tę część siebie, którą znał najlepiej. Cóż, przypomni sobie, ponieważ ten ból, ten cholerny ból był nie do zniesienia. Musiał ustać. Ustanie.

Zebrał w końcu dość pieniędzy na wykupienie Raine'a. Napisał nawet do Francji, żeby uzgodnić szczegóły wymiany.

Otworzyły się drzwi i smuga światła poraziła jego obolałe oko.

Skrzywił się i zasłonił jedną ręką przed intruzem, a drugą dłoń położył płasko na podłodze. Ukucnął twarzą do wchodzącej osoby.

Zmrużył oczy, patrząc w jasny prostokąt otwartych drzwi.

- Kolejny zawodnik? - zapytał, śmiejąc się gorzko. - Czemu nie?

To nie będzie interesujące starcie, ale może okazać się satysfakcjonujące... dla ciebie. Do diabła, dla nas obu. Chociaż jako dżentelmen chciałbym cię prosić, abyś zajął miejsce na końcu kolejki.

- Ash.

To był jej głos. Niemal pozbawił go panowania nad sobą.

Przełknął z trudem ślinę. Czy ojciec przysłał ją, żeby mu przypomnieć, na ile sposobów może nagiąć go do swojej woli, czy też szukała go z własnych powodów?

- Co, Rhiannon? - Wymawianie jej imienia sprawiało mu przyjemność. - Przyszłaś mnie potępić za źle zarobione pieniądze, za to, jak nisko upadłem? Nie trać swojego ani mojego czasu. Nic mnie nie obchodzi, co myślisz.

Kłamca.

- Nie. - Odwróciła się i powiedziała coś do kogoś w holu.

Ash wstał, chwiejąc się lekko. To krótkie przemówienie drogo go kosztowało.

- Potrzebuję jeszcze więcej wody, i to gorącej - mówiła

Rhiannon. - Bardzo gorącej. Do tego bandaże i koszula.

- Nie będziesz mnie myła - warknął, przerażony myślą, że jej ręce miałyby usuwać brud z jego ciała.

Nie zwróciła na niego uwagi. Podniosła wiadro z podłogi i wstawiwszy je do pokoju, zamknęła za sobą drzwi.

- W którym miejscu jesteś najgorzej ranny?

- Co ty tu, do cholery, robisz?

- Już wiesz. Przyszłam, żeby opatrzyć twoje rany.

- Do diabła z tym. - Odsunął się od ściany, pocąc się z wysiłku, ruszył w jej stronę. Nie cofnęła się, a kiedy jego wzrok przyzwyczał się do mętnego światła, zobaczył, że ma na sobie jedną z tych nowych sukien, które nosiła zgodnie z życzeniem Carra, połyskliwą, w kolorze brązu i soczystej zieleni.

Wyglądała elegancko, wręcz po królewsku; nie była już ową małą, skromną pięknoscią z Fair Badden. Różniła się teraz od tej dziewczyny, którą poznał.

Suknia miała głęboki dekolt odsłaniający piersi. Nigdy nie miał skłonności do lubieżnego przyglądania się damom, ale teraz, nawet pobity i zmaltretowany, natychmiast zareagował na sam widok Rhiannon.

A jednak to nie jego ręka wyciągnęła się i zatrzymała o parę centymetrów od nagiego ciała. To była jej ręka. Nie do wiary, ale

Rhiannon chciała dotknąć jego piersi, Niczym dzikie zwierzę nieprzywykłe do ludzi, patrzył na nią przestraszony i nieufny.

Zadrżała, odczytując groźbę w jego ciemnych jak dym oczach. Wydawał się niebezpieczny, nieprzewidywalny. Rozum kazał jej uciekać.

Kimkolwiek był dla swego brata, dla niej był wrogiem, draniem, który ją wykorzystał, okłamał i porwał dla pieniędzy. Zaczęła cofać się w stronę drzwi, w stronę bezpiecznego holu, lecz wtedy jej wzrok padł na fioletową skórę na jego żebrach.

Ash nie chciał walczyć ze Szkotem. Ojciec zmusił go do tego.

Podniosła rękę i delikatnie obwiodła palcami głęboką rysę na jego piersi. Przymknął powieki. Podeszła bliżej; wpatrywała się w jego twarz, szukając oznak...

Złapał ją za nadgarstek, obrócił i chwyciwszy za gardło wolną ręką, popchnął brutalnie na ścianę. Oczy mu płonęły.

- Zmieniłaś się, mała Rhiannon - wycedził przez zęby. Zacisnął mocniej palce na jej szyi. - Zrobiłaś się śmiała i uparta. Co się stało ze słodką, posłuszną dziewczyną, którą poznałem? Nie pamiętasz, Rhiannon *alainril* A może o to chodzi? Chcesz przypomnieć sobie jej los?

Nie było w nim cienia łagodności. Myliła się. Źle zrobiła, zostając.

Źle, że dała się wzruszyć jego dumie i udręce...

- Teraz pamiętasz? - szepnął; melodia cichego głosu przeczyła brutalności ruchów. Przywarł do niej całym ciałem, więżąc jej drobną postać.

Nawet przez warstwy jedwabnych halek i aksamitnej spódnicy czuła na udzie jego pobudzoną, nabrzmiąłą męskość.

- A teraz? - Pchnął biodrami jej biodra.

Jej odwaga się ulatniała. Patrzyła na niego z niemą prośbą. Mruknął jakieś słowo - przekleństwo? pieszczotę? - a potem zamknął jej usta pocałunkiem, dzikim i gwałtownym.

Jego język zanurkował głęboko między jej wargi, dotykając ciepłego wnętrza policzków. Nie panował nad namiętnością.

Czuł na sobie ciężar jej piersi. Jej szyja w jego dłoni była kolumną z jedwabiu. Jej nadgarstek był delikatny jak skrzydło ptaka.

Mógł ją osiąść. Tutaj. Teraz. Ból przeszywał jego bok i rękę, tkwił w piersi i palił ogniem w głowie. Znał tylko jeden sposób, żeby go ukoić..

207

Sięgnął do jej kolan i zadarłszy spódnice, rozkoszował się gładką skórą na jej udach. Podniósł spódnicę wyżej, objął miękkie zaokrąglenia pośladków i podniósł ją, przyciskając jeszcze mocniej do ściany.

Zauważył ciemny ślad, jaki zostawiły jego brudne ręce wędrujące po jej mleczno białych udach. Była czysta.

Roześmiał się cicho, widząc, jak jej twarz nieruchomieje z przerażenia.

Czystość. On nigdy nie był czysty. Nie miał doświadczenia z niczym, co nie było zbrukane. Dopóki nie spotkał jej. Była świeża, słodka i niewinna. Pomimo swoich koszmarów. Pomimo piętna, jakie zostawiła na niej krew przelana w walce. Pomimo niego.

Czuł w nozdrzach jej zapach. Chłodne, jedwabiste fale jej włosów

opadały na jego przedramiona. Dlaczego nie miałyby jej posiąść, skoro odebrała mu jego jedyną własność - świadomość tego, kim jest.

Ugiął kolana. Nie mogła się opierać. Jej ciało tkwiło między nim a ścianą. Kołysał się rytmicznie. Nie mógł i nie chciał przestać. Chciał zatracić się w grzechu, gwałcąc ją. Chciał ją zdominować, zmusić do uległości, ukarać za to, że uczyniła go...

Poprzez łoskot własnego serca poczuł lekkie drżenie. Rhiannon płakała.

Nie był to słodki płacz szczęścia, jaki słyszał w tamtą przeklętą noc Beltaine. Nie był to płacz na nowo odkrytej namiętności, czystego pożądania. Nie płakała z rozkoszy, jak wtedy, kiedy oddała mu się z taką cudowną prostotą. Szlochała żałośnie, nie mogąc złapać tchu.

Dobry Boże, pozwól mi ją zgwałcić, modlił się. Pozwól mi z nią skończyć. Z głośnym jękiem oderwał od niej usta.

Rhiannon wciągnęła powietrze.

Otworzyła oczy i napotkała obramowane gęstymi rzęsami, szalone, obce oczy Asha. Czy kiedyś wydawało jej się, że są zimne? Niemożliwe.

Roztopiony ołów, dym ze świeżego drewna, żar i popiół - niczego zimnego w nich nie było.

Dłoń na jej szyi zacisnęła się nieznacznie, jakby w jej błagalnym spojrzeniu wyczytał coś, czego nie mógł znieść. Wpatrywała się w niego z rękami wczepionymi w jego ramiona, z biodrami przygwożdżonymi do ściany jego ciałem. Przez długą chwilę nie

odwracali wzroku. Po zmęczonej twarzy Asha przemknął wyraz gniewu.

Drżąc, zaczerpnęła głęboko tchu.

- Puść mnie - rozkazała. Wbił palce głębiej w jej szyję.

- Dlaczego? - zapytał szyderczo.

Chciała wyć, podrapać rękę duszącą ją za gardło. Na nic by się to zdało. Taki wyraz twarzy jak u Asha widziała na twarzach żołnierzy, którzy zadźgali bagnetami jej kuzynów. Czerwonym kurtkom kazano dopuszczać się czynów, których żaden z nich nie dopuściłby się z własnej woli. Ale to była wojna i taki był rozkaz Cumberlanda, więc palili wsie, strzelali do mężczyzn jak do wściekłych psów, zabijali bagnetami chłopców.

Nie mogli zatrzymać się chociaż na chwilę, aby zastanowić się, że ich wrogowie też są ludźmi. Nie pozwalali sobie o tym przypominać.

Kiedy najmłodszemu z jej kuzynów spłynęła łza po policzku, żołnierz zastrzelił go, wściekły, że przypomniano mu, że morduje dziecko.

W zachowaniu Asha dostrzegła tę samą rozpaczliwą potrzebę zagłuszenia wyrzutów sumienia jednym straszliwym, niewybaczalnym czynem. Pragnienie, by postawić ten ostatni krok i rzucić się w przepaść moralnego niebytu, gdzie przestałaby go dręczyć potrzeba dokonywania wyborów.

A jednak - mimo tego, co o nim wiedziała - nie sądziła, żeby doszedł już do tego etapu. Zakryła dłonią jego silny nadgarstek, modląc się, by miała rację.

- Ponieważ - powiedziała wyraźnie i stanowczo - sprawiasz mi ból.

Przerażasz mnie.

Patrzył na nią chwilę, jakby nie rozumiał, a potem powoli rozluźnił uścisk na jej szyi i puścił spódnicę zwiniętą na jej biodrach. Nie odezwał się ani słowem, odsunął tylko o krok, tak żeby mogła się ruszyć.

Nie spuszczając z niego wzroku, przemknęła w bok pod ścianą.

Patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy i rękami zwieszonymi wzdłuż boków. Macając dłonią za plecami, znalazła zasuwę przy drzwiach i odsunęła ją. Dopiero wtedy odważyła się odwrócić i wyjść.

Fia znalazła Gunnę na korytarzu. Stara niania niosła wiadro z wodą, uginając się pod jego ciężarem. Usłyszawszy kroki, przestraszona

209

upuściła wiadro na podłogę i poprawiła welon na twarzy. Uspokoila się, widząc Fię.

- Co ty robisz? - syknęła dziewczyna. - Wiesz, że jeśli Carr cię tu zobaczy, zwolni cię.

- Nie robi tego - parsknęła Gunna. - Nie miałby mnie kto zastąpić i on o tym wie. Nie martw się, kochana, idę tam. - Kiwnęła głową w stronę uchylonych drzwi. - Muszę opatrzyć chłopaka.

Fia spojrzała na drzwi.

- Ash tam jest?

- Tak. Ale ty nie wchodź. Jeśli jest przytomny, musi być wściekły jak sam diabeł.

- Dlaczego? - spytała Fia, chwytając wiadro i podnosząc je. Gunna

wzruszyła ramionami.

- Może nie ma ochoty, żeby jego kochanka została jego macochą.

Fia stanęła gwałtownie. Woda w wiadrze zakołysała się, mocząc dół jej sukni. Prawie nie zwróciła na to uwagi.

- Jego kochanka?

- Ano tak - powiedziała Gunna, mlaskając z dezaprobatą.

Fia patrzyła na nią zdumiona; Gunna rzadko plotkowała i nie zachęcała do tego dziewczyny. Nie powinna zadawać dalszych pytań.

Ale ojciec nauczył ją, jak ważne jest wiedzieć wszystko, co ma wpływ na nasze życie.

- Co? - mruknęła Gunna, patrząc w szeroko otwarte oczy Fii. - Myślałaś, że to całe picie i szaleństwa pana Asha brały się z chęci zabawy?

Wiem od samej dziewczyny, że ona i pan Ash byli kochankami. Tylko raz, ale tak sobie myślę, że panicz Ash chciałby to powtórzyć.

Mrugnęła okiem do dziewczyny i ciągnęła:

- A lord Carr musi mieć inne plany. Dlaczego posyłałby panicza Asha po tę dziewczynę, jeśli nie po to, żeby samemu się z nią ożenić?

Bez względu na to, co ona o tym myśli. - Zachichotała i podniosła wiadro. - Nie dziwota, że panicz Ash jest w podłym humorze.

- Ojciec nie sprowadził jej tutaj, żeby się z nią ożenić - powiedziała Fia, idąc za staruszką korytarzem. - Nie może tego zrobić.

- A niby dlaczego? - spytała Gunna, zatrzymując się pod drzwiami.

- Ponieważ - odparła Fia - parę lat temu, po śmierci lady

Beatrice, premier zagroził ojcu, że jeśli jeszcze jakaś jego żona umrze, niezależnie od przyczyny, on zapłaci za to głową. Wtedy ojciec przysiągł, że już nigdy się nie ożeni.

Gunna zmarszczyła brwi i pchnęła drzwi, otwierając je szerzej.

Usłyszały syk bólu.

- Lepiej już odejść, moja droga - powiedziała stara niania do Fii.

- Lepiej, żeby ojciec cię tu nie znalazł.

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, Gunna wślizgnęła się do środka, zostawiając Fię na korytarzu z zamętem w głowie.

Jego silne ramiona otaczały ją, dając schronienie, jego ciało zamieniło się w twarde jak skała narzędzie rozkoszy. Rhiannon jęknęła cicho, a Ash podniósł ją dużymi, ciepłymi dłońmi i wślizgnął się głęboko wewnątrz...

Nagły hałas sprawił, że usiadła gwałtownie na łóżku. Rozejrzała się nieprzytomnie, ale obok nie było kochanka, ducha czy kogokolwiek. Z jękiem zawodu pochyliła się, opierając czoło na podwiniętych kolanach.

Minęły dwa dni, odkąd Ash niemal ją zgwałcił, ale to nie ten ohydny czyn zajmował jej myśli. Nie. Myślała o sińcach znaczących jego piękne ciało i jego pełnych bólu oczach. Nawet jeśli udawało jej się nie myśleć o nim na jawie, pojawiał się w snach, jako kochanek, z którym połączyła ją niezwykła namiętność w noc Beltaine.

Słyszając pukanie do drzwi, Rhiannon podniosła głowę. Słońce właśnie wzeszło, rzucając smugi różowego światła na dywan w jej pokoju. Było wcześnie, za wcześnie nawet dla służby. Ktoś znowu zapukał, a potem usłyszała dzikie drapanie w drzwi.

- Panno Russell?! - zawołał męski głos. Wydawał się znajomy. -

Proszę, panno Russell! Proszę otworzyć! Nie potrafię jej utrzymać!

Przerzuciła stopy nad krawędzią łóżka, ześlizgując się na podłogę. Narzuciła coś na siebie i pobiegła do drzwi.

Wielki żółty pies skoczył od progu, grzechocząc długim łańcuchem, który wyrwał z rak opiekuna. Skoczył Rhiannon na

piersi, przewracając ją.

Niczym lew nad ofiarą stał nad nią, odsłaniając zębiska koloru kości słoniowej.

- Stella! - krzyknęła Rhiannon.

Rozradowana suka opuściła wielki łeb i przejechała jęzorem po twarzy pani.

- Och, Stello! - Rhiannon objęła psa za szyję i uściskała.

Młody mężczyzna w drzwiach przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. Był to Andrew Payne z gospody Pod Oraczem w Fair Badden.

- Skąd ona się tu wzięła? Czy pani Fraiser ją przysłała? - zapytała Rhiannon.

- Nie, panno Russell - odparł Andrew. - To pan Merrick. Parę tygodni temu pan Watt podjechał do gospody na wozie zaprzężonym w konia, który prawie padał, wściekły jak diabli. Wrzeszczał, że pan Merrick odjechał z tobą, panienko, i zaklinał się, że znajdzie go, zabije i przywiezie panienkę z powrotem. Był w takim stanie, że mój ojciec zawołał paru ludzi z izby, by dopilnowali, żeby sobie czegoś nie zrobili. Zabrali go, a ja zostałem przy wozie.

Grzechot łańcucha odwrócił uwagę Rhiannon. Nadal leżąc na podłodze i obejmując szyję Stelli, zaprosiła chłopaka do środka.

- Wejdz, Andy. Opowiedz mi resztę.

Andrew wszedł i ściągnawszy czapkę z głowy, zwinął ją w dłoniach.

- Cóż, zobaczyłem Stellę. - Skinął w stronę psa. Na dźwięk

swojego imienia suka machnęła ogonem. - Była cała we krwi, ledwie dyszała i miała skręconą tylną łapę.

Rhiannon sięgnęła ręką i wyczuła pod palcami zgrubienie na tylnej łapie Stelli.

- Zawsze ją lubiłem, choć pożytku z niej tyle co nic - powiedział chłopak. - Więc zabrałem ją do pani Fraiser i to cała historia.

- Jak pani Fraiser to przyjęła? - zapytała Rhiannon.

Andrew poruszył się niespokojnie, uciekając spojrzeniem w bok.

- Wylała trochę łez, gdy zobaczyła Stellę, ale zaraz zabrała się, żeby ją opatrzyć i nastawić łapę. Parę dni później przyszedł list od pana Merricka i to ją pocieszyło.

- List? - zdziwiła się Rhiannon.

- List i sakiewka. W liście pisał, że nie zabrałby cię, panienko, bez ważnego powodu, i prosił panią Fraiser, żeby zaopiekowała się psem.

- Co ona na to? Czy była smutna?

- Trochę się smuciła - odparł Andy - ale bardzo jej ulżyło.

Mówiła, że porywacz, który zadaje sobie trud, żeby napisać list z prośbą o zajęcie się jakąś suką i przewiezienie jej przez cały kraj, żeby sprawić damie przyjemność, musi o tę damę ogromnie dbać. A potem powiedziała, że co się stało, to się nie odstanie, i że nic ci, panienko, nie będzie. Potrafisz dać sobie radę.

- O co chodziło z tym przewiezieniem suki przez cały kraj?

- O pieniądze - wyjaśnił Andy. - Pan Merrick przysłał je, żeby ktoś mógł dostarczyć Stellę na wyspę McClairenów. Zgłosiłem się i cieszę się z tego. Nigdy nie byłem w takim miejscu. - Rozejrzył się po wspaniałej sypialni i wydał długi, cichy gwizd.

Rhiannon patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Ash postarał się, żeby Stellę wyleczono i przywieziono tutaj? Ash, kłamca o czarnym sercu, jej niedoszły gwałcieciel? Wielki Boże.

- Przyjechałem godzinę temu - powiedział Andy, nadal rozglądając się po pokoju. - Pan Merrick od razu mnie przyjął i dopilnował, żebyśmy oboje ze Stellą mieli w kuchni czym zapełnić sobie brzuchy.

Suka przewróciła się na grzbiet i zaczęła machać łapami wielkości talerzy, domagając się, żeby ją podrapano po brzuchu.

- Pan Merrick nie wygląda za dobrze. Oczy ma takie puste.

I...och, jaki ze mnie gapa! - Andy wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczył Rhiannon. - Kazał ci to dać, panienko.

Uśmiechnął się do Stelli.

- Nie martw się, ty wielkie słodkookie ladaco, dla ciebie też coś mam.

Ponownie zanurzył rękę w kieszeni, tym razem wyciągając wołową kość, którą rzucił suce.

- Dostałem to od jednej panny pomywaczki - wyjaśnił. - Miła dziewczyna. Uczynna, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Twarz Andy'ego spowaźniała. Klepnął się po udach.

- Cóż.. chyba już pójdę. Zostawiłem coś w pomywalni. Przyjdę jeszcze, zanim wyruszę do Fair Badden, na wypadek gdybyś miała, panienko, coś do przekazania pani Fraiser.

Nałożył sfatygowaną czapkę i skinąwszy głową, otworzył drzwi.

- Rano nie za wiele się tutaj dzieje, co? - mruknął i wyszedł.

Rhiannon rozłożyła kartkę drżącymi rękami. List był krótki, a pismo kanciaste, pozbawione ozdobników czy upiększeń -jak sam Ash.

Wybacz mi i przyjmij tego psa w charakterze przeprosin. Naprawdę nie chciałem cię przerazić. Merrick

Ale przecież posłał po Stellę na długo przed tą sceną w mrocznym pokoju, zanim nawet dotarli do Rumieńca Ladacznicy. Zrobił, co mógł, żeby zapewnić suce opiekę, a potem zorganizował sprowadzenie jej

214

tutaj, tak aby Rhiannon nie była sama. Ponieważ Ash rozumiał, co to znaczy być samemu, bez przyjaciół i bliskich.

I miłości.

Miłości doświadczył jednak w Fair Badden. Tego była pewna. Nie potrafił tylko jej rozpoznać.

Może nie był czarującym bon vivantem, który tak ją zafascynował w Fair Badden. Ale nie był też pozbawionym uczuć potworem, który uwiódł ją, by następnie porzucić. Był twardym mężczyzną rozpaczliwie pragnącym

czułości,

brutalnie

wykorzystywanym przez los i przez własnego ojca, szukającym chwili wytchnienia od ciągłej udręki.

Ta świadomość poraziła ją z jasnością ognia, który wydobył na światło dzienne najciemniejsze zakamarki jej serca i duszy, miejsca, które ukrywała starannie przez ponad dziesięć lat. Bezpieczne miejsca.

Tyle że Ash Merrick nie był bezpieczny i kochanie go nigdy nie będzie bezpieczne.. Zamarła na chwilę z ręką znieruchomiałą w grubej, miękkiej sierści Stelli.

A potem wstała, nie wahając się już dłużej, pewna siebie i swojego przeznaczenia. Nareszcie.

Ash siedział za biurkiem w kącie swego pokoju, wpatrując się w kolumnę liczb, które wypisał z pamięci. Zapisy w księgach Carra sięgały jakieś siedem czy osiem lat wstecz. Nie było przy nich żadnych notatek, tylko daty.

Ale co one, jeśli w ogóle cokolwiek, miały wspólnego z Rhiannon Russell? Westchnął ciężko, pocierając dłońmi nieogolone policzki. Do tej pory chłopak powinien jej dostarczyć to niewydarzone psisko.

Pewnie tarzają się teraz po podłodze, wariując z radości. Na tę myśl jego surową twarz rozjaśnił uśmiech; siedział tak przez chwilę, napawając się słodyczą tego obrazu, po czym wyprostował się i odgarnął włosy z czoła.

Musi się zastanowić nad poważniejszymi sprawami. Słyszał, jak

Fia wyjaśniała Gunnie, że król Jerzy nie tylko wygnał Carra do Szkocji w związku z jego obyczajem grzebania jednej żony za drugą, ale też ostrzegł lorda przed konsekwencjami, jeśli jeszcze jedna córka Anglii zakończy życie, będąc pod jego pieczęcią.

215

List Tunbridge'a musiał nawiązywać do obsesji Carra na punkcie odzyskania swojego „miejsca” w społeczeństwie. Tunbridge został prawdopodobnie wysłany po to, żeby wytyczyć jakąś drogę pojednania między królem a Carrem.

Było coś jeszcze. Zeszłej nocy Ash zdołał upić człowieka zajmującego się interesami - co stanowiło sukces sam w sobie, człowiek ów bowiem słynął ze wstrzemięźliwości.

Ash godzinami snuł przesadnie ponure opowieści o swoim pobycie w Paryżu, aż pomarszczony człowieczek zaczął w końcu kiwać głową ze współczuciem. Krok po kroku Ash wyciągnął z niego tajemnice lorda. Wyjawiwszy koszt utrzymania zamku, mężczyzna zmrużył porozumiewawczo załzawione oko.

- Dochody Carra pozwalają na to wszystko - szepnął. - Pewne informacje zawsze warte są złota. Do tego dochodzi gra. Niektórzy dżentelmeni, a jestem pewien, że domyślasz się, panie, nazwiska przynajmniej jednego z nich, jako że lord Carr opowiada, iż przebiłeś jego dłoń, płacą lordowi za przywilej dopuszczenia do jego stołów gry. Są jeszcze akcje i papiery bankowe, i ta posiadłość zamorska...

Uświadomiwszy sobie nagle, jak dużo powiedział, zakrył usta

dłonią, podniósł się niepewnie na nogi i uciekł.

Posiadłość zamorska? - zastanawiał się Ash. Ameryka? Australia?

Wstał zza biurka i podszedł do okna. Odkąd przybyła Rhiannon,

Carr z każdym dniem stawał się coraz bardziej napięty, jednak ostatnio

jego irytacja ustąpiła oczekiwaniu na coś. To komuś źle wróżyło, a tym

kimś w żadnym wypadku nie powinna być Rhiannon.

Zatopiony w myślach, prawie nie zwrócił uwagi, że za jego plecami

otworzyły się drzwi. Pewien, że to służący z filiżanką czarnej kawy,

Ash machnął rękaw stroną biurka, nie odwracając się.

- Postaw to tam i nie czekaj, żeby posprzątać. Wkrótce wychodzę.

Zapatrzył się w morze. Przyćmione światło rodzącego się dnia

działało kojąco na jego oczy. To było jak czysty świt w Fair Badden.

Chciałby pójść na spacer, chciałby brodzić w lśniącej od rosy trawie z

tym szalonym psem hasającym gdzieś z tyłu i z Rhiannon u boku.

Westchnął z rezygnacją. Nie dla niego takie sielanki. Musiał

dbać o swoją reputację.

- Żadnej włóczędzy w słońcu - mruknął do siebie. - Nie wtedy, gdy

216

noc zapowiada tyle rozrywek.

- Ashu Merrick, jesteś kłamcą.

Odwrócił się. Stała w smudze bladego światła, z chmurą

jedwabnych koronek przy bosych stopach i ramionami wyłaniającymi

się z piany nocnej koszuli, niczym alabastrowa Wenus wynurzająca się

z morskiej topieli.

Przełknął ślinę. Tyle mógł zrobić. Był zbyt zmęczony, ona zaś zbyt piękna. A przecież próbował, Bóg jeden wie, że próbował, uchronić ją przed Watem i Carrem, i - zwłaszcza - przed sobą samym.

Teraz jednak nie miał już sił; stracił ostatnią kroplę wstrzeźliwości, a nigdy nie miał niewinnych zamiarów. Pragnął jej, marzył o niej i oto była tutaj, w jego sypialni; pochmurny świt wydobywał z mroku jej postać; wydawała się jeszcze otumaniona snem.

Podjął jeszcze jedną desperacką próbę.

- Jeśli zrobisz jeszcze jeden krok - ostrzegł - nie pozwolę ci odejść.

Weszła głębiej.

Ash podszedł do niej i uniósł ją z taką łatwością, jakby była piórką. Przemierzył pokój i nogą pchnąwszy drzwi do sąsiedniego, zatrzymał się na progu.

Przez wysokie, wąskie okna od strony morza wpadało niewiele światła. Z północy nadciągnęła burza, powlekając niebo granatowo-szarymi chmurami; w pokoju panował półmrok. Pośrodku stało wielkie łóżko z baldachimem, nakryte nieskazitelnie białą kołdrą, niczym ołtarz ofiarny.

Okna zaskrzypiały nagle pod naporem wiatru, wyrrywając Asha z bezruchu. Zaniósł Rhiannon na łóżko, położył i osunął się na nią, więżąc w ramionach. Wzruszenie zamgliło jej prześliczne orzechowe oczy. Za późno. Oparł się nad nią na drżących rękach.

Pozerał ją wzrokiem, patrząc pożądliwie w jej ukryte w cieniu oczy, dotykając włosów rozrzuconych na kołdrze i przesuwał dłoń niżej, do głębokiego, obszytego koronką wycięcia nocnej koszuli. Z dekoltu wyłaniała się biała kolumna szyi, delikatne obojczyki rozpostarte jak skrzydła i atlasowa dolina między piersiami. Schudła przez ostatni miesiąc.

- Och, Ash - szepnęła, wyciągając rękę i ostrożnie dotykając siniaka pod jego okiem.

Schował twarz w jej dłoni, całując ją gorączkowo. Nie chciał jej zgwałcić ani wykorzystać... Chciał się z nią kochać. Pochylił głowę; ich wargi się zetknęły.

W głowie mu zaszumiało. Jej usta były tak miękkie i ciepłe, jak pamiętał, teraz jednak lekko, nieśmiało otwierały się dla niego.

- Pocałuj mnie, Rhiannon - szepnął, zdany teraz na jej łaskę i boleśnie świadomy, że prośba musi zostać odrzucona. Jakże mogło być inaczej? Była narzeczoną innego, a on ją uwiódł.

- Pocałuj mnie. - Musnął wargami aksamitną muszlę jej ucha.

Oszalał na jej zapach: ciepły, kwiatowy; ostry morski i sosnowy, zapach podnieconego ciała...

Odchylił jej głowę i pieścił nasadę szyi. Czuł pod językiem jej przyspieszony puls.

Ostrożnie wsunął dłoń pod jej kibić i umieściwszy ramię między łopatkami, delikatnie podniósł całe jej ciało do góry. Na jego rękę opadła atłasowa fala włosów.

- Rhiannon.

Pocałowała go. Uniosła głowę i przywarła ustami do jego ust.

Czubek jej języka zatrzymał się między jego wargami, zarazem śmiały i płochliwy.

Zadrżał, oszołomiony własną reakcją. Leżała pod nim i czuł, że jej piękne ciało budzi się powoli do miłości. Ale on pragnął nie tylko tego ciała. Pragnął jej całej. Jej ciała, jej serca, jej duszy. Nie mógł już dłużej z tym walczyć.

Pokonała go.

Ułożył biodra na jej biodrach. Rozsunęła uda. Starał się panować nad sobą, nie chcąc sprawić jej bólu. Jedną dłonią podtrzymując jej

głowę, uniósł się lekko i wsunął pomiędzy nich rękę. Napotkał cienki jedwab i koronkę delikatną jak pajęczyna. Nie myślał już, działał instynktownie. Materiał, który ją od niego odgradzał, pękł z trzaskiem. Przestraszona, otworzyła oczy i instynktownie podniosła ręce do jego piersi.

Był zły na siebie. Nie miał ani wdzięku, ani finezji, niczego poza tym rosnącym pragnieniem, z każdą chwilą odbierającym mu resztki panowania nad sobą.

Uwolnił jej usta. Serce biło mu szaleńczo. Zamknął oczy, narzucając sobie spokojniejszy rytm oddechu, podporządkowując pożądanie woli. Nie chciał jej przestraszyć.

- Nie zrobię ci krzywdy - obiecał zdławionym głosem. Tak delikatnie, jak potrafił, dotknął jej policzka, skroni, przesunął opuszką palca po jedwabistej brwi i rzęsach, próbując jej pokazać to, czego nie był w stanie wypowiedzieć.

Pod wpływem jego uspokajających pieszczot rozluźniła się.

Gładził jej ramię powolnymi kolistymi ruchami, zbliżając się stopniowo do piersi. Westchnęła; był to słodki dźwięk przyzwolenia. Odnalazł czubek jednej piersi i chwycił delikatnie między kciuk a palce, wpatrując się intensywnie w jej twarz.

Wciągnęła ostro powietrze i wygięła się lekko w oczekiwaniu na dalsze pieszczoty. Nie zamierzał jej zawieść. Jego usta zamknęły się

chciwie; jednocześnie głąskał i gniótl drugą mięką wypukłość.

To było więcej, niż Rhiannon była w stanie znieść. Wszystkie przekleństwa, ostrzeżenia i groźby, które wypowiadała przedtem, broniąc się przed jego czarem, nie mogły jej uratować. Nie chciała się ratować.

Jego usta budziły w niej zakazane odczucia, pod jego dłonią druga pierś nabrzmiała. Dotyk jego twardego ciała na miejsce u szczytu jej ud zapowiadał morze przejmujących doznań.

Przezesłał palcami jego długie czarne włosy, pogładziła twarz, czując chropowatość nieogolonych policzków. Jego pieśczota zintensywniała. Z jej gardła wydobył się cichy pomruk zadowolenia.

Puścił ją i podniósł na nią ciemne oczy. Ujął jej ręce i położywszy na prześcieradle, przesunął się wyżej, z nogami po obu stronach jej bioder. Uniósł się na ramionach i uklęknął. Trwał tak chwilę, wpatrzony w jej usta, a potem wyszarpnął koszulę ze spodni i płynnym ruchem zsunął przez głowę.

W noc Beltaine było ciemno, więc nie mogła zobaczyć jego ciała, z którym tak bardzo pragnęła się zespolić. A kiedy walczył, pokrywały go brud i krew. Teraz zobaczyła.

Był piękny, piękniejszy, niż potrafiła sobie wyobrazić. O wąskich biodrach, szerokich ramionach i wspaniale umięśnionym torsie. Jej spojrzenie powędrowało w dół i zaraz uciekło. Napięty materiał bryczesów świadczył o pobudzeniu.

Popatrzył w tę samą stronę.

- Tak, *boidheach*, gotowy, twardy i chętny, żeby sprawić ci rozkosz. Żeby dać rozkosz mnie. W imię namiętności.

- Żadnego innego powodu? - szepnęła, starając się zdławić lekki niepokój, jaki wzbudziły w niej jego słowa.

Zamiast odpowiedzieć, wyciągnął rękę i przesunął dłoń w delikatnej pieszczocie, zaczynając od podstawy jej szyi, potem między piersiami i po brzuchu aż do gęstych, miękkich loków między udami. Wiła się pod jego dotykiem, usiłując sobie przypomnieć, o co pytała i dlaczego.

- A musi być inny? - wyszeptał chrapliwie.

220

Nie odpowiedziała, bo jego palce znalazły szczelinę między jej udami i gładziły leciutko jedwabiste wnętrze. Grał na jej ciele dłońmi i językiem, sprawiając jej rozkosz graniczącą z bólem. Zagubiona w wirze doznań, nieprzytomna z pożądania, mruczała urywane, nieprzytomne słowa.

W końcu nie mogła już tego znieść... uniosła ręce i otworzyła szeroko niewidzące oczy. Spadł na nią jak orzeł na gołębicę.

Zsunąwszy spodnie, bezbłędnie odnalazł wilgotne zagłębienie, które tak starannie przygotował. Wszedł w nią jednym płynnym ruchem.

Instynkt podpowiedział jej to, czego oszołomiona głowa nie pamiętała; uniosła biodra, dopasowując się do niego. Przepęłniało ją szczęście.

- Rhiannon - sapnął, chwytając ją za biodra dużymi, mocnymi

dłońmi; blizny na nadgarstkach błysnęły jak sznury mlecznych pereł.

- Tym razem to się liczy. - Nie spuszczał z niej wzroku, aż się poddała.

- Tak. Liczy się.

Zaczął się poruszać. Przez jej ciało przepływały fale pożądania, napinając mięśnie w oczekiwaniu, zmuszając do poddania się wzrastającej sile jego pchnięć. Wygięła plecy, otworzyła usta w milczącej prośbie i wyrzuciła ręce do góry, jakby szukała obrony przed zalewającymi ją doznaniem.

Natrafiły na twarde jak skała ciało Asha. W jego gardle zawibrowało coś w rodzaju warknięcia. Mięśnie ramion, piersi i szyi uwypukliły się; pokrywały je ciemne żyły. Poruszał się w coraz szybszym rytmie, agresywny, męski; był w jej ciele, brał ją.

Teraz! Wszystkie odczucia skondensowały się, zbiegając w jednym punkcie.

Nastąpiła eksplozja.

Każdy centymetr jej skóry, każde włókienko ogarnęła bezgraniczna, intensywne rozkosz.

Dyszała, uniesiona tą falą, cała drżąca. Odrzucił głowę do tyłu, podnosząc ją i przyciskając do siebie.

- Rhiannon. *Chan Urrainn dhomb ruith tuilleadb*. Nie mogę już uciekać. Moje serce. Zawsze tak było.

ramiona, pocałunki i siła.

- Rhiannon! - Wsunął się w nią po raz ostatni.

Zadrżał i z jego gardła wydobył się cichy okrzyk triumfu. Zamarł głęboko w jej ciele, piękny w akcie spełnienia.

Potem opadł twarzą na jej szyję. Słyszała jego chrapliwy oddech.

Z cichym jękiem oparł ramię na materacu, przetaczając się na plecy i wciągając ją na siebie. Otoczył ramieniem jej kibić.

Był gorący, wilgotny i mocny, nigdy nie czuła czegoś tak cudownego, doskonałego. Zmęczona, oderwała się od czasu i pamięci; jego pierś stała się jej poduszką, jego ciało łóżkiem.

- Śpij, Rhiannon - szepnął, odgarniając jej włosy ze skroni. -

Dzień poczeka.

Westchnęła, pocierając policzkiem jego wznoszącą się pierś, a potem zasnęła.

Rhiannon wracała powoli do przytomności. Ciepła skóra pod jej policzkiem wznosiła się i opadała rytmicznie. Ash. Otworzyła oczy.

Nadal było wcześnie, w pokoju wciąż panował mrok. Rzut oka na ołowiane niebo za oknem wyjaśnił, dlaczego. Nad wybrzeżem szalała burza. Mogło minąć parę dni, zanim pogoda się zmieni.

Podniosła wzrok na Asha. Zdumiało ją to, co zobaczyła.

Zawsze myślała o nim jako o mężczyźnie w pełni dojrzałym, który dawno już wszedł w wiek męski. Teraz, kiedy sen zmiótł z jego twarzy wyraz zmęczenia, a powieki zakryły jego smutne, czujne oczy, uświadomiła sobie, że Ash Merrick jest bardzo młody.

Zaledwie parę lat starszy od niej. Ogarnęła ją czułość.

Zsunęła nogi na podłogę i usiadła. Westchnął przez sen i sięgnął ręką w poprzek łóżka, tak jakby nawet uśpiony czegoś szukał.

Pochyliła się, chcąc pocałować nieogolony policzek, ale się rozmyśliła.

Powinna odejść, zanim ktoś znajdzie ją w jego łóżku i doniesie lordowi Carrowi. Nie wątpiła, że ojciec Asha wykorzystałby tę informację na ich szkodę, A nie chciała być jeszcze jednym cepem, jakim Carr wymachiwał nad głową syna. Chciała tylko kochać Asha.

Uśmiechnęła się smutno. Miała rację w Fair Badden, myśląc, że to dziewczęce zauroczenie. Oczarowały ją uroda Asha,

222

niebezpieczeństwo, jakie zapowiadały poznaczone bliznami nadgarstki, jego wymowa i wykwintne maniery. Zakochała się w masce, w postaci, którą stworzył, żeby ukryć swoje prawdziwe oblicze. Pod tą maską był mężczyzna bardzo silny i jeszcze bardziej wrażliwy. Mężczyzna, który potrzebował miłości.

Cóż, pomyślała Rhiannon, ma swoją miłość, czy tego chce, czy nie. Kochała Asha Merricka.

Jakie to smutne, że spędziła tyle lat wśród kochających, dobrych ludzi i nigdy nie poznała najprostszej prawdy o tym uczuciu - że serce nie potrzebuje powodu, lecz tylko okazji, aby kochać.

Nigdy nie musiała zapracować na miłość Richarda i Edith

Fraiser. Nigdy nie musiała się starać, żeby zapewnić sobie uczucie

Phillipa.

Myśl o Phillipie przygnębiła ją. Jak źle go potraktowała! Jaką wyrządziła mu krzywdę! Nigdy nie zdoła wynagrodzić mu tej krzywdy - ale musi chociaż spróbować. Nie zagna spokoju, jeśli nie spróbuje.

Wstała i rzuciwszy ostatnie tęskne spojrzenie na Asha, wyslizgnęła się z pokoju na ciemny korytarz.

W stajni było ciepło, a Andy Payne był tak rozgrzany i zachwycony sobą, jak tylko może być szesnastolatek wprowadzony właśnie w świat rozkoszy cielesnej. Jego kochana - Cathy? Carly? - wyszła wcześniej, a on trochę się zdrzemnął. Miał prawo czuć się zmęczony, ale teraz czuł, że dojrzał do kubka mleka i kawałka wołowiny.

Pogwizdując radośnie, zsunął się po drabinie ze schowka na siano i wyszedłszy ze stajni, ruszył do kuchni. Między warzelnią piwa a chłodnią wpadł niespodziewanie na człowieka górę.

Zatoczył się do tyłu, podnosząc wzrok na niegdyś przystojną, a teraz zniszczoną brakiem snu i bólem twarzy.

- Pan Watt! - krzyknął Andy.

Phillip zakrył chłopakowi usta dłonią, a potem zaciągnął go w krzaki o piętnaście metrów dalej. Z zagajnika wyłoniło się kilku mężczyzn, którzy otoczyli Andy'ego. Twarze mieli ponure, ubrania i buty sfatygowane podróżą.

Andy rozpoznał Johna Fortnuma, Bena Hobsona i Edwarda St.

Johna. Pozostałych dwóch nie znał z nazwiska, ale błysk podniecenia w ich oczach widział aż za często podczas lat pracy u ojca w gospodarstwie. Awanturnicy. To nie wróżyło nic dobrego.

- Co pan tu robi, panie Watt? - zapytał, chociaż podejrzewał, że już zna odpowiedź. - Skąd się pan tu wziął?

- Jesteśmy tu od trzech dni, chłopcze - odparł Phillip - i

czekamy na okazję, żeby posłać słówko Rhiannon. Dzięki Bogu, że się pojawiłeś.

- Wystarczyło napisać list i wysłać przez kuriera. Albo dać go mnie! - zawołał zdumiony Andy. - Co rano spaceruje nad urwiskiem. Nie trzymają jej tu jak więźnia.

- Ha! - Phillip zaśmiał się gorzko, a gorycz u tego człowieka, którego Andy znał jako wesołego, dobrodusznego poczciwca, robiła równie dziwaczne wrażenie jak śnieg latem. - Pilnują jej dzień i noc. Widziałem jej strażników. Wszyscy widzieliśmy. - Powiódł wzrokiem po kompanach.

Skinęli zgodnie głowami.

- Czy... czy nic jej nie jest? - spytał ponuro.

- Nie - zapewnił Andy. - Może odrobinę schudła, ale źle jej nie traktują. Myślę, że jest trochę samotna.

Phillip się skrzywił.

- Co? Nawet z Merrickiem...

Schwycił Andy'ego za rękę i wsunął mu w dłoń zapieczętowaną kartkę papieru.

- Zanieś jej to.

Wyraz twarzy Phillipa sprawił, że Andy cofnął się o parę kroków.

- Tak, panie - wydusił z siebie. - Już biegnę.

Wybiegł z zagajnika, gnany strachem. Strachem nie tylko o siebie, ale i o Phillipa Watta, który wydawał się tak straszliwie

zmieniony, a także o Rhiannon Russell. Andy'emu nie spodobał się wyraz jego oczu, kiedy o nią pytał.

Obejrzał się przez ramię. Mężczyźni z Fair Badden rozplynęli się w powietrzu i... Po raz drugi tego ranka Andy wpadł na wysokiego, mocno zbudowanego mężczyznę. Silne ręce pozwoliły mu utrzymać równowagę, z mroku odezwał się spokojny głos ze szkockim akcentem.

- No, chłopcze. Co tam słyhać u twoich przyjaciół?

Donne zobaczył Rhiannon, gdy szła energicznym krokiem w stronę szklarni, z płaszczem na ramieniu i wielkim chudym psem u boku.

- Nie zamierzasz chyba dzisiaj spacerować, panno Russell?! - zawołał.

Rozejrzała się, zaskoczona, i uśmiechnęła na jego widok.

Tego ranka wyglądała jak świeżo rozkwitła róża, promieniowała młodością i obietnicą szczęścia. Donne żałował, że w jego sercu nie ma miejsca na coś tak świeżego i ucziwego. Cóż, przepelniało je pragnienie zemsty.

- Prawdę mówiąc... zamierzałam - odparła Rhiannon.

- Wiatr zdmuchnie cię z urwiska, panno Russell. Jeśli jednak się upierasz, pozwól, że będę ci towarzyszył.

- To niezwykle uprzejme z pańskiej strony, lordzie Donne -

225

rzekła - muszę jednak wyznać, że dzisiaj najchętniej spędziłabym

czas w swoim własnym towarzystwie.

- Nalegam. - Donne podszedł bliżej, patrząc z góry na jej

lśniące, pozbawione pudru włosy. - Mam dla pani liścik od przyjaciela.

- Przyjaciela? - zdziwiła się.

- Tak. Przyjaciela z Fair Badden. - Podał jej ramię; po chwili wahania wsunęła pod nie rękę. - Ani słowa więcej, panno Russell.

Carr słusznie nazwał Rumieniec Ladacznicy swoim królestwem, a siebie samego królem. Despotycznym królem. Władzę zapewnia sobie wieloma metodami, zastraszenie i szantaż to zaledwie dwie spośród nich. Kiedykolwiek się odzywasz, cokolwiek mówisz, radzę ci, pani, uważaj na słowa.

- Zechciej pamiętać, lordzie Donne, że lord Carr jest moim opiekunem - powiedziała cicho.

Tak, pomyślał Szkot, podczas swojego krótkiego pobytu w Rumieńcu Ladacznicy nauczyła się już ostrożności i nieufności wobec każdego i wszystkich. Oby Bóg sprawił, by nie musiała tu zostać i odebrać kolejnych gorzkich lekcji.

- Pamiętam o tym - odparł gładko. Dotarli do drzwi szklarni.

Wziął płaszcz, który niosła, i okrył ją nim. - Pójdziemy?

Skinęła głową i wyszli na zewnątrz. Deszcz padał nierównomiernie, raz z większą, raz z mniejszą siłą, ogałającą kwiaty z płatków. Małe ozdobne krzewy w ogrodach tańczyły przy każdym podmuchu, trzask ich gałęzi zlewał się z szumem wiatru.

Donne przyciągnął Rhiannon do siebie, starając się zasłaniać ją własnym ciałem. Minęli taras i zeszli w dół schodami, schylając się pod łukiem, który stanowił wejście do warzywniaków i terenu nad morzem.

Przy furtce Donne zatrzymał się i wręczył Rhiannon list. Złamała pieczęć i rozłożywszy kartkę, zaczęła czytać. Po chwili krew odplynęła jej z twarzy, a ręce zaczęły się trząść.

- Poszedłbym do niego, panno Russell - powiedział Donne.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Przejąłem posłańca, którego wysłał twój narzeczony, chłopca nazwiskiem Payne - wyjaśnił. - Był przerażony, ale zdołałem go

226

przekonać, że chodzi mi wyłącznie o twoje dobro, panno Russell.

Wtedy powiedział mi o Phillipie Watcie i o tym, że Merrick cię porwał.

- Nie rozumiesz - szepnęła Rhiannon.

- Rozumiem - zapewnił Donne. - Ash Merrick jest bezwzględny człowiekiem. Znam go. Rozumiem go i w pewien sposób - pozwolił sobie na krzywy uśmiech - nawet podziwiam. A ponieważ go rozumiem, mówię ci, panno Russell: w jego sercu nie ma miejsca na coś tak kruchego jak miłość ani tak mglistego jak honor. Na wyspie McClairenów nie czeka cię nic poza cierpieniem. Jeśli zostaniesz, zamienisz się w marionetkę. Carr interesuje się tobą, co samo w sobie jest przerażające. Dodaj do tego zainteresowanie

Merricka i masz przed sobą bardzo nieciekawą przyszłość. Czy wiesz, że Merrick prosił mnie, bym sprawdził, jaką korzyść może przynieść komuś twoja śmierć?

Podniosła gwałtownie głowę, wyraźnie zszokowana.

- Tak było - zapewnił Donnę. Nie chciał jej zranić, ale wiedział, że może ją oszczędzać. - Merrick próbuje też ustalić twoją wartość w tej szalonej grze w szachy.

- Dziękuję za troskę, lordzie Donnę - powiedziała cicho. -

Bardzo ją sobie cenię.

Na jej pięknej twarzy nie było śladu strachu, który miał nadzieję wzbudzić, tylko głęboki smutek. Sfrustrowany Donne spróbował jeszcze raz.

- Nie rozumiesz. To nie jest zwykła nieprzyjemna rodzina. Oni są źli. Carr zabił swoją pierwszą żonę, a potem następne dwie. Nikt o tym nie mówi - bo kto by się ośmielił? - ale w Londynie wszyscy o tym wiedzą, łącznie z królem. Carr nie mieszka tu dobrowolnie. Jest tu, ponieważ został wygnany. Król nie pozwala mu wrócić do Londynu, co więcej, obiecał skrócić go o głowę jeśli jeszcze jakaś dziedziczka umrze pod jego dachem. Oto kim jest twój opiekun, panno Russell! Pozwolił swoim synom gnić w piekle, zamiast wyłożyć pieniądze na ich wykup. A Ash Merrick jest jego nieodrodnym synem. W jego żyłach płynie ta sama krew.

Widziałem, jak przebił człowiekowi dłoń, bo oszukiwał w kartach, a

ty sama widziałaś, jak walczył...

- Musiał - przerwała mu Rhiannon. - Musi robić to wszystko, co robi, żeby uwolnić brata.

- Jego brat zgwałcił zakonnicę! Jest tak samo zły jak jego ojciec! Oni wszyscy tacy są! - Donne krzyczał, zirytowany jej niezrozumiałą wiarą w Merricka, jej nieprawdopodobną naiwnością.

- Fia jest tylko dziewczką Carra, wychowaną po to, żeby przynieść jak największą korzyść przy zamążpójściu!

- Lordzie Donne - powiedziała Rhiannon. - Tak... tak mi przykro.

- Nie chcę, żeby ci było przykro, panno Russell. Chcę, byś obiecała, że pójdziesz do Watta. Że opuścisz to przeklęte miejsce. - Chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią. - Próbuję ci pomóc, panno Russell!

Przez chwilę wpatrywała się w niego badawczo, a potem powiedziała:

- Pójdę do niego. Obiecuję.

Puścił ją i patrzył, jak odchodzi w narastającej wichurze.

Fia usłyszała chrzęst butów Donne'a na żwirowej alejce.

Odchodził. Osunęła się na ubłoconą trawę i zamknęła oczy.

Małe dziecko, które nadal kryło się za wspaniałą

powierzchnością światowej damy, zapłakało gorzko. Fia wolałaby zapomnieć to, co usłyszała.

Gdy zobaczyła, jak Donne zbliża się do Rhiannon, pamiętna

pouczeń ojca, żeby zbierać wszelkie możliwe informacje,
prześlizgnęła się wzdłuż muru od strony warzywniaka i podeszła do
miejsca, skąd słyszała ich rozmowę.

Nie było to trudne. Głos Donne'a przebijał się przez szum wiatru.

Usłyszała każde słowo.

Żałowała, że nie ma noża. Gdyby miała, przebiłaby nim fałszywe
serce Donne'a. Był dużym i silnym mężczyzną, najtwardszym z tych,
których знаła, twardszym nawet od Asha.

Sądziła, że Thomas Donne jest doskonały: miał ogładę, był
twardy, a jednak miał w sobie jakieś... współczucie. Oparła głowę na

228

szarym kamieniu, szlochając i śmiejąc się. Współczucie. Dobre
sobie.

Zakochała się w nim dwa lata temu, kiedy przyjechał do

Rumieńca Ladacznicy z przyjaciółmi. Od tamtego czasu kochała go
całą mocą swojego namiętnego młodego serca i robiła wszystko, co
mogła, by zwrócić jego uwagę i zasłużyć na jego szacunek.

Codziennie musiała walczyć z nieśmiałością, która ją ogarniała,
ilekroć znalazła się w jego obecności. Od nauczycieli i guwernantek,
modystek i krawców, dostawców perfum i wytwórców peruk brała
wszystko, co tylko mogło ją upiększyć. Dla niego. A on jej
nienawidził. Nienawidził ich wszystkich.

Ponieważ - zagryzła wargę do krwi - ponieważ, jak powiedział,
jej ojciec zamordował jej matkę. Ash był zły i podstępny, Raine

zgwałcił zakonnice, a ona? Ona była dziewczką, a Carr jej sutenerem.

Po raz pierwszy od lat łzy napłynęły jej do oczu. Wypłynęły spod powiek i polały się po policzkach, mieszając z deszczem. Coraz więcej i więcej, cała rzeka łez, tych, których nigdy nie wypłakała, i tych, którym nigdy nie chciała pozwolić płynąć. A kiedy nawet łez zabrakło, wbiła pięści w błoto aż po nadgarstki i odepchnąwszy się, stanęła na nogach. Potem ruszyła do Rumieńca Ladaczniczy.

Do gabinetu ojca.

To znaczy, że ze mną nie pojedziesz? - spytał Phillip podniesionym głosem. Rhiannon spojrzała na niego ze smutkiem. Jej oczy były spokojne i nieprzeniknione jak jesienna mżawka. Nie przypominała dawnej Rhiannon. Wydawała się obca, starsza i mądrzejsza od tamtej.

- Nie mogę wrócić, Phillipie - powiedziała. - Przyszłam, ponieważ jestem ci winna coś więcej niż list, a nie dlatego, że zamierzałam z tobą odjechać. Tak mi przykro, Phillipie. Tak bardzo doceniam to, że przyjechałeś. Żałuję, że nie mogłam oszczędzić ci podróży.

- Doceniasz? - Przeczesał dłonią mokre włosy. - Doceniasz, że tu przyjechałem? To wszystko?

Nie odpowiedziała i nagle poczuł, że wściekłość, która tkwiła w nim tuż pod powierzchnią, zaczyna dochodzić do głosu.

- Co zrobisz? Wrócisz do tego - wskazał ręką zamek - burdelu i będziesz dziwką Merricka? Czy właśnie to wolisz ode mnie?

- To nie ma sensu, Phillipie - szepnęła. - Nawet gdybym się zgodziła, a nie zrobię tego, twój ojciec nigdy nie pozwoli nam się pobrać. I słusznie, bo w głębi serca wcale nie chcesz się ze mną ożenić.

- Nie mów tak! - Spojrzał z ukosa na swoich towarzyszy, którzy stali pod mokrymi drzewami. Nawet z tej odległości widział pełną niesmaku minę St. Johna. - Możemy przekonać ojca. Jeżeli

zamieszkamy w Fair Badden, zgodzi się. Na Boga, przecież to on
wybrał cię na moją żonę! - Usiłował się roześmiać, ale nie zdołał.

Pokręciła głową.

Nie przyjął jej odmowy, przepełniony gniewem. Od chwili, gdy

Ash Merrick wkroczył w jego życie, zaczął je niszczyć.

Boże, jak on go nienawidził! Merrick oczarował i

zahipnotyzował go, a potem zdradził w jak najdosłowniejszym

sensie. Zdradził ich wszystkich, pomyślał, patrząc na pozostałych,

którzy stracili pieniądze i spokój ducha za sprawą tego księcia

ciemności.

Ale Merrick nie będzie ich dłużej prześladować.

Phillip chwycił Rhiannon za ramiona i przytulił do siebie.

Dostrzegł jej niechętny grymas, ale był zbyt przejęty, żeby zwrócić

na to uwagę.

- Nie musimy brać ślubu w kościele - powiedział. - Jesteśmy w

Szkocji, do cholery. Wystarczy, że wypowiemy stosowną formułę przed

odpowiednim świadkiem. A potem możemy wrócić do Fair Badden już

jako mąż i żona.

- Ale ja nie wypowiem tych słów - odparła cicho.

Potrząsnął ją mocno, jak pies, który nie chce wypuścić szmaty z

pyska.

- O co ci chodzi, Rhiannon? Myślisz, że zostaniesz panią tego zamku?

Nie wiesz, co to jest Rumieniec Ladacznicy? To miejsce słynie z

rozpusty.

Wiła się w jego objęciach.

- Phillipie, proszę. Sprawiasz mi ból.

- Nie dbam o to! - wrzasnął, zagłuszając wycie wiatru. - Mnie też zraniono!

Znieruchomiała i spuściła głowę; nie ze wstydu, czuła tylko smutek.

- Wiem - powiedziała. - Ale to nie jest sposób, Phillipie. To nie złagodzi bólu.

- Może nie - warknął - ale nie pozwolę, żebyś mu się oddała. Nie mógłbym żyć, gdybym dopuścił, żebyś stała się jego dziewczką.

- Och, Phillipie...

- On cię nie poślubi, Rhiannon. - Znowu nią potrząsnął, jakby chciał odegnąć czar, jaki nią owładnął. - Będzie się tobą bawił, dopóki mu się nie znudzisz, a potem zostawi cię.

Podniosła na niego oczy, pełne współczucia i zrozumienia. Nie mogąc znieść tego spojrzenia, wciągnął głęboko powietrze i wychrypiał:

- Nie pozwolę, żeby cię dostał.

Schylił się i podniósłszy ją, przerzucił sobie przez ramię.

- Phillipie! Nie!

Podszedł do towarzyszy, nie zwracając uwagi na jej prośby i złorzeczenia, na wierzgające nogi i ręce, które go biły. Jest przyzwoitym człowiekiem i ofiaruje jej swoje nazwisko. Musi tylko wydostać ją spod tego

powinno.

Jego towarzysze, którzy obserwowali z napięciem całą scenę, teraz rzucili się do koni, uśmiechając się do siebie porozumiewawczo.

Tego, że czuł się bardziej rozgoryczony niż zwycięski, nie musieli wiedzieć. Wiedzieli tylko, że Rhiannon należy do niego i że on nigdy jej nie odda.

Późnym popołudniem Thomas Donne zobaczył Asha Merricka i jego ojca przed gabinetem Carra. Ash mówił coś cichym głosem, a twarz lorda tchnęła wrogością. W pobliżu nie było żadnego gościa; szykowali się do nocnych bachanaliów.

Donne uśmiechnął się z satysfakcją. Pragnął zobaczyć minę Carra, kiedy drań uświadomi sobie, że jego plany wobec Rhiannon - jakiegokolwiek by były - właśnie wzięły w łeb. Nie miał też nic przeciwko temu, by ujrzeć choćby zawód na dumnej twarzy Asha na wieść, że został odrzucony na rzecz innego.

Niewielka zemsta na rodzinie, która przyczyniła się do zdziesiątkowania jego własnej - ale musiał zadowalać się drobnymi sukcesami, zanim znajdzie sposób, żeby doprowadzić cały ten dom do ruiny. Watt był istnym darem niebios. Jakie to cudowne, że nawet zadając cios, Donne mógł pozostać w swojej roli oddanego przyjaciela.

- Merrick! Lordzie Carr! - zawołał.

Ash spojrzał w jego stronę. Brwi Carra uniosły się do góry pytająco.

Donne podszedł do nich, przybrawszy zmartwiony wyraz twarzy. Wyjął

z kieszeni liścik Warta.

- Właśnie wracam z pokojów panny Russell. Poszedłem tam, żeby zapytać, czy miałyby ochotę na spacer w szklarni. Drzwi były uchylone, wszedłem więc do środka i znalazłem to na podłodze. Wiem, że nie powinienem, ale przeczytałem ten liścik. Sądzę, że ty również powinieneś go przeczytać, panie, jako że jesteś jej opiekunem. - Podał Carrowi list.

Carr zaczął czytać, a Donne czekał z bijącym sercem, uważając, żeby nie zdradzić swoich prawdziwych uczuć. Gdy wreszcie lord podniósł wzrok, na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia i ulgi.

232

Donne z trudem ukrył zaskoczenie. Ash, nie mniej zdumiony, wyrwał list z rąk ojca.

- Ma, czego chciała. - Carr nie był w stanie stłumić radosnej nutki w głosie. - Oto jak się kończy przyjmowanie pod swój dach nieszczęsnych sierotek. Co za brak wdzięczności. - Przeniósł spojrzenie na Donne'a.

-

Widziałeś sam, nieprawdaż? Dałem jej dom, ubrałem jak księżniczkę, a ona odrzuciła to wszystko. Nic więcej nie mogłem zrobić, czyż nie?

Donne był tak bardzo zbity z tropu reakcją, lorda, że nie potrafił zdobyć się na odpowiedź.

- Nie mogłem jej zatrzymać, prawda? - nalegał Carr.

- Nie - przyznał Donne.

Carr pokiwał głową.

- No cóż, to koniec tej sprawy. Dziewczyna sobie poszła, a ja mam gości, którymi muszę się zająć. - Klasnął w dłonie i oddalił się żwawym krokiem.

Donne patrzył za nim, niczego nie pojmując. Dałby głowę, że Carr planował coś paskudnego w związku z Rhiannon Russell.

Zerknął na Asha i... nie mógł już oderwać od niego wzroku.

Drobny zawód - tego się spodziewał, wyobrażając sobie tę scenę.

O ile w reakcji Carra nie można się było dopatrzeć śladu urazy, o tyle życzenia Donne'a wobec Asha spełniły się dziesięciokrotnie, stukrotnie, nie - tysiąckrotnie.

Nigdy nie widział takiej rozpaczyny na twarzy mężczyzny. Ból zamienił oczy Asha w arktyczny lód, a potem w popiół i pustkę. Ręce zwisały mu bezwładnie u boków, jakby nie mógł ich podnieść, jakby samo to, że stoi, stanowiło wysiłek ponad jego siły.

- Odeszła, powiadasz? - Głos Merricka był spokojny, bezbarwny.

- Tak. Gunna mówi, że wyszła wcześniej rano. Znalazłem chłopca, który dostarczył jej tę wiadomość.

- Chłopca?

- Andy'ego.

Ash podniósł wzrok; wydawał się z trudem zbierać myśli.

- Ale ty właśnie przyszedłeś z jej pokoju - wymamrotał. - Nie wspominałeś o rozmowie z chłopcem.

Donne przeklął się z ducha za głupotę.

- Nie uważałem za stosowne mówić twojemu ojcu na ten temat więcej, niż koniecznie potrzeba - wyjaśnił. - Posłuchaj, Ash. Chłopak mówił, że Watt sprowadził wielu ludzi. Że rozłożyli się obozem w drugim końcu wyspy. Nie ma sensu jej ścigać. I nie ma po co.

- Tak. Wiem.

Boże, nie bawiło go to wcale. Merrick krwawił, a Donne nie miał ochoty jątrzyć otwartej rany.

- Wyrwała się z łap Carra, Ash. I właśnie tego chciałeś, prawda?

Ash odwrócił powoli głowę i spojrzał mu w oczy z taką przenikliwością, iż Donne zrozumiał, że zdradził się jako wróg. Widział również, że to nie sprawia Ashowi żadnej różnicy, że nic już nie ma dla niego znaczenia.

Ash odwrócił się bez słowa i odszedł. Donne patrzył za nim pustym wzrokiem. Od dawna zaginiony dziedziczny wódz klanu McClairenów nie odczuwał żadnej przyjemności w zemście.

Ubrana w wyzywający szkarłat i złoto, z twarzą wymalowaną jak maska niezrównanej piękności, Fia rzuciła się w wir nocnej zabawy.

Tańczyła z zapamiętaniem z niezliczoną liczbą mężczyzn bez imienia i flirtowała ze wszystkimi. W Rumieńcu Ladacznicy, przy stołach gry i w korytarzach, wszyscy komentowali jej szaleństwo. Fia lśniła jak świeżo oszlifowany brylant.

Kiedy nawet w najtęższych głowach zaszumiało od wina, usłyszała

cichutkie niczym cykanie świerszcza podczas burzy bicie zegara w głównym holu - była jedenasta. Spokojnie zsunęła dłoń lorda Hurleya ze swojego nagiego ramienia i nie kłopotząc się wyjaśnieniami, zostawiła go w kącie szklarni. Udała się do gabinetu ojca.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy jest sama, a potem otworzyła drzwi ukradzionym wcześniej kluczem. Weszła. W pokoju było ciemno, ale ona dobrze знаła to pomieszczenie. Zapaliła lampkę na stole.

Minęła biurko i podeszła do ozdobnej półeczki nad kominkiem.

Wsunęła palce w szparę i podniosła kwadratowy kawałek marmuru, odsłaniając skrytkę, w której ojciec trzymał najcenniejsze papiery.

Nie wiedziała, czego szuka. Pewnie dowodu. Czegoś, co stanowiłoby odpowiedź na oskarżenia Donne'a.

234

Carr powiedział kiedyś Fii, że jej matka, mimo dziwacznych sympatii politycznych, była jedyną kobietą, którą kochał. Wierzyła mu z tego prostego powodu, że ojcu wyraźnie nie odpowiadało, iż kochał tę kobietę.

Miłość, jak twierdził, zaciemnia jasność sądów, pozbawia rozumu i odbiera człowiekowi zdolność skutecznego działania. To tak bardzo pasowało do wszystkiego, co wiedziała o ojcu, że mu uwierzyła. Może jednak był lepszym aktorem, niż sobie wyobrażała.

Zawsze uwielbiała ojca, mimo strachu, jaki w niej wzbudzał, bo przed nią nigdy niczego nie ukrywał. To tworzyło szczególną więź między nimi. Innych mógł okłamywać, manipulować nimi, a czasami - w

razie konieczności - ranić, ale jej nigdy nie potraktowałby w ten sposób.

Na pewno nie oddałby jej najmajętniejszemu z konkurentów jak... jak dziewczkę.

A może jednak kłamał. Może wszystko, co mówił, miało po prostu uczynić ją posłuszną i odsunąć od braci, którzy znali prawdę. Może trzymał ją z dala od świata, bo przygotowywał ją... na sprzedaż.

Być może zabił Janet McClairen.

Jej matkę.

Fia wyciągnęła ze skrytki paczkę listów i papierów i wróciła do biurka. Ojciec nie powinien tu zajrzeć przez najbliższych parę godzin.

Miała czas, żeby odkryć prawdę. Oby Bóg jej pomógł... i może też

Carrowi.

Rhiannon siedziała skulona przy jednym z głazów na skraju małej polanki. Mężczyźni z Fair Badden spali.

Smuga dymu z dogasającego ogniska uniosła się do góry i rozplynęła na ciemnym niebie. Nie świecił księżyc ani gwiazdy. To była dobra noc dla zwierząt, na które polują drapieżniki. Dobra noc na ucieczkę.

Phillip nie zawracał sobie głowy wystawianiem straży, pewny, że samotna kobieta nie odważy się uciec w taką dzicz. Mylił się. Rhiannon była córą tych nieprzystępnych gór.

Nawet największe niebezpieczeństwo czyhające tu na nią nie mogło narazić jej na większe cierpienie niż to, które on już jej wyrządził, zabierając ją od Asha.

Odczekała jeszcze piętnaście minut, zgarnęła spódnicę i podniosła się. W pobliżu - za blisko, żeby ryzykować siodłanie - zarżały uwiązane konie. Ostrożnie przejrzała rzeczy rozłożone dokoła i znalazła bukłak z wodą. Zawiesiła go na skórzanym pasku na ramieniu.

Całe jej życie składało się z ucieczek: ucieczka ze Szkocji, porwanie z Fair Badden, a teraz „akcja ratunkowa” Phillipa. I zawsze z

tego samego powodu: żeby jej zapewnić bezpieczeństwo. Dlatego

musiała opuszczać ludzi i miejsca, które kochała.

Dosyć.

Zostanie w Szkocji, a jeśli to ją zniszczy, to zginie, walcząc o to, na czym jej zależało, a nie uciekając przed tym, czego się bała. Ash Merrick był niebezpieczny, ale kochała go całym sercem i zdecydowała się walczyć, aby z nim zostać.

Podeszła ostrożnie do skraju obozowiska i pobiegła w las, kierując się na wschód. Do Asha.

Nie było dużo do pakowania: koszula, zapasowe bryczesy, wełniane skarpetki. Ash wrzucił je do skórzanej torby wraz z pieniędzmi na wykup Raine'a.

Nadal miał do spełnienia obietnicę. Musiał się tego trzymać. Tylko to mu zostało.

Rozumiał Rhiannon, o nic jej nie obwinał. Czar, któremu ulegli jako kochankowie, stracił moc pod wpływem listu Watta. Porównała jego biedę - mierzoną nie tylko w brzęczącej monecie - z tym wszystkim, co miał Phillip i co sobą reprezentował. Watt zwyciężył. Jakże mogłoby być inaczej? On, Ash, nie miał do zaoferowania niczego, co dałoby się porównać z przyjaciółmi, rodziną, bezpieczeństwem i domem.

Przyszło mu do głowy, żeby za nią gonić - ale to była tylko chwila szaleństwa, rozpaczliwy odruch zranionego serca. Za bardzo pragnął jej szczęścia, żeby się dłużej oszukiwać. Nie mógł jej wmawiać, że Phillip chce jej śmierci. Ten cholerny olbrzym nigdy nie

skrzywdziłby Rhiannon.

Wzrok Asha powędrował w stronę sąsiedniego pokoju i łóżka, nad którym nadal unosił się jedyny w swoim rodzaju zapach ich miłości.

Kochał się z Rhiannon. Odczuł całą porażającą siłę tych słów.

Kochał Rhiannon.

Oparł ręce na torbie i spuścił głowę. Kochał Rhiannon, ale jej tego nie powiedział. W jego życiu było wiele zła, lecz tego jednego nigdy sobie nie wybaczy.

Podniósł głowę, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

Dobrze się stało, że jej nie powiedział. To tylko utrudniłoby jej sytuację. Kochała Fair Badden. Zależało jej na Phillipie. Jeśli nawet już nie zazna takiej namiętności - to cóż, wielu ludzi żyło, nie znając takich uczuć.

On też jakoś sobie poradzi. Czas wyleczy każdą ranę.

A jednak nie oddałby ani chwili spędzonej z nią w ramionach, ani jednego jej słowa czy uśmiechu, żeby pozbyć się tego smutku.

Każdy ból wart był wspomnienia o niej.

Wypuścił powietrze z płuc. Francja czeka.

Zarzucił torbę na ramię i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju. Szedł pustymi korytarzami, a potem w dół po schodach w ponure światło poranka. Skierował się do stajni.

Na podwórku rozległo się żalosne skomlenie. Ash spojrzał na wielkiego żółtego psa, który szarpał się, usiłując zerwać sznur

przywiązujący go do płotu. Oto przykład troski i czułości a la

Rumieniec Ladacznicy, pomyślał z goryczą. Podszedł do zwierzęcia, schylił się i rozwiązał supeł.

237

- Lepiej uciekaj - mruknął. - Spróbuj szczęścia w górach.

Rumieniec Ladacznicy to nie miejsce dla ludzi czy zwierząt.

Pies podkulił ogon i popędził przed siebie. Sztywna tylna łapa nie przeszkadzała mu w szybkim biegu.

- Stella!-zawołał Ash.

Suka stanęła przy wejściu na podwórze stajenne i się obejrzała.

- Stella - powtórzył Ash cichym, spokojnym głosem. - Chodź.

Suka zwróciła wielką głowę w stronę gór; jej czarne nozdrza drżały.

- Chodź.

Suka wróciła do niego po chwili wahania. Serce Asha zabiło z

nadzieją. Rhiannon nigdy nie zostawiłaby Stelli w Rumieńcu

Ladacznicy. Jakikolwiek były jej zamiary, kiedy poszła na

spotkanie z Phillipem, zamierzała wrócić. Nie odjechała

dobrowolnie. Radość splotła się z niepokojem. Musi ją znaleźć.

Ruszył biegiem do stajni.

- Ash!

Spojrzał za siebie. Fia szła szybkim krokiem przez podwórze, z

peleryną powiewającą na wietrze.

- Poczekaj!-zawołała.

Przystanął. Chciał ruszyć jak najprędzej, ale zaczekał, aż do

niego doszła.

- Odjeżdżasz - powiedziała.

- Tak - przyznał.

- Nie zamierzałeś pożegnać się z ojcem? - Uśmiechała się drwiąco. - Ani ze swoją małą siostrzyczką?

Usłyszał w głosie Fii rozczarowanie. Popatrzył na nią ze smutkiem. Kimkolwiek się stała, nie było w tym jej winy.

- Chcesz stąd odjechać? - spytał.

Spojrzała na niego nieufnie, jakby obawiając się podstępu.

- Nie, nie... Nie mogę - odparła. - Dokąd bym poszła? Co miałabym robić? I dlaczego miałabym chcieć odjechać?

- Teraz nie mogę cię zabrać - powiedział łagodnie. - Ale jeśli chcesz, Fio, wrócę po ciebie.

Otworzyła usta, żeby rzucić jakąś ciętą ripostę, ale zacisnęła je z powrotem, nie wypowiedziawszy ani słowa.

- Pomyśl o tym, Fio. Napiszę. Przymierzam.

238

Zawołał psa i chciał już odejść, kiedy siostra złapała go za rękaw.

- Dokąd jedziesz?

- Rhiannon - odparł krótko. Zmarszczyła brwi.

- Odjechała?

- Tak.

- Ale ona nie może. Nie wolno jej. - Strach zmienił jedwabisty

głos Fii do tego stopnia, że Ash, który usiłował oswobodzić rękaw z jej palców, znieruchomiał.

- Co ty wiesz, Fio? - spytał.

Zawahała się.

- Myślę

-

odparła po chwili - że Rhiannon grozi

niebezpieczeństwo ze strony ojca. Zeszłej nocy przeczytałam jego listy, wszystkie, które...

- Czego się dowiedziałaś? - przerwał jej Ash.

- Jej brat, Ian Russell, żyje. Mieszka na jednej z wysp koło Ameryki należących do Francuzów.

- Nadal żyje? - Ash odetchnął z ulgą. - A więc Rhiannon nie dziedziczy. Powinna być bezpieczna. Chyba że Carr wynajął kogoś, żeby zabił jej brata.

Rzucił to przypuszczenie, nie zastanawiając się, i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że Fia zbladła jak płótno. Wielki Boże, pomyślał, ona nie wie, do czego zdolny jest Carr, odkrywa to dopiero teraz.

- Tak - powiedziała bezbarwnym, cichym głosem. - Russell przysyłał Carrowi pieniądze na utrzymanie Rhiannon, wyłożył też pokaźną sumę na posag. Przez ostatnich dziesięć lat Russell przysłał tysiące funtów. Pieniądze, których Rhiannon nigdy nie dostała.

Kwartalna pozycja w księdze. Posiadłość zamorska, o której wspominał księgowy Carra. Jasne.

- Jest jeszcze coś - ciągnęła Fia. - Znalazłam list od tego Iana

Russella. Chociaż to jakobicki wygnaniec, tęskni za domem. Zamierza tu przyjechać na jeden dzień, żeby zobaczyć Rhiannon, a potem wrócić na swoją wyspę. Myślę, że ojciec chce go wydać albo... zabić.

Olśnienie spłynęło na Asha jak zimna fala przyływu.

- Nie, Fio - powiedział. - Carr nigdy nie dopuści do ujawnienia znajomości z jakobitą ani nie pozwoli, żeby Russell zeznawał, bo wtedy

239

musiałby się pożegnać z wszelką nadzieją powrotu do towarzystwa. Nie zaryzykuje też wynajęcia zabójcy, który mógłby spartaczyć robotę.

Russell to mężczyzna doświadczony w walce, który może w dodatku przyjechać z grupą towarzyszy.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Fia złapała go za rękę.

- Dlaczego masz taką minę? - zapytała. - Co on planuje?

- Chce zamordować Rhiannon - rzucił przez ramię, biegnąc do stajni. Teraz zrozumiał, że Carr wysłał go do Fair Badden nie po to, by sprowadził Rhiannon, tylko po to, by sprowadził jej ciało.

Ash przypomniał sobie słowa królewskiego edyktu: „Żadna córka Anglii nie może umrzeć, przebywając pod opieką lorda Carra”. Carr dopilnował, żeby Rhiannon nie była pod jego opieką żeby mieszkała z dala od niego, żeby nawet nigdy go nie spotkała.

Świetnie to zaplanował. Ash wróciłby z ciałem dziewczyny, a Carr ściągnąłby pierścionki z zimnych palców Rhiannon i wręczył je Ianowi Russellowi. Ten zaś, przejęty żalem, na pewno nie zadawałby żadnych

pytań i wkrótce potem odjechały na zawsze, nieświadomy, że

Rhiannon nigdy nie otrzymała z jego pieniędzy ani pensa.

Ash w mgnieniu oka osiodłał konia i wskoczył na siodło. Nic

dziwnego, że Carr był tak przygnębiony, kiedy zobaczył Rhiannon w

Rumieńcu Ladacznicy. To jedyne miejsce na ziemi, w którym nie mógł

pozwolić jej umrzeć.

Ale teraz odeszła i zabójca - najęty przez Carra albo zmuszony

szantażem do zbrodni - dokończy dzieła.

Ash wbił ostrogi w boki konia. Musi dotrzeć do Rhiannon, zanim

zrobi to morderca.

-

- Dokąd ona, do diabła, poszła?! - ryknął Phillip. Jego głos spłoszył

ptaki siedzące na gałęziach sosny.

- Do swojego kochanka - parsknął St. John, gramoląc się na nogi.

- Sprowadzę ją z powrotem - oświadczył Phillip, półprzytomny

z wściekłości.

- Daj spokój, Phillipie - odezwał się John Fortnum. - Dziewczyna

nie chce, żeby ją ratować.

Watt odwrócił się do niego, zwijając dłonie w pięści.

240

- Ona nie wie, co jest dla niej dobre. Jest oczarowana, zafascynowana.

Zniszczę tę więź, kiedy złamię jego brudny kark.

Pozostali wymienili niepewne spojrzenia.

- Nie przyjechałem tu, żeby popełnić morderstwo - oznajmił Ben

Hobson.

- Czy to morderstwo uwolnić świat od diabła? - zapytał Phillip. - Kala wszystko, czego dotknie, i niszczy wszystko, co zauroczy. Zasługuje na śmierć!

- Nie, Phillipie - zaprotestował Fortnum. - Pomyśl, co mówisz. To tylko człowiek, jak każdy inny. Nie demon czy diabeł.

Phillip zignorował ich wszystkich. Osiodłał swojego wierzchowca, i wskoczył na jego grzbiet.

Potem zmierzył wściekłym spojrzeniem swoich towarzyszy i oznajmił;

- Dopadnę go i bez was!

- Szukaj! - zawołał Ash.

Wielka żółta suka obiegła wystygłe ognisko. Na skraju polany zadarła łeb i skoczyła w krzaki, biegnąc w kierunku, z którego przyszli.

Ash się zawahał. Nie było żadnego powodu, żeby Watt zabrał Rhiannon z powrotem do Rumieńca Ladacznicy.

Pochylił się w siodle, badając grunt. Większość śladów wiodła na południe i na zachód, a jednak Stella zachowywała się, jakby czuła świeży trop. Jak dotąd prowadziła go bezbłędnie.

Ash spiął konia i ruszył za psem po kamienistym zboczu.

Tę sukę źle wykorzystywano, pomyślał, obserwując Stellę. Ma lepszy węch niż wzrok. Złapała trop i biegła, skręcając raz po raz, z nosem przy ziemi, podążając za zapachem, który tylko ona była w stanie wyczuć.

Ale przez cały dzień forsowała uszkodzoną łapę. Od czasu do czasu rzucała się pędem, potem jednak zwalniała, kuśtykając na trzech łapach.

Ash coraz częściej okrążał słabnącego psa, podnosząc się w strzemionach i wołając Rhiannon po imieniu. Upływały minuty, lada chwila mogło dojść do nieuchronnego spotkania Rhiannon z mordercą wynajętym przez Carra.

Koło południa Rhiannon dotarła do górskiej łąki. Usiadła i oderwawszy pasek jedwabiu z halki, owinęła nim bolesny pęcherz na stopie. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz; zrzuciła wilgotny kubrak, mając nadzieję, że słabe o tej porze słońce ją ogrzeje.

Nie powinna się zatrzymywać, ale była nieludzko zmęczona, mokra i przemarznięta po nocy spędzonej w górach. Już dwa razy wydawało jej się, że słyszy odgłos pogoni. Zobaczyła nawet samotnego jeźdźca niżej na zboczu. Od tamtej pory trzymała się stromizn, unikając łatwiejszych przejść poniżej.

Dzięki zamięłowaniu do polowań miała dobrą kondycję. Potrafiła też zawracać po własnych śladach i wiedziała, jak ważne jest, żeby poruszać się z wiatrem wśród najgęstszych krzaków i trzymać z dala od otwartych przestrzeni. Ilekroć korzystała z tej wiedzy, przysięgała sobie, że nigdy więcej nie zapoluje na żadne zwierzę dla rozrywki. Teraz zrozumiała aż za dobrze, co to znaczy być zwierzyną łowną.

Wcisnęła spuchniętą stopę w trzewik, wstała i rozejrzała się ostrożnie po pustej łące. Burza przewaliła się o świcie, zostawiając po sobie jedynie rzadką mgłę, która już się podniosła.

Nic prostszego niż wypatrzeć postać w ciemnym ubraniu poruszającą się po płaskim pasie zieleni, ale wspinanie się po stromych zboczach nad wąską doliną zajęłoby jej całe godziny. Godziny, których Phillip na pewno nie straci. Miał nad nią przewagę. Wiedział, dokąd zmierza, i z pewnością zdawał sobie sprawę, że nie spędzi kolejnej nocy, wystawiając się na łaskę żywiołów w górach. Jej jedyną nadzieją było dotarcie na wyspę McClairenów, zanim on ją znajdzie.

Rozejrzała się ponownie, obserwując krawędzie łąki i nasłuchując odgłosów pogoni.

Stella kuśtykała z bolesną determinacją, niezdolna do szybkiego bie-

gu. Łeb trzymała podniesiony wysoko, a nozdrza jej drżały, ale szła nie-
strudzenie, jakby ciągnęła ją niewidzialna nić. Ash pognął w
kierunku, w którym zmierzała, szybko zostawiając ją daleko za sobą.
Droga, którą wybrała Rhiannon, była najtrudniejsza z możliwych.
Wiele razy musiał zsiadać z konia i prowadzić go śliskim, łupkowym
zbozkiem albo wokół ostrych szpiców skalnych. Słońce stało wysoko,
kiedy wszedł w wąską, długą dolinę. Zatrzymał konia i przebiegł
wzrokiem skalne ściany. Nie zauważył niczego. Przyjrzał się uważnie
falującym trawom przed sobą. Znowu nic.

Stella mogła dawno pobiec w inną stronę i teraz zbliżyć się do
Rhiannon, podczas gdy on błędził w oceanie trawy. Stracił nie tylko
Rhiannon, ale i psa, który go do niej prowadził.

Podniósł się w strzemionach i złożywszy dłonie przy ustach,
zawołał:

- Rhiannon!

Musi być gdzieś tutaj. Gdzieś blisko. Do diabła, czuł jej obecność.

- Rhiannon!

Znajdzie ją. Przeszuka całą tę cholerną dolinę, ale znajdzie ją.

- Rhiannon!

Daleko przed nim, u wylotu doliny, z zielonej trawy wyłoniła się
szczupła postać - nimfa leśna, która przybyła na błagalne wezwanie
śmiertelnika. Słońce lśniło w jej bujnych ciemnych włosach.

243

- Rhiannon!

Spiął konia i pogalopował przez łąkę. Był już prawie przy niej, gdy radosny uśmiech, który rozjaśniał jej twarz, nagle znikł, ustępując przerażeniu.

Patrzyła gdzieś za jego plecami i krzyczała słowa, które zagłuszył szum wiatru. Pochylił się...

Cios silny jak uderzenie pioruna trafił go w bok, zrzucając z siodła.

Upadł na ziemię i przetoczył się kilka metrów. Przed oczami wirowały mu płaty czerni. Jakaś kobieta krzyczała. Rhiannon.

Poruszył się i przeszył go ostry, palący ból. Spojrzał w dół, rozpaczliwie usiłując zachować przytomność. Jego prawa ręka leżała pod ciałem, wygięta pod dziwnym kątem, na koszuli wykwitła ciemnoczerwona plama. Oparł się na zdrowej ręce i dźwignął na kolana.

Świat zawirował mu przed oczami. Dotknęły go czyjeś dłonie, poczuł zapach sosen, potu i -jej zapach. Zacisnął zęby, nie chcąc wpaść w ogarniającą go próżnię.

- Mój Boże! - usłyszał jej głos. - Dobry Boże, Phillipie, coś ty zrobił? Pomóż mi!

Watt Oczywiście. Wszak zasłużył na nienawiść tego człowieka...

Rhiannon położyła głowę Asha na swoich kolanach. Łzy napłynęły jej do oczu, bo bała się, że sprawia mu jeszcze większy ból.

Nagle na twarz Asha padł cień. Rhiannon spojrzała w górę. Nad nimi stał z dymiącym pistoletem w dłoni Phillip Watt. Był blady, a oczy miał półprzytomne, jak ktoś, kto obudził się właśnie z koszmarnego snu.

- Czy on nie żyje? - Jego głos brzmiał głucho.

- Nie żyje? - rzuciła z pogardą. - Gdyby nie żył, Phillipie, to ty i ja też byśmy nie żyli, bo straciłabym życie, próbując odebrać ci twoje!

Opuścił rękę z pistoletem i chwiejąc się na nogach, zrobił krok w jej kierunku.

- Nie wiedziałem. Nie zdawałem sobie sprawy. Boże dopomóż, ile tu jest krwi...

- Weź konia - rozkazała. - Musimy sprowadzić pomoc.

- Tak - wymamrotał.

Ash poruszył się w ramionach Rhiannon. Pochyliła się nad nim i drżącymi dłońmi odgarnęła mu do tyłu długie czarne włosy.

244

- Spokojnie, mój kochany. Spokojnie. Nie ruszaj się.

- Na co czekasz, Phillipie? Zabij drania.

Na dźwięk tego głosu Rhiannon podniosła gwałtownie głowę.

Edward St. John zatrzymał konia parę metrów za plecami Phillipa. Jedną rękę oparł na biodrze, w drugiej trzymał pistolet.

Phillip odwrócił się, zmieszany i niepewny, jak dziecko, które wołają z różnych stron.

- Zabij go - powtórzył spokojnie St. John.

- Rhiannon zeszywniała, zaciskając ramiona wokół Asha.

- Ja... Ja nie mogę! - wybuchnął Phillip.

- Oczywiście, że możesz - odparł St. John. - To prawdziwy diabeł.

A jeśli nie diabeł, to syn diabła. Karcianego diabła. Wiem, co mówię.

Carr ma mnie w garści. Tak, w ciągu tych dwóch tygodni

spędzonych w przedsiönku pieklą zwanym Rumieñcem Ladaczniczy

straciłem wszystkie pieniądze, które posiadałem. I sporo z tych, których

nie mam. W gruncie rzeczy straciłem całe dziedzictwo.

Zaśmiał się złowieszczo.

- Nie zabijesz drania, prawda, Phillipie?

Watt powoli skinął głową. Z westchnieniem rezygnacji St. John

sięgnął wolną ręką do pasa, wyciągając drugi pistolet.

- Tak myślałem. Prawdziwy z ciebie mięczak pod tą męską powłoką. Ale nie szkodzi. I tak musiałbym cię zabić. Miałem po prostu nadzieję, że dokonasz przed śmiercią jednego śmiałego czynu.

To miał być mój dar dla ciebie, Przez wzgląd na stare czasy.

- Ale dlaczego? - zapytał Phillip.

- Ponieważ jesteś świadkiem - odezwał się Ash. Rhiannon spojrzała na niego. Utkwił wzrok w St. Johnie, patrząc na niego z nienawiścią. - Świadkiem zabójstwa panny Russell.

- To prawda - przyznał St. John, a gdy Phillip postąpił krok ku niemu, odciągnął kurek pistoletu, mierząc w jego pierś. Watt znieruchomiał.

- No, no, Phillipie. - St. John się uśmiechnął. - Wszystko złożyło się lepiej, niż się spodziewałem. Zabiję tę dziewczynę, a potem ciebie. Kiedy przyślę Fortnuma i pozostałych - nasi towarzysze wciąż przebywają gdzieś tu, w tych zapomnianych przez Boga górach - odkryją tę małą tragedię. Merrick, oddasz mi tę przysługę i

umrzesz szybko? Tyle krwi z ciebie wypływa.

Ręce Asha przesunęły się nieznacznie wzdłuż boku, w stronę biodra.

- Tak - mruknął. - Myślę, że mogę ci to obiecać.

Zerknął na Rhiannon. Natychmiast domyśliła się, czego szukał.

Zaszlochała i pochyliła się niżej, pomagając mu.

- To świetnie! - powiedział St. John, nie zwracając uwagi na Rhiannon. - Ponieważ musisz umrzeć. Zastrzeliłbym cię, ale nie mam zapasowej kuli. Może jednak dotrzymam ci towarzystwa, póki nie wyzioniesz ducha.

- Jesteś zbyt łaskawy - odparł Ash słabym głosem.

- Ależ skąd. Wszak mógłbym trochę to przyspieszyć. - Jego oczy pozostały chłodne i bez wyrazu.

- Nie rozumiem - wtrącił Phillip.

- To fundamentalna cecha twojego charakteru - odparł St. John, nadal celując w Watta. - Pozwól, że wyjaśnię. Z moją pomocą nasi zasmuceni przyjaciele złożą do kupy cały nieciekawny obrazek: gwałciciel Merrick zabija rywala, czyli ciebie. Kiedy jego dziewczka, odzyskawszy wreszcie rozsądek, przeciwstawia mu się, ją także zabija. A ty, Phillipie, będziesz bohaterem, bo przed śmiercią, ostatnim wysiłkiem, wystrzelisz kulę, która zabije Merricka. Bardzo poruszające, nieprawdaż?

- Ale dlaczego? - powtórzył Phillip.

Uśmiech znikł z twarzy St. Johna.

- Carr przyrzekł zapomnieć o moim długu, jeśli zrobię to dla niego.

- Carr nigdy nie daruje ci długu - zaśmiał się cicho Ash.

- Zobaczymy, albo raczej ja zobaczę. - St. John wycelował pistolet w Rhiannon. - Nic osobistego, moja droga - mruknął - ale, jak wspomniałem, Carr to diabeł, a diabeł musi dostać, co mu się należy...

Zza spódnicy Rhiannon błysnął sztylet. Rzucony ręką mistrza poleciał prosto, jednak oczy, które go prowadziły, zaszły mgłą, więc zamiast przebić serce, wbił się w ramię, rozłupując kość. Jeden pistolet wypadł z pozbawionych czucia palców St. Johna; drugi

246

wypalił w ziemię i też upadł, kiedy St. John chwycił za nóż tkwiący w ramieniu.

- Niech to szlag! - jęknął St. John.

Phillip skoczył naprzód, ale St. John był szybszy. Zdrową ręką ujął wodze i wbijając ostrogi w boki klaczy, ściągnął je mocno. Koń uniósł się na tylne nogi, machając kopytami w powietrzu, a potem ruszył galopem przez łąkę.

Phillip patrzył na uciekającego St. Johna, nie wiedząc, czy go gonić, czy zacząć spłacać dług wobec człowieka, który usiłował podnieść się z kolan Rhiannon.

- Nie! - zaprotestowała. Zamknął oczy i opadł z powrotem, pozwalając w końcu, aby ogarnęła go ciemność. - Jedź, Phillipie.

Znajdź pozostałych. Natychmiast!

Phillip wskoczył na siodło. Wiedział, czego wymaga honor.

Nozdrza Stelli wypełnił znajomy zapach. To nie był zapach jej pani, który stanowił obietnicę.

Ten zapach niósł groźbę.

Znała go dobrze. Włosy na karku zjeżyły jej się, a z potężnej piersi wydobył się głuchy warkot. Ten zapach należał do człowieka, który związał ją tak, żeby nie mogła się ruszać, i skrzył jej łapę tak mocno, że wyła z bólu.

Zapach mknął ku niej z powiewem ciepłego powietrza.

Podniosła łeb i zobaczyła człowieka na koniu, który zbliżał się w jej stronę. Była skrajnie wyczerpana, ledwo mogła iść. Ale nienawiść daje wielką moc, a nienawiści Stelli nie brakowało.

W głębi serca pozostała dzikim zwierzęciem; dobroć trzymała na wodzy jej agresję, miłość nie pozwalała dojść do głosu jej morderczym instynktom.

Zapach, który wypełnił jej nozdrza, uwolnił te instynkty.

Gdyby ktoś obserwował tę scenę, zobaczyłby człowieka na koniu, który dociera do końca doliny i ogląda się przez ramię. Zauważyłby jego ulgę, kiedy z wyciągniętego kłusa przeszedł na powolniejszy krok, stwierdziwszy brak pogoni. Dostrzegłby uśmiech triumfu na jego twarzy, kiedy wjeżdżał do lasu.

tężnego psa pędzącego przez dolinę z prędkością, jaką daje żądza zemsty, i znikającego w tym samym miejscu.

Ash czuł łzy spływające na jego policzki. Otworzył oczy.

Popołudniowe słońce rozpląwało się nad nim w złotych kręgach, oślepiając go i zmuszając do odwrócenia głowy. W jego polu widzenia pojawił się wielki łeb Stelli z wywieszonym językiem. Dobrze zwierzę, pomyślał, znalazło nas.

- Ash? - Spojrzał na rozmazaną twarz powyżej. W głosie Rhiannon słyhać było strach i smutek. Słońce rzeźbiło jej rysy, kładąc powłokę światła na policzkach i szyi i zabarwiając złotem rzęsy. Jej orzechowe oczy lśniły zielonym ogniem. Była piękna, odważna, była dla niego wszystkim. Wszystkim.

O mało jej nie stracił, a nie powiedział jej, że ją kocha. Musiał to naprawić.

- Rhiannon.

- Cicho - szepnęła. - Pomoc wkrótce nadejdzie. Wszystko będzie dobrze. Przemyłam ranę i zatamowałam krwawienie.

- Taka śliczna. Nigdy... nie powiedziałem. - Uniósł rękę i otarł łzy z jej policzka. - Muszę... ci powiedzieć.

Uśmiechnęła się; jej pełne wargi drżały.

- Wiem - szepnęła, gładząc go po twarzy.

Nie ruszał się długą chwilę, napawając się delikatną pieszczotą, zapachem wiosennej trawy i nagrzanego słońcem ciała.

- Dokąd szłaś? - zapytał wreszcie. - Dokąd szłaś, kiedy cię znała-

złem?

- Do ciebie, Ash.

Skinął głową, ale nie zadowolił się tą odpowiedzią. Kochał

Rhiannon i był spragniony jej miłości, więc choć wiedział, że

bezwstydnie nadużywa jej dobroci, spytał znowu:

- Dlaczego?

Tym razem uśmiechnęła się pogodniej, słysząc w jego głosie

obietnicę przyszłości, która zaledwie parę godzin wcześniej wydawała

się tak niepewna.

248

Myślała o czekających ich latach, kiedy będzie mu mówić o swojej

miłości, i o tym, w jaki sposób ją okaże. A że po raz pierwszy w życiu

czuła, że ma czyjeś serce niepodzielnie dla siebie, mogła sobie pozwolić

na żartobliwy ton. Odpowiedziała tymi samymi słowami, których użył,

kiedy po raz pierwszy wyznał jej miłość.

- Z potrzeby serca, ukochany. Z potrzeby serca.

249

Epilog

Carr przyglądał się córce. Stała w pokoju dla służby przed grupką mężczyzn - brudnych, zabłoconych wieśniaków. Zastał ich tu całkiem przypadkowo. Rzadko gościł w tej części pałacu, ale akurat dzisiaj musiał pomówić z podczaszym.

Mężczyźni przestępowali niepewnie z nogi na nogę, oczy mieli spuszczone, na twarzach typowy dla wieśniaków wyraz przygnębienia. Fia jak zwykle była opanowana, jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Powiedziała coś i mężczyźni, pokiwawszy głowami, odeszli, wycofując się tyłem przez drzwi dla służby.

Fia się zawahała. W jej czarnych oczach pojawił się błysk, ale po chwili podpłynęła do ojca z gracją. Przez moment wyglądała zupełnie jak Janet. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

-

Czego chcieli ci ludzie? - zapytał, kiedy do niego podeszła.

-

Znaleźli ciało dwadzieścia kilometrów stąd na zachód -
odparła spokojnie.

-

W górach?

-

Tak.

-

No cóż?

- - Wydaje się, że to szlachcic. Ubranie, czy raczej to, co z niego zostało, musiało należeć do kogoś z wyższych sfer, jak również kosztowna peruka.

- Tak?

- Wygląda na to, że napadły go wilki.

- Niemożliwe. - Carr pokręcił głową, - W Szkocji od ponad stu lat nie ma wilków.

- Skoro tak mówisz.

Już chciał odejść, ale swoboda i pewność siebie Fii wzbudziły w nim niepokój.

- Kim był ten człowiek? - spytał.

- Edward St. John. - Utkwiła w nim badawcze spojrzenie. - Wydajesz się przygnębiony. Znałeś go? No tak. Przypominam sobie. Był tu w zeszłym roku, prawda? I dużo przegrał. Zapewne przegrywając, zdobywa się twoje serce, bo, na Boga, zbladłeś, ojcze, słysząc tę nowinę.

- Czy był sam? - chciał wiedzieć Carr.

- Tak.

Przeklęty nieudacznik. Dostał tę sukę Russell jak na talerzu i sparta-czył sprawę. Zasługiwał na śmierć. No cóż, będzie musiał wymyślić coś innego, zanim zjawi się u niego Ian Russell, znaleźć inną marionetkę, która będzie tańczyła, jak jej zagra...

- Ciekawe, dlaczego podróżował w górach samotnie? - Fia się uśmiechnęła.

Bawiła się z nim! Świadomość tego była jak uderzenie w twarz.

Bezczelna dziewczka! Jak śmie? Na policzkach Carra wykwitły czerwone plamy. Zaciśnął usta. Odwrócił się na pięcie i zaczął odchodzić.

- Ojczy?

Obejrzał się. Stała dokładnie tam, gdzie ją zostawił.

- Co takiego?

- Zapomniałam ci powiedzieć, że zeszłej nocy przybył do ciebie posłaniec.

Skrzywił się.

- O co chodzi, Fio?

- To była wiadomość od jakiegoś pana Iana Russella. - Przechyliła głowę na bok. - Nie pamiętam żadnego Iana Russella. A mam dobrą pamięć do nazwisk.

Russell. Nie! Miał przybyć nie wcześniej niż pod koniec lata.

Serce skoczyło Carrowi do gardła. Poczul mrowienie w czubkach palców. Krew palącą falą napłynęła mu do twarzy.

- Co? - zapytał zdławionym głosem. Oddychał z trudem. Ręce miał jak zdrętwiałe. - Co z tym Ianem Russellem?

- Dziwna wiadomość - odparła Fia powoli.

- Do diabła, Fio - sapnął - mówże wreszcie.

- Och, tylko coś na temat klimatu politycznego, który nie sprzyja podróży morskiej i że musi ją odwołać na czas nieokreślony. Czy to nie dziwne?

Carr zamknął oczy. Ulżyło mu, ale chwilowa panika drogo go

kosztowała. Imadło na jego piersi rozluźniło się powoli, do palców stopniowo wróciło czucie. Kiedy w końcu otworzył oczy, Fii już nie było.

Havre, Francja Lipiec 1760 roku

251

Gospoda była ładna, nowa i niemal czysta, zwłaszcza izba, w której ciemnowłosy młodzieniec umieścił swoją urodziwą, młodą towarzyszkę.

Żona oberżysty, praktyczna kobieta, mrugnęła do niego, kiedy zażądał pokoju z zamkiem w drzwiach i jedyne go klucza dla siebie, i zauważyła, że dobry ogier nie potrzebuje uwiązanej klaczy.

Roześmiał się, odpowiadając szorstką gwarą paryskiej ulicy.

Zdumiewające, bo wydawał się należeć do dużo lepszej sfery, niż wskazywała jego prosta mowa. A już mała mademoiselle robiła wrażenie patrycjuszki, ze swoimi lśniącymi rudymi włosami, wielkimi orzechowymi oczami i policzkami, które tak łatwo zabarwiały rumieniec...

No cóż, był wystarczająco przystojny, żeby uwieść dziewczynę z dobrej rodziny, ona zaś wystarczająco piękna, by ryzykować gniew krewnych. I jak patrzyli na siebie. Żona oberżysty uśmiechnęła się i pokręciła głową. Dużo wody upłynęło, odkąd coś tak niewinnego, jak wymiana spojrzeń między kobietą a mężczyzną pobudzało jej wyobraźnię. Ale tych dwoje!

Nadal się uśmiechając, zapukała do drzwi. W drugiej ręce trzymała tacę z posiłkiem zamówionym przez mężczyznę. Drzwi otworzyły się i piękna mademoiselle cofnęła się w głąb pokoju, wskazując stół.

Nie odzywała się. Żona oberżysty, która nie słyszała jeszcze, żeby z jej ust padło choć jedno słowo, wzruszyła ramionami. Może dziewczyna jest niemową i dlatego zdecydowała się na pięknego prostaka. Ale bez względu na jego wspaniałe ciało i na to, jak namiętnie na nią patrzył, taka dziewczyna powinna mieszkać w pałacu.

No, cóż. Nie jej sprawa. Zapłacili złotem. Postawiła tacę i dygnawszy krótko, wyszła z pokoju.

Rhiannon spojrzała na talerz z pieczonym kurczakiem i wróciła do krzesła, które ustawiła pod oknem. Wiedziała, że żonę oberżysty dziwi jej milczenie, ale brakowało jej „edukacji” Asha, który we francuskim więzieniu nauczył się wszelkich możliwych odmian języka. Uśmiechnęła się czule na myśl, że Ash potrafi wspominać lata spędzone za kratami, zawsze znajdując w nich jakąś dobrą stronę.

252

Wyjrzała przez okno. W małym nadmorskim miasteczku słońce późnego lata powoli chowało się za horyzontem. Ash powinien już wrócić. Gdy wyszedł poprzedniego dnia o świcie, powiedział, żeby nie otwierała drzwi nikomu poza właścicielami oberży, i obiecał, że wróci z Raine'em nazajutrz przed wieczorem.

Błagała, by zabrał ją ze sobą, ale odmówił. Pewnie miał rację.

Byłaby dla niego ciężarem w tajnej misji wykupienia brata. Anglia i Francja pozostawały w stanie wojny, a jej akcent jasno zdradzał

pochozenie. Gdyby ją złapano, nie pomogłoby nawet to, że urodziła się w Szkocji; wszak nosiła teraz angielskie nazwisko - Merrick.

Rhiannon Merrick. Minął już prawie miesiąc, odkąd stanęli z Edith Fraiser i Johnem Fortnumem przy szkockiej granicy i ogłosili się mężem i żoną. Edith płakała. Rhiannon nigdy nie była taka szczęśliwa. Nadal była w siódmym niebie. Z każdym dniem przekonywała się coraz bardziej o szlachetności i uczciwości człowieka, którego poślubiła; z każdym dniem upewniała się co do jego wielkiej miłości. Przejawiała się w opiece, jaką nad nią roztoczył, w namiętności i czułości, z jaką się kochali, i w trosce, której nie potrafił ukryć. Nie mieli nic. Poza okupem za Raine'a. Tydzień temu ofiarował jej nawet to. To pokaźna suma, stwierdził z powagą. Za te pieniądze mogliby żyć, gdzie zechcą, w jakimkolwiek miejscu na świecie. Mówił szczerze, ale Rhiannon zdążyła go poznać na tyle, by dostrzec cień za czułym uśmiechem. Wiedziała, że zrobiłby dla niej wszystko, stałby się, kim ona zechce - ona jednak pragnęła nade wszystko, żeby pozostał Ashem Merrickiem. A Ash Merrick przysiągł wykupić brata. Dlatego tutaj byli.

Rhiannon usłyszała turkot powozu na bruku za oknem.

Wysunęła głowę na zewnątrz. Powóz zatrzymał się przed drzwiami gospody i woźnica zszedł z kozła. Nim zdążył podejść do drzwiczek, te otworzyły się i szczupły mężczyzna zeskoczył na ziemię.

Rhiannon wstrzymała oddech, czekając, aż pojawi się drugi.

Wóznica uniósł latarnię; chybotliwe światło omiotło twarz Asha, kiedy odliczał monety w wyciągniętą dłoń tamtego. Jego twarz zdradzała napięcie; brwi miał ściągnięte. Podniósł głowę i zobaczył

253

żonę. Jego ciemne oczy zalśniły radością. Skierował się do wejścia, a Rhiannon zatrzasnęła okno i ruszyła w stronę holu.

Chwilę później szedł ku niej wąskim korytarzem. Otworzyła ramiona, biegnąc mu na spotkanie. Objął ją i pochylił głowę, szukając łąpczywie jej ust. Ująwszy w dłonie jego kochaną twarz, oddała pocałunek.

Otworzył drzwi za jej plecami, wziął ją na ręce i, nie przerywając pocałunku, wniósł do pokoju. W końcu podniósł głowę.

- Co z Raine'em? - Spytała, gładząc go po policzku.

Postawił ją na podłodze i pokręcił głową.

- Nie wiem, Rhiannon. Nie wiem. Poszedłem do więzienia, żeby porozmawiać z głównym nadzorcą. Chciałem ustalić, kiedy Raine będzie mógł wyjść. Potem rozmawiałem z naczelnikiem. Raine'a tam nie ma.

- Jak to nie ma go tam? - zapytała, czując ogarniające ją przerażenie.

-

Nie żyje? Och, Ash, czy on umarł?

- Nie! - Ash zaprzeczył gwałtownie. - Nie umarł. Tego jestem pewien. „Przesłuchałem” nawet paru strażników w miejscowej tawernie, żeby pozbyć się wątpliwości.

- Więc gdzie on jest?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie. Po prostu znikł. Gdyby ktoś inny mógł zapłacić za niego okup, podejrzewałbym, że Francuzi już go zwolnili.

- Twój ojciec?

- Carr? - Ash znów potrząsnął głową. - Nie, Rhiannon. Na pewno nie on. Ani nikt inny.

- Więc pewnie uciekł - powiedziała.

- Ale dokąd? - zastanawiał się Ash.

Rhiannon pogładziła go po policzku.

- Nie wróciliby do Rumieńca Ladacznicy, prawda?

- Musiałby mieć ważny powód.

- Więc być może Raine po prostu... postanowił zająć się swoim życiem - powiedziała cicho.

Ash westchnął.

254

- Jakież z ciebie mądre stworzenie, Rhiannon Merrick. Tak bardzo cię kocham.

Wtuliła twarz w jego otwartą dłoń.

- Co teraz zrobimy? - spytała.

Spojrzał na nią, a potem się uśmiechnął. Sięgnął pod płaszcz i wydobyl długi, ciężki pas z podwójnie szytej skóry.

- Wiesz, kochanie, nagle staliśmy się całkiem bogaci; doprawdy odziedziczyliśmy książęcy majątek.

Patrzyła zdumiona na pas z pieniędzmi. Niewiele dla niej znaczyły, zdawała sobie jednak sprawę, że Asha ogromnie martwiło, iż nie jest w stanie zapewnić jej wygodnego życia.

- Co z nimi zrobimy? - zapytała.

- Cóż, ukochana, znajdziemy nasze szczęśliwe zakończenie.

255

Podziękowania

Dziękuję Ci, Davidzie, że jako cierpliwy słuchacz towarzyszyłeś mi przez wiele nocy, i dziękuję Ci, droga Rachel, że nie skarżyłaś się na pizzę podawaną trzy razy w tygodniu. Serdeczne podziękowania dla mojej agentki, Damaris Rowland, za jej wiarę we mnie oraz dla mojej redaktorki, Maggie Crawford, za jej talent i wsparcie.

Dziękuję pani H. (zwanej również Christiną Dodd) za to, że zawsze wychwytywała słabe fragmenty i, co ważniejsze, nie wahała się ich wskazać. I wreszcie, wielkie dzięki dla Ciebie, Annę Horde, wspinała bratowo i najlepsza przyjaciółko.